

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/585

1996



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

R. KACZMAREK: **RYNEK NA ROZSTAJU DRÓG**

M. WILK: **SAMOPAS NA KANIN NOS**

I Z POWROTEM (III)

Wł. ODOJEWSKI: **OKSANA**

A. STACH: **BYŁA WŁASNOŚĆ ŻYDOWSKA
W POLSCE I W NIEMCZECH**

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek:	<i>Rynek na rozstaju dróg</i>	3
Mariusz Wilk :	<i>Samopas na Kanin Nos i z powro- tem (III)</i>	16
Włodzimierz Odojewski:	<i>Oksana</i>	35
	WIERSZE	
Leszek Szaruga:	<i>Znów</i>	53
Marzena Broda:	<i>Porwanie Ganimedesa; Pijany ster- nik</i>	54
Stanisław Dłuski:	<i>Gry o świat</i>	55
Agnieszka Lisak:	<i>Przecucie; Rutyna; ***</i>	56
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Andrzej Stach:	<i>Była własność żydowska w Polsce i Niemczech</i>	57
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	<i>Powrót polityki</i>	65
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	75
	WYWIADY „KULTURY”	
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Młodość nadzieją Białorusi. (Uwagi Wasila Bykawa)</i>	86
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Białoruś jest w rękach Pana Boga. (Rozmowa z profesorem Uładzimi- rem Konanem)</i>	88
	SPRAWY I TROSKI	
-	<i>Wyjaśnienia rzecznika Ministerstwa Leśnictwa</i>	93
Piotr Daszkiewicz:	<i>Odpowiedź</i>	97
Marek Jerzman:	<i>Po drugiej stronie rzeki</i>	102
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	<i>Kościół i nauka</i>	105
	NOTATKI REDAKTORA	111
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	116
Bohdan Osadcuk:	<i>Polska i Ukraina. Przemyskie zakłó- cenia przyjaźni</i>	122
	KRONIKA KULTURALNA	
Zbigniew Baran:	<i>50-lecie miesięcznika „Znak”</i> ...	124
Leszek Szaruga:	<i>Zadziwiające?</i>	126
-	<i>Jubileusz Instytutu Literackiego na Harvardzie</i>	128
-	<i>Nagrody</i>	131
-	<i>Komunikat Fundacji Pomocy Biblio- tekom Polskim</i>	132
	CI, CO ODESZLI	
Stefania Kossowska:	<i>Przygody w lasce</i>	133
J.Z. Szyleyko:	<i>Profesor Imre Boba</i>	135

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1996

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzejaczek Maria, Yokine, W.A., (Australia) – dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejaczka w dziewiątą rocznicę Jego zgonu	F. 1.015,00
Anonimowo (TPK), Sztokholm – zamiast kwiatów na grób redaktora Norberta Żaby – K. szw. 150,00	F. 110,00
Bezimiennie z Lucerny (Szwajcaria)	F. 100,00
M. Cyrta, Sydney (Australia) – Dol. 26,00	F. 130,00
Dla uczczenia pamięci Ojca, dr. med. Seweryna Wilk-Wilczyńskiego, por. AK ps. „Dr Stefan”, komendanta Szpitala powstańczego przy ul. Złotej 58 w Zgrupowaniu „Gurt”, więźnia Oflagu w Murnau, wieloletniego pracownika naukowego Akademii Medycznej w Łodzi, wychowawcy pokoleń młodych chirurgów, specjalisty społecznej i przemysłowej służby zdrowia, utalentowanego pianisty i znawcy teatru – w setną rocznicę jego urodzin – 26.06.1896 – syn z Rodziną, Vasteras (Szwecja) – K. sz. 1.000,00	F. 733,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – Dol. 20,00 ..	F. 103,00
Dr Eugeniusz Łazowski, Chicago IL (USA) – Dol. 15,00 ...	F. 76,00
Zbigniew P. Okołowicz, Millerton, N.Y. (USA) – po raz 9-ty – Dol. 76,00	F. 874,00
Felicjan Pawlak, Londyn – £ 15,00	F. 117,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Franka Hendla, zmarłego w Santa Barbara 30 kwietnia 1996 – uczestnika II Korpusu, odznaczonego brytyjskim krzyżem za udział w walkach pod Monte Cassino – Dol. 25,00	F. 128,00
Wojciech Popławski, Cerindale, QLD (Australia)	F. 150,00

DZIĘKUJEMY !

Rynek na rozstaju dróg

Powszechne i z lekka paradoksalne poparcie społeczeństwa francuskiego dla partykularnych w końcu strajków, które w grudniu 1995 roku sparaliżowały kraj, ocenić można jako sprzeciw wobec jednostronnej logiki rynkowej, która wykazując przez dwadzieścia lat swą nieskuteczność w stosunku do pogłębiających się podziałów społecznych, nadal głoszona bywa jako jedyne lekarstwo na swe własne ułomności. W istocie rynek, pozostając niewątpliwie najbardziej skuteczną formułą wytwarzania dóbr, fatalnie powiększa ilość wykluczonych, ponieważ kryterium doraźnego zysku nie jest w stanie skorelować dynamiki gospodarczej z rewolucją społeczeństwa. W rezultacie utrwała się dylemat pomiędzy triumfem wydajności pracy, automatyzacji i globalizacji rynku z jednej strony, a rosnącymi szeregami bezrobotnych i stopniową utratą emerytalnej równowagi starzejących się społeczeństw z drugiej. Nakłania to rządy do zwiększania własnych funkcji redystrybucyjnych, które zapewniają pomoc socjalną tym, którzy nie zabrali się z lokomotywą rynkowego powodzenia. Wszelako już od lat nie wystarczają na to wpływy podatkowe, silnie naruszone rosnącą ilością nieproduktywnych warstw społeczeństwa: w rezultacie państwa stosują ucieczkę w przód poprzez zaciąganie pożyczek. Tak rośnie dług wewnętrzny, dla obsługi którego państwa przyciągają kapitały, zachęcając je wysoką stopą procentową. Ta jednak hamuje rozwój i zwiększa bezrobocie, za czym koło się zamyka.

Wzrost gospodarczy zagrożony jest dodatkowo przez antyspożywcze nastroje zaniepokojonych społeczeństw i ich materialne rozwarstwienie, które utrwalają się niezależnie od

koniunktury, ponieważ takiego też charakteru nabiera bezrobocie, przynajmniej w Europie. Firmy bowiem, odzyskawszy w drodze zwolnień równowagę finansową, nie są skłonne do zatrudniania nowych pracowników, tłumacząc się koniecznością posiadania solidnej bazy na wypadek kolejnego kryzysu.

Więcej bogatych i więcej biednych

Dla państw szukających powrotu do finansowej równowagi rysują się dwa rozwiązania. Pierwsze, zalecane przez rynki finansowe, to powrót do cnoty budżetowej: redukcja wydatków, złagodzenie obciążeń podatkowych i społecznych dla przedsiębiorstw oraz wzmocnienie monety, a na dłuższą metę poprawa stanu finansów przedsiębiorstw, wzrostu inwestycji, zatrudnienia i spożycia. Wszelako jest to terapia długa i bolesna, a także niepewna: pierwszym wynikiem jest utrata części rynków oraz doraźny spadek inwestycji i spożycia. Wreszcie, jak wskazują nowe doświadczenia, nawrót koniunktury nie wywołuje znaczącego wzrostu zatrudnienia, ponieważ firmy wolą inwestować w tanią pracę na peryferiach rynku.

Alternatywę stanowi promocja eksportu przez dewaluację monety, a także odstępianie od rygoru płacowego i obniżenie kosztów kredytu, w nadziei na natychmiastowy rozruch inwestycji i spożycia. Taka polityka niesie ze sobą zagrożenie inflacyjne, któremu dopiero w dalszej perspektywie przeciwstawić się może antyinflacyjne działanie wzrostu podaży. To rozwiązanie napotyka na nieufność zachodnich rynków, dla których spadek wartości monety oznacza osłabienie siły inwestycyjnej za granicą, a zwłaszcza w Azji. Osiągnąwszy zachodni poziom fachowości azjatycka praca jest kilkakrotnie tańsza i bez porównania bardziej elastyczna: przenoszenie mocy wytwórczych nabiera zatem gigantycznego rozmiaru, pogłębiając bezrobocie i wzmagając spekulacyjną gorączkę kapitału przy pierwszych objawach poluzowania polityki budżetowej. W tych warunkach globalizacja gospodarki jawi się jako zwieńczenie logiki rynkowej, która budzi jednak rosnące sprzeczności, ponieważ społeczne następstwa tej logiki okazują się przeciwne do założonych.

Po pierwsze, od połowy lat siedemdziesiątych krzywe wydajności pracy i współczynnika zatrudnienia biegną w przeciwną stronę, innymi słowy wysiłek pracowników obraca się przeciwko nim samym. Po drugie, obserwowanemu od dwudziestu lat spadkowi wartości realnej płacy robotników towarzyszy równie systematyczny wzrost zadłużenia państwa, co oznacza pełną rozbieżność polityki rygoru i jej finansowego efektu.

Pomimo całej wiarygodności argumentów liberalnych, które natychmiast wytłumaczają, że w warunkach globalnej gospodarki nie może być inaczej, nie sposób ignorować faktu, że wyjaśniają one przede wszystkim jedyny długofalowy plan w doraźnej na ogół krzątaninie rynku, to jest strategię trwałego zysku przedsiębiorstw. W ramach tej logiki bogaci stają się jeszcze bogatsi, a ubodzy – coraz bardziej ubodzy.

Reakcja społeczna

Wobec rosnącego bezrobocia instynktownym odruchem zagrożonych jest reakcja socjalna, szczególnie widoczna w Europie, ale nie tylko: w Stanach liczebność związków zawodowych wzrosła w roku 1994 o 2%. Wyjaśnienie znaleźć można w cyfrach skuteczności rynkowej. Według dziennika telewizyjnego CBS z 24 XI 1995 pomiędzy rokiem 1973 a 1995 godzinna płaca w USA spadła w pieniądzu stałym z 8.55\$ na 7.39\$ natomiast zyski przedsiębiorstw wzrosły z 116 miliardów dolarów na 575 miliardów. Ta sama stacja podała jesienią 1992 roku, że połowa bogactwa wytworzonego w poprzednim dziesięcioleciu przypadła połowie procentu amerykańskich rodzin. W tym samym okresie ponad 60% rodzin zanotowało stagnację swego dochodu lub jego spadek.

Tradycyjną na rynku odpowiedzią na problemy koniunktury są kryteria makroekonomiczne, takie jak poziom inflacji czy dochodu narodowego, szukające rozwiązania pomiędzy wspomnianymi środkami rygoru albo rozwoju. Wybór nie jest tu oczywisty, wywołując ostre spory także i na polskim podwórku. Natomiast staje się jasne, że w ostatnim dziesięcioleciu rolę arbitra przejął rynek finansowy. Obserwatorzy oceniają, że operatorzy rynku – banki handlowe, ubezpie-

czenia, indywidualni posiadacze obszernych portfeli tytułów płatności – kontrolują kapitał około tysiąca miliardów dolarów, czyli mniej więcej tyle samo, co wszystkie banki centralne razem wzięte. Oznacza to, że administracja państwowa utraciła samodzielność polityki monetarnej, tym bardziej, że wyhamowanie spekulacji monetarnej wymaga na ogół skoordynowanej akcji wielkich banków centralnych, co nierzadko pozostaje w sprzeczności z rozbieżnymi celami wielkich walut.

W tych warunkach polityka narodowa staje się zakładnikiem międzynarodowego rynku, na co reakcją społeczeństwa francuskiego stał się szantaż pod adresem tejże polityki: albo powróci ona do społeczeństwa jako jego własność, albo zostanie ubezwłasnowolniona. Dla coraz większej ilości ludzi staje się jasne, że czysta perspektywa makroekonomiczna jest przejawem konserwatyzmu niedostosowanego do realiów końca XX wieku, ponieważ w grę wchodzi nie trudności koniunkturalne, lecz strukturalne, dotyczące istoty stosunków pomiędzy społeczeństwem i rynkiem.

Powrót polityki na rynek

Polityczne znaczenie rewindykacji znacznie przekracza samo środowisko wykluczonych, ponieważ zagrożeni czują się niemal wszyscy. O ile bowiem liczba bezrobotnych sięga 10-12% pracujących, to groźba utraty pracy, podobnie jak odczucie fizycznego zagrożenia ze strony „nowych barbarzyńców” dotoczy większości społeczeństwa. W tych warunkach państwo gospodarki rynkowej przestaje być państwem prawa, rządy prawa bowiem polegają nie tylko na tym, że ludzie są bezpieczni, lecz że się czują takimi. Otóż prawo jest niezbędnym środowiskiem gospodarki rynkowej i w tym sensie wszyscy partnerzy zainteresowani są powrotem zaufania społecznego i poczucia bezpieczeństwa na scenę polityczną, jak miało to miejsce w okresie intensywnego rozwoju lat powojennych. W tych warunkach aktywizuje się polityka, od Ameryki, gdzie „samotny kowboj” Clinton przeciwstawia się nazbyt radykalnym środkom redukcji socjalnych wydatków państwa, jakich domaga się republikański Kongres, przez inicjatywy prezydenta Chiraca, rysującego społeczny projekt

Unii, do niemieckich „szczytów społecznych”, poświęconych politycznym środkom odwrócenia fatalizmu rynkowych podziałów, zanim skumulowane czynniki konfliktu zakłóca sielankę wielorynkowych wskaźników. Obrazuje to powrót polityki na rynek, skąd przedwcześnie przegnał ją optymizm samoregulujących mechanizmów rynku.

Dwa oblicza rynku

Fenomen dźwigni liberalnej zadziałał nie tylko u nas, lecz także na rozległych obszarach trzeciego świata, gdzie przez dziesięciolecia przeklinano niesprawiedliwość globalnych zasad gospodarowania, skazujący kraje ubogie na niedorozwój wskutek działania nożyc cenowych pomiędzy surowcami i technologią. Wystarczyło otworzyć granice i dziś tropiki odnajdują drogę intensywnego rozwoju: uprzednio niedostępny w prostym handlu surowcowym kapitał płynie dziś kolosalnym strumieniem inwestycyjnym ku Azji południowej i Ameryce Łacińskiej, opierając swe rachunki nie o zyski kruszcowe, lecz eksploatację taniej pracy i rozwój lokalnego spożycia.

Pierwszym następstwem dla społeczeństw Zachodu jest bezrobocie strukturalne, to znaczy nie związane z koniunkturalnym cyklem: pracy wytwórczej jest mało i będzie coraz mniej. W odpowiedzi na wynikające stąd niepokoje liberałowie przestrzegają przed społecznym defetyzmem i złudzeniami interwencjonizmu państwowego. Owszem – mówią oni – przeniesienie wytwarzania do Azji pogłębia bezrobocie w Europie, lecz zarazem utrzymuje wartość nabywczą zachodnich konsumentów, którzy przecież nie będą się skarżyć na bliską zero inflację. Owszem, przepływ kapitałów na peryferii rynku zmniejsza inwestycje w krajach uprzemysłowionych, lecz zarazem ogranicza parcie imigracyjne i oddala niebezpieczeństwo obłożonej twierdzy, grożące Zachodowi w przypadku zamknięcia się go w murach własnego powodzenia. Owszem, konkurencja taniej pracy za granicą obniża zachodnie płace, ale lepsze są niskie płace, niż brak pracy. Mnożąc niestałe i nisko płatne stanowiska przedsiębiorcy nie działają na szkodę społeczeństwa, lecz przeciwnie, zabiegając

o zwiększone zyski stabilizują własne firmy w obliczu zwiększonej konkurencji, czyli utrzymują gospodarkę w marszu. Niektórzy z nich, stojąc wobec rosnących żądań socjalnych we własnych krajach, oczekują jak zbawienia rozszerzenia Unii Europejskiej, co poprzez konkurencję gotowych na wszystko mieszkańców wschodniej Europy ożywić ma klimat gospodarczy.

Owszem, w tych warunkach będzie coraz mniej pracy, lecz odpowiedzią na rosnącą złożoność i współzależność świata będzie zwiększenie elastyczności zaangażowania: w niektórych krajach zachodnich ponad połowa ludzi pracuje w zmiennym albo niekonwencjonalnym rytmie tygodniowym i coraz więcej zarabia na życie w kilku zawodach na raz. Wreszcie, w odpowiedzi na zasadniczą krytykę liberalnej dynamiki, podać można wyniki innych doświadczeń ustrojowych: najprościej mówiąc, nie ma alternatywy.

Wszelako sytuacja nieuniknionego wyboru ustrojowego prowadzi do nowych zagrożeń. Logika realnego rynku bowiem wytwarza zarówno zwycięzców, jak i przegranych, co umniejsza tradycyjne formy agresywności na rzecz konfliktów lokalnych: zagrożenia nie czyhają na granicach państwa, lecz wewnątrz samych społeczeństw, gdzie obok wygranych rosną masy tych, co nie zabrali się z rynkową lokomotywą. Zadaniem polityki jest w tych warunkach istna kwadratura koła: jak utrzymać stanowiska pracy nie zamykając drogi firmom do zagranicznych źródeł zysku, gdzie tak czy inaczej już działa konkurencja.

W poszukiwaniu trzeciej drogi

W warunkach europejskich wybór jest pomiędzy modelem kontynentalnym i anglosaskim. W Stanach i Wielkiej Brytanii bezrobocie jest niskie, lecz osiągnięte za cenę jakości stanowisk pracy, to jest niskich płac i słabego zabezpieczenia społecznego. Tym sposobem zachodnia praca może jeszcze konkurować z azjatycką. Alternatywą jest sytuacja we Francji i w Niemczech: dobre zabezpieczenia i zarobki, w tym płaca minimalna, poniżej której nie można zejść. Ponieważ jednak oznacza to niekorzystne warunki w stosunku do tych, jakie

oferują Azjaci, efektem jest niechęć kapitału do zatrudnienia, innymi słowy – wysokie bezrobocie.

Według programu prezydenta Chiraca polityka ma tutaj obowiązek szukania trzeciej drogi, z odrzuceniem fatalnego wyboru: niskie płace, albo wysokie bezrobocie. Według zaś liberałów państwo w każdym ze swych poczynąń wyda pieniądze mniej skutecznie, niż sektor prywatny, w związku z tym należy sprywatyzować, co się da i zmniejszyć obciążenia kapitału.

Pierwszy międzynarodowy szczyt na temat pracy w kwietniu br. w Lille obradował pod wrażeniem sytuacji w USA, gdzie w okresie trzech ubiegłych lat stworzono 9 milionów nowych miejsc pracy. Przekonani do skuteczności norm amerykańskiego liberalizmu ministrowie zachodnich rządów opowiedzieli się za likwidacją sztywnych reguł pracy oraz minimum socjalnego w płacach. W nowych warunkach przeciętny tydzień pracy może się wydłużyć na przykład do 50 godzin, z rekompensatą czasową w okresie spadku zamówień, przy czym pracownik dowie się o tym na przykład dzień wcześniej. Łatwiej będzie człowieka zwolnić, ale również łatwiej znajdzie on nową pracę, choć z dużym prawdopodobieństwem gorzej płatną.

Czy zatem amerykańskie wzory są uniwersalnym lekarstwem na bolączki rynku? Czy też może Europa powinna szukać własnej drogi?

Źródła europejskiej odrębności ideologicznej leżą najpierw w samej kulturze. Świadomość europejska ukształtowana została przez różnorodne wpływy i wykazuje niewielką skłonność do jednostronnych teorii, jakich zresztą, wierna tradycjom różnorodności i tolerancji, wytworzyła najdoskonalsze formy w postaci komunizmu i liberalizmu. Ani założenie Adama Smitha, że najlepiej dobru społecznemu służy uwolnienie indywidualnych egoizmów, ani teza Marksa o możliwości wychowania człowieka idealnie społecznego nie zaszczepiły się na kontynencie, znajdując swe laboratoria w odległych mocarstwach. I nie bez racji: komunizm mógł się przyjąć tylko na pokładach nieskończonej cierpliwości zniewolonego społeczeństwa w Rosji, podobnie jak pełna wolność gospodarowania zaowocowała w kraju o nieskończonych zasobach, jakimi są Stany Zjednoczone. Na swoim przelud-

nionym, wielokulturowym kontynencie Europejczyk stale oscyluje pomiędzy pragnieniem wolności i potrzebą bezpieczeństwa, co w szczególności prowadzi do uznania roli państwa i służby społecznej. Redukcja sfery dobra publicznego postrzeżona zostanie jako regres w wielowiekowym marszu ku królestwu powszechnemu, gdzie człowiek będzie się czuł bezpieczny, ponieważ nie będzie musiał stale myśleć o przetrwaniu; doświadczenie wykazało, że poczucie wspólnoty stabilizuje jednostkę i zapewnia jej dostęp do stworzonych wcześniej wartości. System minimum socjalnego i zabezpieczenie pracy w sektorze państwowym należy do takich wartości i trudno sobie wyobrazić zgodę Niemców czy Francuzów na ich likwidację.

W kulturze europejskiej dużą rolę odgrywają wartości egalitarne. Nierówności społeczne w takim wymiarze, jak w Stanach, wywołałyby w Europie intensywne sprzeciwy, wprowadzając na scenę polityczną drastyczne regulatory prawne, zanim stale drzemiące w społeczeństwach nastroje rewindykacyjne nie doprowadziłyby do rewolucji. Tymczasem proponowana przez Amerykanów pełna wolność inicjatywy wytwarza nierówności na wielką skalę, stopniowo przypominając sytuację społeczeństw feudalnych.

Wreszcie zapleczem amerykańskiego liberalizmu jest niezrównana potęga kraju, jego zasoby materialne, finansowe, wojskowe i polityczne, które w nieskończoność przesuwały granice spożycia i wytwarzania, co pozwala na skuteczne dostosowanie impetu przedsiębiorczości jednostek do każdych warunków na globalnym rynku. Amerykański liberalizm, nieskazitelny wewnątrz, za granicą korzysta z niepokonanych przewag gospodarczych, politycznych, monetarnych i wojskowych USA, co niekiedy prowadzi od całkiem nieliberalnego dyktatu. W szczególności przejawia się on w postaci przedziwnej, antyliberalnej w swej zasadzie symbiozie interesów USA i rynku finansowego, który, bezlitosny w stosunku do innych, aprobuje rozrzutne spożycie w Stanach, co stanowi jeden z motorów nadzwyczajnego powodzenia gospodarki amerykańskiej. Wyrozumiałość operatorów giełdowych tłumaczy się tym, że rynek nie może sobie pozwolić na upadek swego największego dłużnika. Oczywiście prawo silniejszego nie będzie dla nikogo zaskoczeniem, lecz tym bardziej wypada

je wziąć pod uwagę przy ocenie uniwersalności wzorów zza oceanu.

Wzory te muszą wywołać reakcję również dlatego, że nie samym hamburgerem człowiek żyje. Liberalne normy zaradności indywidualnej ujednolicają kulturę i nie bez kozery stosunek do odmienności wydaje się trudnym problemem dla amerykańskiej szkoły życia. Tymczasem różnorodność stanowi podstawę kultury europejskiej i jej obrona jest kwestią instynktu samozachowawczego narodów starego kontynentu.

W obronie specyfiki kulturowej, własnych zasad skuteczności gospodarczej i spójności, Europa, korzystając także i z amerykańskich doświadczeń, szukać będzie właściwych dla siebie sposobów ułożenia spraw. Oznacza to w szczególności, że tak długo, jak zasądom jednostkowego powodzenia towarzyszyć będzie refleksja społeczna, Europa utrzyma swój los we własnych rękach.

Dyskusja nad ujemnymi skutkami globalizacji rynku dopiero się zaczęła. Nie wystarczy tęsknota za własną identycznością. Europejczycy muszą brać pod uwagę twarde realia. Wobec konkurencji taniej pracy za granicą nie można ignorować postulatów powiększenia atrakcyjności pracy europejskiej, czemu dali wyraz ministrowie na spotkaniu w Lille. Polityka ze swej strony powinna redukować społeczne koszty przemian, szukając środków zarówno w racjonalnym zarządzaniu kolosalnym potencjałem współczesnej maszyny państwowej, jak i poprzez popieranie wspólnotowego instynktu wielomilionowych społeczeństw. Skądinąd musi dojść do wypracowania innych zasad współżycia, niż tylko opartych o zasadę stałego wzrostu, co po upowszechnieniu zasad konsumeryzmu zamieniłoby planetę w miejsce niemożliwe do życia – a tu zauważyć wypada, że problemem nie są obyczaje dolnych warstw społecznych, ale tych, co spożywają w nadmiarze.

Chociaż nikt nie ma tu gotowej recepty, to z pewnością nie można się zadowolić samymi sugestiami bardziej wydajnej pracy za mniejsze wynagrodzenie, ponieważ w Europie doprowadzi to do wybuchu. W zasadzie mało kto kwestionuje zasadę oszczędności budżetowych i zmniejszenia marnotrawstwa w wytwarzaniu i zarządzaniu, problem polega na tym, by ciężary rozłożyć sprawiedliwie; ludzi nie rzuca na ulicę

obawa przed głodem, lecz poczucie zniewagi. Sprawiedliwość społeczna wszelako nie jest pojęciem rynkowym, ale domeną polityki. Podobnie polityka musi stawić czoła konsekwencjom własnych poczynań w dziedzinie upowszechniania rynku i otwierania granic, które prowadzą do złożonego układu problemów gospodarczych, politycznych i psychologicznych. W pierwszej fazie tego procesu jednak decydujący głos ma kryterium zysku i nieubłaganych praw konkurencji, co wysuwa na pierwszy plan makroekonomiczne kryteria rynku, ze szkodą dla projektu społecznego.

W tych warunkach następuje ideologizacja postaw i polaryzują się nastroje. Wykluczeni nabierają przekonania o spisku „cywilizowanej” części społeczeństwa, które poprzez działania pozorne miałyby celowo utrzymywać podział społeczny, a klasy średnie, jeśli nie ulegają złudzeniu, że wykluczenie jest sprawą woli i że „barbarzyńcy” po prostu nie chcą wykazać koniecznej inwencji i ruchliwości, by wydostać się z upadku, to skupiają się na atrybutach wykluczenia, raczej niż na jego przyczynach strukturalnych. Ujawnia to kapitalne znaczenie dialogu obu stron, z wielką rolą dla polityków i środków przekazu, tak aby uniknąć eskalacji żądań z jednej strony i ślepoty z drugiej; zasady sprawiedliwości społecznej bowiem w niczym nie umniejszają potrzeby racjonalnego zarządzania budżetem państwa oraz doskonalenia skuteczności pracy i edukacji.

Rynek na rozstajach dróg

Centralny na rynku problem stosunku do wykluczonych ze spirali sukcesu zależy od kultury społeczeństwa. W Stanach górę biorą poglądy liberalne: instytucje republikańskie są dobre i tylko od samych ubogich zależy, jak je wykorzystają. Inna sytuacja zdaje się rysować w Europie, gdzie ludzie są mniej skłonni do uznawania własnej struktury społecznej za najlepszą z możliwych. Środki przekazu i uniwersytety, mnożąc wyrazy współczucia pod adresem wykluczonych, stopniowo rysują ich odrębność jako zjawisko samodzielne i nieodwracalne: ekscesy barbarzyńców rynku nie są przejawem niedostosowania do społeczeństwa, lecz wysiłkiem odnale-

zenia swego miejsca w jedynie dostępnej im grupie wykluczonych.

W takiej wykładni ujawnia się nie tyle jednostkowa ich agresywność, lecz po prostu zła organizacja społeczeństwa, trwale podzielonego zwycięskim marszem rynku. Upór związków zawodowych funkcjonariuszy, polityczna poprawność środków przekazu i społeczna gorliwość uniwersytetów przygotowuje powrót dialektyki na scenę polityczną, która uzupełni triumfalizm jednostkowego powodzenia o wartości etosu wspólnotowego. Dla wytworzenia skutecznego projektu społecznego, polityka zostanie wezwana do przemyślenia na nowo pojęcia pracy nagradzanej, kapitał – do wzięcia pod uwagę sytuacji pracujących w swej strategii rozwojowej, a sami pracujący – do podziału pracy i zarobków.

Zwierciadło polskie

Polska jest dość typowym odbłaskiem dezintegracji rynku, z jego zachęcającymi wskaźnikami makroekonomicznymi i pogłębiającym się pęknięciem społeczeństwa. Na tym jednak podobieństwa się kończą, ponieważ o ile pierwsze jest gorliwie odnotowywane, o tyle drugie nie znajduje godziwego świadectwa, a zwłaszcza prób rozumienia i zaradzenia. Oczywiście gazety opisują gniazda ubóstwa i niezaradności, lecz najczęściej wystrzegają się konkluzji ustrojowej, zadawałając się wnioskiem o kosztach zmian, albo braku zdecydowania w przeprowadzaniu reform. Wstydliva banicja zasadniczej refleksji społecznej, podobnie zresztą jak i mikroekonomicznej, prowadzi do jednostronności poglądów, gdzie wszelkie niuanse odebrane zostaną jako atak na rynek i odrzucone w trosce o spójność reakcyjnej postawy. Krzepki neoliberalizm ośrodków opiniotwórczych przejawia się w hagiografii karier gospodarczych oraz triumfalizmie wskaźników makroekonomicznych: „poprawność polityczna” w polskim wykonaniu to aprobata języka i logiki tych wskaźników, pozytywna postawa w stosunku do wszelakich przejawów kumulacji bogactwa i wzrostu cyfr oraz unikanie dyskursu społecznego, jako podejrzanego o „neokomunizm”.

Uderzającym przykładem ubóstwa języka ekonomicznego

jest u nas zauroczenie kryteriami makroekonomicznymi. Kryteria te wszędzie, lecz szczególnie w krajach rozwijających się, ocenić można jako poważne instrumenty oceny i planowania tylko wówczas, jeśli pojęte są dynamicznie. Cyfry wzrostu mają znaczenie poznawcze, jeśli uwzględniają jakość życia mieszkańców, inwestycje – gdy honorują potrzeby edukacji i badań rozwojowych, wydatki produkcyjne – jeśli uwzględniają ochronę środowiska, budżet – gdy pojmowany jest nie w kategoriach doraźnego wydatku, lecz ponadczasowej inwestycji, zadłużenie – nie jako łatanie salda bieżących wydatków, ale rozłożenie w czasie koniunkturalnego szoku i antycypacji przyszłych dochodów. Cóż z tego dojrzeć można w cyfrowych analizach polskich przemian?

Zasadnicze zubożenie wysiłku intelektualnego w ocenie tendencji globalnego rynku zilustrujemy przykładem tekstu zamieszczonego w sylwestrowym numerze *Polityki* na temat francuskich strajków. Po spłyconym opisie konfliktu, sprowadzonego do konfrontacji pieniackich związków zawodowych i upartego premiera, autor kończy rozmowę ze swym francuskim znajomym, który zapytuje, czy Polacy interesują się tą „zawieruchą”. Nie, odpowiada autor, Polacy nie mają czasu, ponieważ – pracują.

Ten przykład arogancji w stosunku do sygnałów płynących z głębi realnego rynku wybraliśmy dla wyjątkowej sytuacji dziennikarza, który żyje i pracuje w społeczeństwie o tradycjach krytycznego dialogu pomiędzy wolną przedsiębiorczością i społecznymi imperatywami. Osobisty kontakt z grudniowym protestem Francuzów był dobrą okazją pogłębionej refleksji, niedostępnej licznym dziennikarzom pracującym w kraju, których liberalna gorliwość tłumaczyć się może brakiem perspektywy wobec przeżywanej na gorąco burzy ustrojowej. Okazuje się jednak, że naszego dziennikarza nie wyleczy z parafianizmu nawet długi kontakt z realiami powszechnego rynku, gdzie wykaże niezłomną odporność na krytykę jedynie słusznego systemu. Przyjęcie perspektywy społeczeństwa, które w zdecydowanej większości poparło trudny dla wszystkich strajk, zawiodłoby polskiego korespondenta w teren argumentacji społecznej niechętnie widzianej w środowisku neo-liberalnym: artykuł zostałby oceniony jako niepoprawny politycznie i redaktor mógłby go odrzucić.

Poprawna natomiast jest gorliwość rynkowa, naskórkowy optymizm wobec nieznosnie złożonych realiów, możliwych do ukrycia za pokrzepiającymi cyframi i przykładami zaradności jednostek. Wykorzystując tę okoliczność w odniesieniu do niewygodnego problemu społecznych pęknięć, gospodarcza nowomowa skupi się na postawach wyjątkowych, na przykład wybranych inwalidach o losach wpisujących się w rynkowy mit powodzenia wbrew wszystkim przeszkodom, w tym wypadku mimo kalectwa. Podobnie mamy prawo do opisów zaradności żebraków, albo bezrobotnych pracujących na czarno, którym na kolumnach gazet towarzyszyć będzie lista szczęśliwych przedsiębiorców. Umajone radosnym szlachkiem cyfr makroekonomicznego postępu, tworzą one nieprzenikniony tuman informacyjnej zadymy, zza której tu i ówdzie dostrzec można ciemne masy prowadzone ku błyszczącej przyszłości rynku, a mimo to głosujące na kandydatów lewicy.

Robert KACZMAREK

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Samopas na Kanin Nos i z powrotem (III)

„Przedstawcie sobie nasze położenie, zapewne malownicze, ale bynajmniej nie do pozazdroszczenia: pośród nieogarnionej masy wód, pod chłodnym niebem, zakrytym czarnymi chmurami, mała łódź, miotana falą to w górę, to w bezdeń... Nie potrafię powiedzieć, dlaczego pokochałem to lodowate morze, lecz wiem, że nie zamieniłbym się z Wami...”

– fragment z dziennika wyprawy
Pachtusowa na Nową Ziemię, 1832-33.

Kanin Nos

Półwysep Kanin wystaje prawie trzysta wiorst za Krąg Polarny i sięga 68°40' północnej szerokości geograficznej, rozdzielając Mieżński zalew Białego morza i Czjoszką zatokę morza Barentsa. Półwysep kończy się długim cyplem, zwanym Nosem. Wedle starych mitów Kanin Nos leży na styku świata z zaświatami. Zapewne fizyczna geografia miała wpływ na wierzenia, albowiem dwa morza się tu zlewają i żywioł kipi: sztormy, antycyklony, burze magnetyczne. Na mapie półwysep Kanin przypomina głowę morskiego potwora z rysunków Olaus Magnusa, ilustrujących jego „Historię narodów Północy” (wyd. Rzym, 1555). Późniejsze relacje potwierdzały istnienie potworów na polarnych krańcach ziemi. Być może były one efektem refrakcji, czyli iluzji optycznych, którym często ulegają żeglarze na Północy, gdzie

byle drozda można wziąć za strusia, a może w rzeczy samej, potwory tu zamieszkiwały. Dzisiaj na Kanin Nosie żyje sowiecki duch...

Na czubku cypla, w torfiastym błocie, rozrzucono kilka drewnianych domów, przypominających zaniedbane saraje. Belki szare, wytrawione wiatrem i solą. Między domami kładki spróchniałe. Jakieś szopy, składy. Wokół bałagan, beczki po ropie, zardzewiały ciągnik bez gąsienic, ślady mazutu. A na pierwszym planie, patrząc od strony morza, wielki czerwony płot z emblematami Sowietckiego Sojuza. To ten płot dojrzelismy z okien baraku godzinę temu. Na monotonnym tle tundry, domów z dala nie widać i mogliśmy przejść mimo, i błędzić dalej. Zatem dzięki tej plamie, jaskrawej jak jucha na trawie, trafiliśmy w końcu do ludzi. Bo na Kanin Nosie żyją też ludzie.

Na spotkanie nam wyskoczył śmieszny, łaciaty piesek. Merdał ogonem, łasił się do nóg, rad gościom. W słońcu błysnęło szkło lornety, ktoś nas oglądał. Podeszliśmy bliżej. Z pierwszego domu wyszła baba o nalanej twarzy. W rękę trzymała strzelbę. Stanęliśmy jak wryci. Od baby jechało tranem. Niczym od leciwej syreny – pomyślałem. To była Flora Prokofiejewna, feldszerica s bolszewickim ukłonom, jak sama się przedstawiła i powiedziała, żeby iść za nią. Powiodła nas w mroczną sień, gdzie wisały oślisze sieci, dalej korytarzem po omacku, potem drzwi, kotara ze skór, znów korytarz, jeszcze jedna kotara, kuchnia. W kuchni pieluchy nad piecem, woń sików, jacyś ludzie, rozgardiasz. Posadzili nas za stołem, samogonu nalali, postavili gar uchy z omuli, gorący chleb. Twarze życzliwe, ciekawe przybyszów. Co chwilę ktoś nowy zaglądał, niby przypadkiem, mimochodem. Wypiliśmy po stakanie, zapiliśmy uchę. Rozżarzyło nas. Rozkleiło. Wtedy Prokofiejewna zażądała paszportów, by dane spisać, wszak znajdujemy się w zonie przygranicznej. Na widok mojego cudzoziemskiego dokumentu osłupiała. Bo Flora Prokofiejewna nigdy nie widziała żywego cudzoziemca...

– Jaki on tam cudzoziemiec – rzucił z kąta muzyk, którego wcześniej nie zauważyłem – on swój, sołowiecki, on na Sołówkach żyje.

Czasami się zdaje, że Szalamow sam sobie zaprzecza. Raz zaleca pozycję cudzoziemca w świecie, o którym piszesz, innym razem zdecydowanie ją odrzuca, twierdząc że nie obserwatorem, nie gapiem powinienes być, ale twórcą i uczestnikiem życia, i to bynajmniej nie w „roli pisarza”, który zawsze jest nieco „poza”, wszystko jedno, „nad”, czy „z boku”, lecz jako subiekt „prozy, przeżytej jak dokument”. Antynomia jest jednak pozorna, bowiem w istocie oba punkty widzenia się uzupełniają i piszący zawsze będzie cudzoziemcem, nawet w swojej ojczyźnie, a zarazem wszędzie znajduje się u siebie, na własnej tropie. Warto powtórzyć, że rzecz dotyczy „prozy, przeżytej jak dokument”, a nie literatury dokumentarnej, czy zgoła fikcji.

Wedle paszportu pozostawałem dla nich cudzoziemcem, ale żyjąc między nimi kawał czasu, stawałem się swoim. Bowiem inaczej cię tu przyjmują, kiedy mieszkasz w hotelach, posiadasz udostawienie, dużo baksów i immunitet, który ci daje akredytacja, a zupełnie inaczej, kiedy sam okopujesz kartoszkę, potrafisz zimą sieci pod lodem postawić i w tundrze samopas nie zginąć. Tutaj, na Północy, żyźń nie szutit, jak mawiają, warunki tutaj panują srogie, przyroda sama weryfikuje człowieka. Inni zaś mogą jedynie potwierdzić – jak Jura, ów muzyk siedzący w kacie kuchni – żeś swój...

Z Jurą wypiliśmy onegdaj kwaterkę szyla w drodze do Umby. To było moje pierwsze lato nad Białym morzem. Po długiej zimie, spędzonej na Sołowkach, jak w celi, ledwie lody puścili, wybrałem się powalać po białomorskich brzegach. Jeszcze Wasi z Sum Posada nie znałem, więc byłem zdany na okazję – łapałem statki jak ciężarówki na autostopie. Z Sołówek mnie podrzucili na Pomorski brzeg, gdzie się tydzień w pojedynkę błąkałem po błotach, potem zobaczyłem Biełomorkanał, kawałek Karelii i trafiłem do Kiemi, w sam raz, by zdążyć na pokład GS-a (gidrograficzskoje sudno), który szedł na Kanin, a po drodze zawijał do Umby. O tym, by wziąć mnie na Kanin, w ogóle słyszeć nie chcieli, bo zona, bo tam poligon, bo tajemnica państwowa, natomiast do Umby zabrali. Ledwie wyszliśmy z portu, na pokładzie Jura się pojawił, z szylem i z

wędzonym miętusem na zakąskę. Chciał obmyć swoje szczęście, ale nie miał z kim, bo załoga w morzu nie pije. Szczęście? Tak. Jura był szczęśliwy, bo podpisał kontrakt na kaniński majak. Dotąd pracował w kopalniach Donbasu i życia zaczynał mieć dość. Praca w szybach, wciąż pod ziemią, jak krety. Wcześniej choć zarabiali przyzwoicie, a teraz bieda, strajki, głód. Przestało nawet cieszyć mieszkanie, w którym nie można było okien otwierać, bo pył węglowy osiadał na meblach. W tej sytuacji wyjazd na Kanin to perskie oko fortuny. Tam zarobić można i przyrody w bród. Porybaczyć, postrzelać, miszkę białego zobaczyć. I dla pacana zdrowiej, a to węglem dyszał i chorował bez przerwy. Jakby słysząc, że o nim mowa, na pokładzie pojawił się Piet'ka, synek Jury. A mama wciąż płacze, powiedział, i nie chce świata oglądać. Kat'ka, mistrzyni sportu w gimnastyce na przyrządach, na Dalekiej Północy nie widziała życia. Tam ani pałacu sportów, ani koleżanek, ani telewizora. Tam nawet sklepów nie ma! Ot, baby. Ale Jura był dobrej myśli. Przywyknie, powtarzał, przywyknie. Potem zamilkł. Może zwątpił, może myślami już po Kanin Nosie błdził, a może oniemiał od szyla. Od Kandałakszy szła lekka bryza, wyspy Olenie wisiły w mirażu, w dali majaczył brzeg. Dopiero w Umbie, kiedy trap spuścili, Jura się raptem ocykał. Wypiliśmy na pososzok (dosłownie: na kostur, a po naszymu: strzemienego), objęliśmy się po rusku, ucałowaliśmy...

Objęliśmy się po rusku, ucałowaliśmy. No proszę, kto by podumał, że się jeszcze spotkamy? I to gdzie? Na Kanin Nosie! Trzeba to obmyć. Jura poleciał Kat'kę budzić, w kuchni rwetes zapanował. Biegali, nosili, mówili jednocześnie, jeden przez drugiego, radowali się. Tylko Flora z tonu nie spuściła i dowiedziawszy się, że zbieram materiał do książki o Białym morzu, inwigilowała: co piszę, z jakim nakłonem i czy przypadkiem nie przeciw Ruskim? Moje fabulacje widać ją ukontentowały, bo nieco już mięcej wyjaśniła, że żyją tu w kolektywie, dziewięćoosobowym (nie licząc Piet'ki i małej Warwarki), razem obsługują majak i stację meteorologiczną, i razem klepią biedę po upadku władzy sowieckiej. Wcześniej żyli dostatnio, prowiant i poczta docierały regularnie, sanitar-

ny helikopter przylatywał na każde wezwanie, zarobki też były niczego sobie, a teraz... Tfu, lepiej nie mówić. Bez dziczyzny i ryby, które sami zdobywają, pewnie by poszło zdychać z głodu. Ostatnio papierosów zabrakło i muzyki trawę kurzyli, półtora miesiąca. Dlatego wszyscy, jak jeden mąż, będą głosować na Ziuganowa, choć prawdę powiedziawszy, Giennadiju Andrejewiczowi też nie dowierzają, bo kto tak długo wyciera krzesła w Moskwie, u tego mięknie zad. Tutaj, na rubieży byłego Sojuza, życie pośladków nie głaszcze. Stąd wyraźniej widać brednię reform, chaos pieriestrojki i chytre mordy demokratów. Prokofiejewny nie oszukasz, ona Stalina przeżyła i Jelcyna przetrzyma. Wczoraj skończyła sześćdziesiąt dwa lata, ale wieku swojego nie czuje i jeszcze pochuliganić lubi. To ona w czasie sierpniowego puczu namalowała na płocie sztandar Sojuza, by z morza, z daleka widzieli, że duch sowiecki nie zginął...

W trakcie owej inwigilacyjno-ideologicznej biesiady, Flora ani na moment nie przestawała dyrygować kolektywem. Stół zastawiono obficie. Czegoż tam nie było? I sterlet w galarecie z żurawiny, i pierogi z nelmą, i pierogi z szochurem, i marynowane bekasy, i pasztet z pardwy, a na gorąco resztki wczorajszego głuszca i płuca olenie w domowym winie, wreszcie, na środku stołu, wiadro samogonu z moroszeki. Prokofiejewna z dumą i z niejaką goryczą zarazem, podkreśliła, że oprócz maki na pierogi, wszystko to sami zdobyli, strzelbą i wędką. Zatem zaczęły się toasty, zaniuchiwanie, zapijanie, zakaszanie. Nie wiem, czy mocny samogon to sprawił, czy wychodziło zmęczenie, ale miałem wrażenie, jakby wszyscy naraz opowiadali, każdy swoje życie. Polifonia losów, z której wyławiałem wątki, zaledwie strzępy wątków. Ot Flora, feldszerka, całe życie na Północy: w łagrach, w zonach specjalnych, na polarnych stacjach. Albo mechanik Dima, „afganiec”, gadający w kółko o wojnie, do śmiechu, do łez, do czkawki. Albo jego wujek, Kola, który odsiedział piętnaście lat za zabójstwo żony, potem wyszedł, ożenił się znowu i uciekł na Kanin, by drugiej nie ubić. Albo Kat’ka, medalistka w skokach przez konia, teraz roztyta, rozpita, z białymi migrenami. Albo Pasza, „bicz”, czyli bywszyj inteligentnyj cziełowiek, jak sam rozszyfrowuje abrewiaturę, kiedyś poeta, bard, dysydent, a dzisiaj wszystko mu jedno.

Wątki się plotły, gmatwały, zlewały w jedną dolę, w jedną rzeźbę. Jakbym oglądał, wciąż ten sam, wolno obracający się kamień, wyczelowany do bólu. Ile czasu mogło upłynąć? Nie wiem. Jeśli samogonem mierzyć, to sporo – pół wiadra. Raptem zgrzytnęło, kamień stanął, znieruchomiał... To gitara. Zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. Gitara znowu zgrzytnęła. Nie od razu pojąłem, co Pasza śpiewa, rublem po strunie przeciągając, bo zaczął szeptem, jakby do siebie. Przez okno sączyła się sina poświata, powlekając zarówno potrawy, jak i twarze biesiadników odcieniem wosku, który nadawał i jadłu i ludziom charakter martwej natury. To był Tiutczew, Pasza śpiewał „Silentium”:

Kak serdcu wyskazat’ siebja?

Drugomu kak poniat’ tiebja?

Pojm jot li on, czjem ty żywjosz?

Mysl izrieczennaja jest’ toż’,

Wzrywaja, wozmutisz kljuczi, –

Pitajsja imi – i molczy.

Tarchanow

Z Kanina wyruszyliśmy nazajutrz, we mgle. Tundra parowała mlecznymi dymami. Słońce, jak plasterek cytryny, przeświecało przez tuman. Jura z Kat’ką wyprowadzili nas na dawny samojedzki trakt koczowniczy, zwany „letnikiem”, bo można po nich latem jeździć na nartach (rodzaj sań na Północy). Letnik biegnie środkiem tundry, wspina się na plateau Kamienia, przecina Wielką Bugrianicę, Szojnę, Kiję i dochodzi do Cziży. Jura nam objaśnił, by się go trzymać do pierwszych sopek, a potem wzdłuż strumienia zejść do morza i dalej, już brzegiem, do załudja, gdzie zostawiliśmy „Antura”. Mgły rzędły, słońce paliło, dzień zapowiadał się znojny. Po paru wiorstach zwolniłem kroku, chciałem być sam. Umówiłem się z Wasią, że poczekają na mnie z Loszą koło strumienia, przy którym mamy skręcić ku morzu i odczekałem chwilę, aż znikną za horyzontem, aż zmilkną ich głosy. Wokoło rozpościerał się pierwotny świat. Ani śladu cywilizacji, kultury, historii. Brak przeszłości. Żadnych ruin, żadnych

zabytków. Zupełnie pusto, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Stąd może to osobliwe poczucie, będące udziałem włóczęgów Dalekiej Północy, poczucie kresu: świata, życia. Rzeczywistości.

Dalej stary trakt Samojedów wiódł przez rdzawe błota, kluczył, wił się. Czasami zupełnie ginął, w grzęzawiskach, w trawie, innym razem smugą się kładł, jak cieniem, na krzewinkach moroszek. Raz nawet miałem wrażenie, że kreśli ósemkę, bo mijane kępy zdały mi się znajome i wtedy wspominałem „przypowieść o tropie” Samojeda Wyłki. Tyko Wyłka (1882-1960), myśliwy, bazarz, wedle niektórych szaman, samorodny artysta malarz (za album z rysunkami otrzymał od cara Mikołaja II sztucer typu Winchester i tysiąc naboii!), dalej przewodnik wypraw polarnych, potem sowiecki prezydent Nowej Ziemi, przyjmowany na Kremlu przez Kalinina, tenże Wyłka lubił powtarzać, że każdy ma w tundrze swoją tropę, tylko jemu przeznaczoną; tropę, na którą trafić nie prosto i można całe życie przechodzić mimo. Często się zdarza, że ją przecinasz parę razy dziennie, idąc po wodę, czy po drwa, a bywa, że tropisz na niej olenia i zbaczasz jego śladem w iwy gąszcz. Lecz jeśli posłuchasz swojej tropy, uczył Tyko Wyłka, ona cię powiedzie, jak pieśń, i sama się obróci na drugą stronę, nawet nie zauważysz kiedy. I dalej pójdziesz, w głąb tej samej tundry, bo ani tropa, ani tundra się nie kończą tutaj...

Tutaj? Tam? Dla Wyłki to dwie strony jednej i tej samej drogi, którą próbował utrwalić na płótnie, w pieśniach. W jego obrazach widać skupienie, tak charakterystyczne dla północnej przyrody, skoncentrowanej na niewielu frontach, w paru tonach, przede wszystkim w świetle. To dzięki światłu landszafty Wyłki są przeźroczyste – prześwieca przez nie spokój wieczności. Nawet w banalnych, zdawałoby się, scenach rodzajowych z życia Samojedów – „Na polowaniu”, czy „Przy ognisku” – widać rzeczywistość bytu codziennego zastygłą w świetle, jak w bursztynie, ale prawdziwy kunszt Wyłki można ocenić dopiero w jego północnych pejzażach – w „Nieznanej zatoce”, w „Łodach Karskiego morza”, w „Przylądku Drew”, w „Niedźwiedzich sopkach” – które nie tyle obrazują, co wyświetlają na płótnie tamten świat. Tamten? W sztuce (i w życiu) Tyko Wyłki to różne strony

jednej i tej samej rzeczywistości, jak wstęga błysków na ciemnym niebie „Zorzy polarnej” jest zaledwie odwróconym odbiciem (niczym negatyw) „Tropy w tundrze”, a ślady pędzla – tropem artysty...

Gdzieś daleko huknęła Wasina fuzja. Odpowiedziałem strzałem. Dopiero teraz do mnie dotarło, że słońce zatoczyło pół nieba, czyli pół doby upłynęło, od kiedy zostałem sam. Widać wyziewy mokradeł przytępiły poczucie czasu, bo szedłbym o zakład, że zaledwie godzina minęła. Do „Antura” dobrnęliśmy w środku nocy. Tymczasem wiatr zakręcił przeciw słońcu, które zawisło nad cyplem Tarchanowa jak bąbel krwi.

Wielka Bugrianica

Rano szałonnik uderzył, ledwie wyszliśmy z załudia. Niebo w okamgnieniu się skryło. Zewsząd woda. Morze stało się dęba i pokryło się pianą. Jej żółto-białe płyty padały na pokład. Powrót za grzędę był wykluczony. W tej sytuacji zaryzykowaliśmy wejście w Wielką Bugrianicę, dwadzieścia wiorst niżej, najdogodniejszą do ukrycia się – wedle „Locji” – rzekę w pobliżu Kanin Nosa. Z trudem wypatrzyliśmy ją w ścianie piany i wody. Brzeg zlewał się z morzem w lornecie, w jednolitą ołowianą kipieli. Tylko w jednym miejscu woda burzyła się buro-brudnymi wirami. To było ujście Bugrianicy, jej nurt na koszkach się kłębił. Koszki to podwodne łachy piachu, przy małej wodzie obsychające, a przy pełnej – złowieszcze. Zwłaszcza w czasie sztormu, kiedy nie masz ani czasu, ani możliwości, dno kołami badać. Zatem, jak zwykle w takich momentach, pozostaje Wasina intuicja i szczypta fartu: Locha do wajchy, ja na gaz, Wasia za ster. W Wielką Bugrianicę wśliznęliśmy się na ostrzu miecza.

Szałonnik się wzmaga. Już drugą dobę dmie. Stoimy w zakolu rzeki, osłonięci od morza jedynie szeregiem bakłysz, czyli kamieni zalewanych przyplływem. Marne to schronienie, ale wyżej nie puszczają skalne progi. Brzegi Bugrianicy są strome, strumieniami złozone, porośnięte mokrym mchem. W 1877 roku myśliwy Foma Uwakin znalazł tu umierającego Nikołaja Zografa, kierownika jednej z pierwszych naukowych

ekspedycji na Kanin. Samojedzi towarzyszący Zografowi, zorientowawszy się, że uczonej konserwuje okazy zbieranej fauny w spirytusie, ukradli i wypili kolekcję, a profesora porzucili w tundrze. W przybrzeżnej niaszy (grząski, czarny ił) sterczy zbutwiała łódź na paru przeżartych rdzą kotwicach, nieco wyżej, w zaroślach olbrzymich liści, podobnych do topuchów, stoi na wpół zgniła chata. To ostatki rybackiego stanowiszcza, do niedawna włości kołchozu z Szojny. Dzisiaj koło chaty resztki sieci się walają, wyszczerbiony topór, dziurawe wiadro, okopcony czajnik. W środku ślady zwierząt, puste butelki. Na jednej rodzima naklejka, jak echo z kraju ojczystego: „Wódka Wyborowa”...

Szałonnik nie ustaje. Trzecią dobę wyje. Nieustanny wizg w wantach, w głowie, do młodości. Fale przeskakują bakłyszce i grzmocą z furją o burtę. Wiatr na składzie na bok. Walimy maszt, nie lada wyczyn w takiej kołysce. Wszystko lata. Kotwice brodzą w mulistym dnie, nie trzymają. Na małej wodzie, co dwanaście godzin, przestawiamy je, (cztery kotwice, po sto kilo każda), po pachwiny w szlamie. Woń gnicia zapiera dech. Siarkowodór, zapach czarta.

Szałonnik. Czwarta doba i końca nie widać. Ziąb przenikliwy. Godziny się wloką, jak lata „pod celą”. Jemy, śpimy, na okrągło rżniemy w burę. Chwilami próbuję czytać, coś notować, ale myśli się rozbiegają. Zabijam więc czas błatnymi słówkami, które mi Wasia podpowiada. Ot, dla przykładu ciekawe polonicum: „poljak” (także „mar”) to „wor odinoczka” na fieni, czyli złodziej działający w pojedynkę.

– Ty Mar, jak prawdziwy „poljak”, kradniesz samopas naszą ruską rzeczywistość i sprzedajesz ją w Paryżu, niczym swoją...

Morżowiec

Zły urok, czy lekcja pokory? Zaczarowane Koło Polarne, którego nie sposób przekroczyć. Dwie doby oczekiwaliśmy jeszcze w Bugrianicy, aż się Białe uspokoi i kołysanie zacichnie. Zamierzaliśmy wziąć Woronkę jednym chodem: dwieście dwadzieścia wiorst odkrytej wody. Kiedy wreszcie wyszliśmy, morze było gładkie, dmuchała morjanka, w

żaglach pełno, a na trąbce Miles Davis. Nad Konuszynem obłoczek się pojawił. Potem drugi, trzeci. Morjanka raptem zdechła, żagle opadły, *Sketches of Spain* się skończyły. A w zalewie Miezeni pogoda ostatecznie skurwiłaś – w Wasinym języku – i chariu zaduło. Mimo to szliśmy, póki widzialność pozwalała. W połowie zalewu mgła wypełzła. Tuman z wiatrem w Białym morzu to mogiła. Można zdrowaśki odmawiać. Tu nawet kompas nie pomoże, bo Woronka słynie z anomalii magnetycznych. Jednym Wasinym słowem: hana. Koniec. Wybawiła nas sowa polarna. Wielkie białe ptaszysko. Bezszelstnie wyłoniła się z tumanu, przecięła nasz kurs i zniknęła w tumanie. Jak przywidzenie. Skręciliśmy za nią. Po chwili zamajaczył przed nami ląd. To był Morżowiec. Gdyby nie sowa, poleźlibyśmy w Gorło, na Kiedowskie koski...

Morżowiec leży u wylotu Gorła, na samej linii Kręgu Polarnego, dwadzieścia osiem wiorst od Zimowego brzegu. Jest to duża, płaska, granitowa wyspa, owalnego kształtu (około 40-tu wiorst w obwodzie), pokryta plastrami lodu i ziemi. Podejść do niej trudno, bo corocznie brzegi zmienia, osuwając się stopniowo w morze i tworząc wokół siebie niebezpieczne mielizny, jak Ławica Rozbójników, na której nieomal utknęliśmy, kryjąc się przed radiolokatorem. Chodzenie po Białym morzu, to nie tylko walka z żywiołem, ale też sztuka unikania wojskowych lunet i radarów. Zwłaszcza gdy się chodzi bez rozrzeszenia. We mgłę i schować się łatwiej, i zginać prościej. Z racji swojego położenia, Morżowiec jest doskonałym punktem obserwacyjnym, zarówno do śledzenia niepożądanych ludzi, jak i do polowań na wodnego zwierza. W nazwie wyspy zachował się nawet ślad konia morskiego (morsa), doszczętnie już wytrzebionego w Białym morzu. Jeszcze do niedawna Morżowiec był jedną wielką rzeźnią – głównym miejscem uboju bielkow, czyli niemowląt tjuli.

Z początkiem zimy grenlandzkie tiulenie ogromnymi stadami zachodziły w Białe morze i tutaj, na dryfujących lodach, samice tjuli szczeniły się. W lutym i marcu lody ze zwierzętami niosło na północ, wzdłuż Zimowego brzegu do zalewu Miezeni, gdzie młode nabierały krzepy i uczyły się wody. Na początku maja stada odpływały w Ocean Lodowa-

ty. I cały ten czas szło w Białym morzu polowanie na „skórę”, jak nazywali tu tjulenie. Zwłaszcza na bielkow, których białe, puszyste futerka były w najwyższej cenie. Polowano artelami, złożonymi z 10-15 łodzi, po 5-7 muzyków w każdej. Muzyki podchodzili na łodziach do tjulenich „zalezek”, gdzie wylegiwało się do pięciu tysięcy skór na kilometr kwadratowy, wyskakiwali na lód i bili tjule pałkami po głowie. Ani bielki, ani ich matki nie uciekały, bowiem bielki nie umiały jeszcze się poruszać, no a matki zostawały przy swoich maluchach. Od razu też, na miejscu, ściągali z nich skóry, które razem z sadłem odprawiali na brzeg, a gołe tusze zostawiali na lodzie, pokrytym grubą warstwą zamarzniętej krwi. Rozkwit przemysłu zwierobojnego przypadł na początek XX wieku. Zimą 1901 na Morżowcu żyło 440 muzyków w 75 myśliwskich chatach. Później artele muzyczne zastąpiono brygadami kołchozników, a do uboju zwierząt zaczęto używać helikopterów. Tylko pałki zostawały z dawnych czasów, i podobnie bili nimi tjule po głowach. Z rozwojem techniki gwałtownie zmalało pogłowie grenlandzkiego tjulenia, a z rozpadem Sojuza spadł interes ku skórom. Dzisiaj chłodnie zwierobojnych kołchozów są zavalone towarem, którego nikt nie odbiera...

Wreszcie wiatr rozwłóczył mgłę. Morżowiec wyłonił się przed nami w pełnej krasie. Gdzieś tam jeszcze strzępy tumanu się snuły, rosa na jagielu migotała w słońcu, a Zołotucha, jedna z dwóch rzeczek wyspy, parowała wszystkimi barwami tęczy. Morżowiec był pusty, bezleśny i bezludny, jeśli nie liczyć wojskowych. Chaty myśliwskie dawno zbutwiały i rozsypały się w proch. Jakby czas zawrócił i pobiegł wstecz. W 1856 roku Maksimow zanotował w notatniku podróżnym, że na wyspie Morżowiec nie ma domów, i że nikt tutaj nie żyje, oprócz obserwatora i obsługi majaka.

Kiedy

Dalej poszliśmy pod wiatr na motorze. Na gołym Morżowcu byliśmy zbyt wystawieni: i sztorm nas mógł sponiewierać, i straż pograniczna. Lepiej licha nie kusić, zwłaszcza, że Gorło niedaleko i brzegi tam otwarte dla żeglugi. Co wcale

nie oznacza, że odtąd będziemy iść legalnie, wszak tutaj nawet otwarte, to bynajmniej nie dla każdego, tym bardziej – dla cudzoziemca. Tutaj należy zameldować, dokąd idziesz i po co, sporządzić zawczasu marszrutę wyprawy, by odpowiedni organ mógł ją zaaprobować, uzyskać na piśmie „dobro” i tylko wtedy mniemać, że się jest legalnie. Bez „dobra” na papierze, jak bez „błogosławienia” w monasterze, wszelkie działania poczytują tu za samowolę, za ignorowanie urzędów, władzy, autorytetu, a prawosławni jeszcze dodają: grzech pychy! Leczą, mimo wszystko, niejaka różnica między otwartym brzegiem, ku któremu zmierzaliśmy pod wiatr, i zamkniętymi zonami, które tym samym opuszczaliśmy, dodawała otuchy, albowiem zdawało się, że największe kłopoty mamy już za plecami. Innymi słowy, wracaliśmy na ziemię, jak nazywają Samoedzi tę stronę Kręgu Polarnego...

Parę wiorst za cyplem Woronowa wpada w morze Wielka Kiedowka, którą znaleźliśmy z ubiegłego roku. Dno tu piaszczyste, można obeschnąć, odpocząć. Na prawym brzegu rzeki, nieco powyżej ujścia, stoją Kiedy, typowe stanowiszcze rybackie: dom, skład, parę szop, bania. Stanowiszcze to sezonowa osada, dokąd muzyki co roku wyjeżdżają na okres połowów, zostawiając we wsi kobiety i dzieci, często na wiele miesięcy. Białe morze wiekami szlifowało pomorski byt, jak jego fale toczą brzeg, i nadało życiu Pomorców formy odpowiadające surowej przyrodzie. Fundamentem była męska wspólnota, której korzenie sięgają zamierzchłych czasów kolonizacji Północy, a kształt zasadniczy, w postaci rybackiego artelu, wypracowano na murmańskich połowach dorsza. Wspólnota obejmowała wszystkie kategorie wiekowe, od подростков do starców, miała swoją hierarchię, podział ról, obyczaje, język. Dla chłopców była zarówno szkołą rzemiosła, jak i życia, z całym arsenałem prób inicjacyjnych, poprzedzających kolejne szczeble wtajemniczeń. We wspólnocie obowiązywał srogi kodeks postępowania, określony bezlitosnym prawem morza, a karą najwyższą było wykluczenie z kartelu, albowiem w pojedynkę człowiek nie miał szans przeżycia na Północy. Ów kolektywizm, narzucony przez przyrodę, zyskał religijne uzasadnienie w prawosławnych ideach sobornosti i posłuszania, szerzonych nie tylko w dobrach monastyrskich, których wszędzie tu było pełno, ale i w skitach

staroobrzędowych, których tu było jeszcze więcej. Z drugiej strony należy pamiętać, że wśród przodków Pomorców dominowali ludzie niespokojni, często zbiegowie z pańszczyzny, raskolnicy, poszukiwacze przygód, zatem wspólnoty przez nich tworzone były swobodne i opierały się na poszanowaniu autorytetów oraz praw wytyczonych morzem. Bolszewicka kolektywizacja, na pozór niewiele zmieniając w tradycyjnym bycie Pomorców (wspólnotę nazywano kołchozem, artele – brygadami), w rzeczy samej ukatrupiła ducha pomorskiego kolektywizmu, zastępując go szyłem i planem.

Dawniej Kiedy wraz z Morżowcem były ośrodkiem przemysłu zwierobojnego na Białym morzu. Zjeżdżały tu na sezon artele z Miezieni, Kojdy, Sjomży, z Zimowego brzegu. Do pół tysiąca muzyków czasami bywało. Kopa chat. Ze spadkiem popytu na skóry tjuli, Kiedy straciły na znaczeniu. Dzisiaj wystarcza sześćoosobowa brygada: dwóch traktorzystów, dwóch czyścicieli ryb, mechanik i naczelnik. Obsługują tonie rybackie od Majdy do Kojdy, ponad 50 wiorst wybrzeża. Na każdej toni, co dziesięć-dwanaście wiorst, żyje dwóch, trzech, czasem czterech rybaków, którzy dwa razy na dobę, podczas odpływu, wybierają sieci. Do zadań brygady należy objechać wszystkie tonie, zebrać rybę, oczyścić, zasolić i odprawić do kołchozu w Majdzie. Gdy do nich zaszliśmy, całą brygadą oprawiali pinagora. Różowa ikra, jak krwawa piana, oblepiała im ręce. Z pinagorów tylko ikrę solą, tuszami bydlęto skarmiają, a w ogóle nimi gardzą i czekają na pochód sjomgi. Sjomga razem z pinagorem nie chodzi. Naczelnik nas poznał, zaprosił do izby, obiecał banię. Póki drew narabialiśmy, brygada skończyła robotę, umyli ręce i siedliśmy do stołu. Smażona flądra, ikra małosolna, czarny chleb i po stakanie szyła. Szyło jest przydziałowe, od kołchozu, dwa stakany dziennie na łeb. Za stołem rozwiązali języki i pokryli barokowym matem cały świat – źródło swojej biedy – od Jelcyna do Koli. Kola to przewodniczący kołchozu. Kiedyś byli „gierojem truda” i zajmowali drugie miejsce w Sojuszu, a dzisiaj mają miliard długów i żadnych perspektyw na wyjście z jamy. Wyjechać stąd nie sposób, bo bilet na samolot stoi trzykroć więcej, niż pensja, której miesiącami nie dostają. Latem jeszcze można jakoś wyżyć, na rybie i jagodach, ale zima... O zimie lepiej nie myśleć. Reformy, prywatyzacja, kapitalizm – jeden blin.

Niechaj gajdary się weń zawiną i poszli won! Na Terskim brzegu rybne tonie już w arendę oddają. Komersanci płacą, wszelką swołocz na sezon najmują, a miejscowe muzyki własne łapy ssą. Ot tak, czego komuniści nie zdołali rozwalić, to demokraci wykańczają. Tutaj, na Pomorzu, od wieków żyli razem: razem łowili na wspólnych toniach, w morzu pomagali jeden drugiemu, połów dzielili po równo, niezależnie od fartu, a jeśli muzyk w morzu ginął, brali jego rodzinę na utrzymanie. A teraz? Każdy wilkiem patrzy i dla siebie zagarnia. Wolny rynek, konkurencja, komercja? O jakiej konkurencji może być mowa, jeśli mafia z miasta dysponuje statkiem-chłodnią, błatem i bankowym kredytem, a nasz brat dziurawą łajbą i starymi sieciami? Wolny rynek, sam pomyśl, jeden sklep w środku tundry, samolotem produkty dowożą i ile zechcą za transport narzucić, tyle z nas potem złupią. Dawni przybysze za „długim rublem” nachapali swoje i zwiali, a swojskim gdzie się podziać? Zdychać przyjdzie...

Twarze za stołem zatrzepotały jak ryby i znieruchomiały. Zamilkli. Dopiliśmy szyło. Czas łowuszki sprawdzać. Losza zostaje, by pilnować bani, a my z brygadą schodzimy na brzeg. Łowuszki to przemyślnie skonstruowane sieci, rodzaj ogromnego niewodu, naciągnięte na mocne żerdzie, wbite w morskie dno. Całość tworzy zaporę, na cztery metry wysoką, ustawioną prostopadłe do nadbrzeżnej skarpy i sięgającą pół kilometra w morze. W kilku miejscach sieci zszyto w matnie, wielkości parkietu dyskoteki w średnim barze. Przyptyw zakrywa łowuszkę i ryba, idąc wzdłuż brzegu, utyka nosem w sieć, szuka przejścia i trafia w matnię. Potem woda opada, ludzie podjeżdżają na traktorze i zbierają ryby z piachu, jak kartofle z pola. Czasem tonę, czasem półtoję. Tym razem pinagora było niewiele, znak, że sjomga wkrótce pójdzie. Podszedłem bliżej. Ryby, podobne do gumowych zabawek dla dzieci do kąpieli, leżały na wpół zakopane w piasku, jakby się chciały same płetwami zagrzebać.

Zimowa Złotica

O trzeciej nad ranem zażyliśmy bani. Wychlastaliśmy się, wyparzyliśmy się, wypociliśmy się. Ech, ruska bańka w środku

tundry! Potem boso w moroszkę, goło w jezioro, mocny czaj i w drogę. Gorło robiliśmy powoli, niczym przechodnie nieśpieszni, wzdłuż Zimowego brzegu, lustrując ląd przez lornetę. Wstawał dzień: na toniach ruch, traktor przejechał, dymy z chat się snuły, sieci rozwieszali, drwa z morza wyławiali, z łodzi wyczerpywali wodę, ryby przebierali, i patrzyli na nas, osłaniając daszkiem z dłoni oczy przed słońcem. Majda, Megra, Rucz'i. Barometr spadał. Cypel Incy, najwyższe miejsce w Gorle. Przylądek Niedźwiedzi, początek lasu, pierwsze drzewa. Na wysokości Małej Towy zakat się podniósł – zachodni wiatr. Przybój rósł. Dodaliśmy gazu. Tataricha. Towa. Morze pociemniało w oczach. Za Oстрым cypłem rozpętało się piekło. Do Zimowej Zołoticy zostało sześć wiorst. Zakat oszalał. Zerwaliśmy żagle. Wysoki Okat coraz bliżej. Ujście rzeki. Farwater. Z lewej barka. Boje tańczą. Z boku kosa, Wasia ryczy. Bar... przeszliśmy!

Stajemy naprzeciw kołchoźnianych składów w Dolnej Zołoticy. To najstarsze osiedle na Zimowym brzegu, jego początki sięgają końca XVI wieku. Widać tutaj, tradycyjny dla Pomorza, „Gniezdowy” układ wsi, powstałej w procesie łączenia się niewielkich siół w jeden organizm, oraz typową, przybrzeżno-rzędową zabudowę. Tu i ówdzie zachowały się jeszcze – na wpół zatarte ślady bogatej przeszłości – stare, przedrewolucyjne, drewniane domy, o suto rzeźbionych fasadach, z fantazyjnymi gankami, ogromne. Lecz dominuje bylejakość, kołchoźniany sznyt: blacha falista, papa, szyfer, pustaki. I wszędzie, gdzie okiem nie sięgnąć, wala się żelastwo, odpady i śmieci. Przede wszystkim beczki, tysiące zardzewiałych beczek po ropie, benzynie i oleju, którymi dosłownie zarzucone są brzegi Białego morza, zwłaszcza w pobliżu siedzib ludzkich. Wśród pustych i pełnych sporo, darmowego paliwa tu w bród. Ale co tam beczki, paliwo, tutaj traktory można znaleźć, całe ciągniki, porzucone po pijaku w błocie, w piachu. Leżą na plaży, jak szczątki zwierząt przedpotopowych, zżerane korozją, solą morską. Na każdym postoju, ledwie kotwice zarzucimy, Wasia z Loszą skrupulatnie obchodzą miejscowe zwałowiska i często przynoszą łupy. Tylko drutu miedzianego już z pół wiorsty nabrali, a z detali znalezionych po drodze, nowy silnik można by złożyć. Wyprawy swoje nazywają „zachwatem”, a zdobywcz

„prywatyzacją”, w czym widzę wpływy telewizji, epatującej ostatnio widzów grabieżami w Czeczni i rosyjskimi reformami...

Lecz w Zimowej Zołoticy trafiliśmy na „zachwat” o takim rozmachu, że chłopaki, zapomniawszy o zwałowisku, zagapili się. Na kosie u wejścia w rzekę sterczała barka, którą przybój wyrzucił z morza. Jak się potem wyjaśniło, kapitan był tak pijany, że się w Farwater nie zmieścił. Na barce wieziono produkty dla kołchozu, częściowo już na przyszłą zimę: cukier, mąkę, olej, konserwy i wódkę! Informacja o wódce przebiegła po wsi jak iskra. Muzyki skoczyli do łodzi, nie zważając na sztorm. Rzecz jasna, nie do wspólnej akcji ratowniczej, a po wilczemu rwać zdobycz. Tymczasem barkę przechyliło i woda zaczęła zalewać luki. Czasu było mało, przybój narastał. Muzyki wtargnęli na pokład, żywo kułakami młócąc. W morze poleciały worki z mąką, jakieś kartony, pudła, byle do wódki się dobrać. Ktoś wpadł do wody, kogoś przygniotło. Po brzegu biegła tłusta kobieta, załamując ręce. To kierowniczka sklepu, zarządzająca składami kołchozu. Wreszcie znaleźli gorzałę. Wybuchła draka. Każdy chciał skrzynkę wytaszczyć, a luki małe, tylko po jednym wypuszczają. Parę skrzynek uronili w morze i kilka twarzy rozbili do krwi, zanim przyszedł po rozum do głowy i w kolejce „zachwat” dokończyli. Po czym się rozplynęli na łódkach jak zwidy i gdyby nie resztki tektury, pływające wokół barki, to pomyśleć by można, że to był wątek fabularny, a nie kawałek z życia.

Później pili, na umór, do „prosiaczego wizgu”. Zołotica zahulała. W nocy sztormić przestało, z morza wstała mgła, weszła w rzekę i po wsi się rozpełzła. Lepka, szara breja, pełna skowytów i kwików, które po wodzie się niosły. Nad ranem mgła osiadła i obnażyła rzeczywiistość, skacowaną. Na rzece pływały puste butelki, szczątki skrzynek, nadpalony materac, kawałki styropianu, drewniana łódź do góry dnem, zupełnie nowe sieci, rozmokła paczka „Bielomorów”, okulary przeciwsłoneczne z plastiku, rozpruty waciak, czerwona boja, tytułowa strona *Prawdy Siewiera*, zezwłok psa, plamy ropy... Podnieśliśmy kotwice.

Anzer

Wzięliśmy kurs na południowy zachód, zamierzając przeciąć zalew Dwiny i wyjść na Żyżgin, skąd do Sołówek ręką podać. Na wysokości cypla Wieprewskiego oderwaliśmy się od Zimowego brzegu. Gorło mieliśmy za sobą. Szliśmy na żaglach, dosypiając na zmianę. W czasie mojej wachty do „Antura” podeszło stado białuch. Parę wiorst płynęły za nami, podobne do śnieżnobiałych poszew, nadymających się przy płukaniu. Z naprzeciwka dryfowały belki z rozbitych tratw, którymi Dwina spławiają las. Na jednej siedziało pięć mew, jak w tramwaju. Od czasu do czasu wyłaniała się z wody kształtna główka ciekawskiej nerpy, albo tępy łeb morskiego zajaca w pogoni za ławicą śledzi. Niekiedy, nad samą wodą, przelatywały dzikie kaczki, lub wysoko, ledwie widoczne pod słońce, klucze żurawi. Za to ludzi ani śladu, aż po widnokrąg. Nie dochodząc do Żyżgina, skręciliśmy na zachód. Tam, na horyzoncie, w rozjażonym mirażu, drżał Anzer...

Zatem Sołowki! Anzer to druga pod względem wielkości wyspa Sołowieckiego archipelagu, leżąca na jego północno-wschodnim krańcu. Z daleka widać Gólgotę, zwielokrotnioną przez refrakcję: białe piętno cerkwi na górze zbiera światło słoneczne, promienie załamują się w wilgotnym powietrzu, grają tęczę... Wtem, co to? Podchodzimy, oczom nie wierząc: Anzer stoi do góry nogami, Gólgotę w dół, i wygląda jak atomowy grzyb. To złudzenie optyczne, rzecz jasna, ale tak wyraźne, że nieswojo się robi. Z bliska wszystko wraca do normy. Potem cypel Kałgujew zaślania Gólgotę, idziemy wzdłuż brzegu do Troickiej zatoki, na pełnej wodzie przeskakujemy kamienne progi i rzucamy kotwice koło pustelni świętego Eleazara. Wokół szumi las, iwan-czajem pachnie, pusto, ni żywego ducha, tylko gdzieś daleko, w głębi wyspy, dzieciół stuka. Decydujemy, by tu przenocować, choć do domu zostało pół wody zaledwie. Chcemy z drogą się pożegnać, obmyć kurz...

Wasia na tę okazję trzymał specjały: szyło na złotym korzeniu i słoń tuszonki z łosia. Losza nabierał dzikiego szczypioru i parę tłustych kumży złowił, wprost na patelnię. Kumże, podduszone we własnym sosie, tajały w ustach.

Wypiliśmy za drogę. Szyło zgnęło jak nożem i rozlało się blaskiem w głowie. Słońce tymczasem siadało za Gólgotę. Chram pod światło wyglądał jak dziura w niebie. W 1710 roku starzec Jezus zobaczył tam Matkę Boską, która mu powiedziała, że cerkiew kamienna na tym miejscu stanie – cerkiew Ukrzyżowania Pańskiego, i że owa góra będzie drugą Gólgotą – krwią spłynie. Losza mnie spytał, czy to ten sam Jezus, o którym prawosławni mówią, że to ich Bóg? Nie Losza, odpowiedziałem, to był monach Hiob, spowiednik Piotra Wielkiego, i widać zbyt wiele wiedział o carze, bo trafił w końcu na Sołowki, pod ścisły nadzór. Tutaj żył długo, milcząc i poszcząc w odosobnieniu, aż dostał schimę, czyli godności wielkiego pokutnika, i przyjął imię Jezusa. W miejscu, gdzie zobaczył Matkę Boską, zbudował pustelnię i postawił drewniany chram. W XIX wieku zbudowano tam kamienną cerkiew. Za czasów SŁON-a to była żeńska zona, trzymano w niej narkomanki, prostytutki i błątniaczki chore na syfilis, a wedle niektórych relacji – także część duchowieństwa katolickiego. Dzisiaj tam ruiny sterczą, pokryte wulgarnymi graffiti i zawalone kupą gruzu. Wśród prawosławnych krąży podanie, że Rosja dopóty się nie odrodzi, dopóki chramu Gólgocie Anzerskiej nie odbuduje...

Psst! Wasia dał znak, by zamilknąć. Nad brzeg zatoki wyszedł z lasu biały oleń. Byk-samotnik. Stał nad wodą, chwilę wietrzył morze, potem skłonił głowę, jakby w lustro patrzył. Był od nas na strzał.

Sołowki

Półowa marca, za oknem zamieć, Babiej tudy nie widać. Dopisuję Samopasa, czekając na samolot, którym chcę wysłać tekst do Kultury. Dzisiaj z nieba śniegiem wali, morjana dmie, aż dolne wieńce domu trzeszczą i trudno uwierzyć, że akapit temu siedzieliśmy na Anzerze, pojadając kumżę i tuszonkę z łosia. Nazajutrz było słońce, pomyślna bryza, dzień jak kryształ i ostatnie wiorsty robiliśmy spacerowym krokiem. Do zatoki Pomyślności, teraz skutej lodem, weszliśmy na żaglach, z muzyką. Tusz, powitania, radość, smak wygranej, a za plecami półtora

tysiąca wiorst. Potem minęło parę tygodni, trochę gości, trochę książek i zatęskniłem za morzem, za tundrą. Za tamtą stroną Kręgu Polarnego. Czasami wracały obrazy, twarze. Szarpow, Tańka, Flora Prokofiejewna. Czasami jeszcze się budziłem na Kanińskiej tropie, ale powoli tamten świat zacierał się, przestawał istnieć. Bowiem świat, w rzeczy samej, nie został nam dany – raz, kiedyś – ale wciąż, nieprzerwanie, staje się, w naszej obecności. Przeszłość, z biegiem czasu, obumiera, jak nasza pamięć, albo jeszcze wcześniej, a miejsce, w którym byliśmy przedwczoraj, przestaje istnieć tak samo, jak nie istnieją dla nas miejsca, w których nigdy nie będziemy. Ot, wrona przeleciała w kadrze mojego okna, tylko co śledziłem trajektorię jej lotu, ale wrona znikła, śnieg pada, a trajektoria... gdzież ona? Podobnie z tropą w tundrze, lub bruzdą miecza w morzu – one są, realne, tylko tu i teraz, kiedy właśnie idziemy. Dlatego postanowiłem powtórzyć drogę na Kanin Nos i z powrotem, tym razem na papierze...

W trakcie pisania zauważyłem, że świat Dalekiej Północy jest pałubiczny, bezładny, a tutejsza rzeczywistość – pozbawiona kształtów, które w średnich szerokościach są wytworem kultury. Szczątkowe formy cywilizacji, jakie tu powstały, zniszczył sowietyzm, a w przyrodzie dominuje woda, lód i błoto, zatem elementy nieforemne. W tej sytuacji powtarzanie drogi straciło sens, jak szukanie śladów w grzęzawisku, a samo pisanie pobiegło własną tropą, odnajdując w języku podłoże twardsze, niż poszycie tundry. Chcę powiedzieć, że tekst jest bardziej realny, niż świat, który jest dla tekstu – pretekstem...

Dlatego nie wiem, kiedy nasza podróż się skończyła: dziesięć miesięcy temu, czy dwa akapity wstecz? A może nadal trwa, dzięki tropie odcisniętej w słowach i dzięki człowiekowi, czytającemu te słowa.

Czerwiec 1995 – marzec 1996

Mariusz WILK

Oksana*

Tego dnia, kiedy ich zobaczył (kiedy ją zobaczył), miał pierwszy atak bólu tak mocny, jakiego jeszcze przedtem nigdy nie zaznał, jaki sobie dotychczas tylko wyobrażał i oczekiwał od dawna z potęgującym się lękiem, ale widać jego wyobrażenia nie była dostatecznie silna i sprawna, żeby go sobie wyobrazić mógł aż w takich wymiarach, czy nawet w przybliżeniu, skoro nagle wszelkie jego wyobrażenia był przerósł.

Zbliżał się właśnie do krańca hotelowego ogrodu. Chciał, zanim zawróci tą samą alejką wśród cyprysów, rzucić okiem na tenisowe za żywopłotem korty, gdzie korzystając z pogodnego ranka jakaś para rozgrywała partię, gdy raptem zatrzymał się jak wryty, zamarł niejako w pół kroku w miejscu, jeszcze z jedną stopą nieco uniesioną, już chyląc się, skłaniając się ku ziemi, łapiąc całym wysiłkiem z trudem równowagę, jednym skokiem próbując dopaść pobliskiej ławki, dopadając, zwalając się na nią; i tylko zdołał pomyśleć, że znowu nie ma przy sobie żadnego lekarstwa, potem że gdyby to zdarzyło się mu wewnątrz hotelu, może dowlóklby się jakoś do pokoju i jeszcze za chwilę, że raczej nie, że pewnie padłby na korytarzu albo gdzieś na schodach, wzbudzając zamieszanie i sensację, a tak, to siedząc tu, pół leżąc na ławce na skraju pustego teraz ogrodu może najgorsze przeczekać, jeszcze zaś potem w jego głowie nie było absolutnie żadnej myśli, bo chyba stracił na kilkanaście minut z bólu przytomność, ale utrata przytomności nie pozbawiła go bólu, czuł go cały czas.

* Fragment większej całości pod tytułem: „Daleka droga, niebo w gwiazdach”.

Gdy się ocknął, bo wreszcie ból jak gdyby zaczął się rozptylać w głębi ciała, słabnąć, zanikać (zresztą może tylko zaczęła się ta doświadczana już parokrotnie faza otępienia, nie był tego pewny, całe ciało czuł w rozsypce, jak w kawałkach i jeszcze długo nie ruszał się, nie otwierając oczu), to jego myśli były wyzute z wszelkich treści prócz jednej: nieregularnego, głuchego dźwięku uderzeń piłki tenisowej na pobliskim korcie za żywopłotem, które rejestrowały, usiłowały nawet liczyć, i odrobiny niecierpliwego oczekiwania, kiedy między jednym a drugim uderzeniem piłki odstęp się zbyt wydłużał. Później wydało mu się, że słyszy nadto skrzyp piasku w alejce i otworzył oczy. Myślał, że ktoś się zbliża, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było, a tylko niedaleko ławki na brzegu trawnika, czarny, tłusty kos wydziobywał coś zawzięcie z ziemi. Przypatrywał mu się wciąż bez żadnej myśli, aż ta pierwsza, jeżeli zaś nie pierwsza w ogóle, to w każdym razie na pewno pierwsza wyraźna, świadoma, pojawiła się na krótko i uprzytomniła mu, że to nie skrzyp żwiru na ścieżce hotelowego ogrodu słyszy ani nawet kosa dziobiącego w ziemi, lecz szum we własnej głowie, przypominający do złudzenia przesypujące się zwolna ziarenka piasku. Ale wiedział: to jeszcze tylko resztki bólu jak ćmienie albo jak samo wspomnienie o nim trzepotało się tam z tym szumem w jego głowie, więc dzwignął się z ławki i zataczając się, poszedł alejką pośród cyprysów w stronę hotelu.

Jak dotarł do pokoju, tego nie mógł sobie później przypomnieć, ale pamiętał, że gdy już znalazł się tam u siebie, to trzymał w dłoni flaszeczkę z najsilniejszym środkiem przeciwbólowym i zastanawiał się ile kropel odmierzyć do zakrętki, starając się jednocześnie opanować drżenie rąk, i wtedy dopiero pojął zbyteczność tego, co chce zrobić, bo przecież atak się skończył. Leżał potem na zaścielonym już przez pokojówkę łóżku jak martwy, choć wciąż jeszcze przecież żywy, jeszcze ciepły, z pojawiającą się od czasu do czasu w jego głowie męczącą myślą o czymś odległym, zaraz jednak szybko przepadającą, nie zostawiającą po sobie żadnego śladu, wciąż żywy jeszcze, ale jak kawał bezwolnego mięsa, przez które w dość regularnych odstępach przeciąga drżenie, jakby przepuszczano przez nie elektryczny prąd.

Zbudził się w południe ze świadomością, że na poranny

spacer wybrał się przed śniadaniem i że teraz powinien zjeść obiad, jeżeli nie chce zacząć słabnąć, ale nie czuł głodu. Jeszcze się nie ruszał, patrzył w sufit, leżąc pełen rozdzierającego poczucia samotności, otępiającej świadomości, że niczemu nie sposób zapobiec, że niczego nie da się uniknąć, niczego odwrócić ani cofnąć i że nie ma litości ani zmiłowania. Po jakimś jednak czasie pomyślał stanowczo, twardo: tylko, na Boga, żadnych skarg, żadnego złorzeczenia, i szybko podniósł się z łóżka. Gdy później przyjrzał się w łazience swojej twarzy w lustrze, zdziwił się: wyglądała prawie normalnie i chciał powtórzyć coś, co powiedział sobie w myśli jeszcze leżąc na łóżku, wydało mu się bowiem ważne, ale już nie potrafił, nie pamiętał, co to takiego było, choć wiedział, że gdyby sobie przypominał, dodałoby mu może siły.

Obiad zjadł w prawie już pustej sali jadalnej, słuchając skądś z daleka płynącej dyskretnie muzyki, usiłując odgadnąć czyje to *concerto grosso*, Vivaldiego czy Corellego, odpychając inne od siebie myśli, ulegając, poddając się kojącej słodyczy tej muzyki i gdy wstał od stolika, był już zupełnie zdecydowany iść zaraz spakować w pokoju swoje rzeczy i jeszcze tegoż popołudnia wyruszyć w drogę na zachód, do Parmy może, albo w kierunku przeciwnym, może do Ferrari czy nawet Rawenny, zresztą obojętne dokąd, byle przed siebie, byle dalej. W hallu jednak, dyżurująca w recepcji panienka zawołała doń, że właśnie kogoś dopytującego się o niego z Niemiec przełączyła do pokoju i zaczęła gorączkowo manipulować przy telefonicznej centralce, ale gdy dobiegł do aparatu, z tamtej strony nie dochodził już żaden dźwięk. Zastanowił się wtedy czy czekać, aż ten ktoś stamtąd znowu zadzwoni, czy iść na górę, aż raptem posłyszał: „Mykoła poczekaj!” zniecierpliwiony głos kobiety schodzącej właśnie po schodach i jeszcze dwa, trzy zdania, że dokądś tam mają przecież iść, że się umówili, i to po ukraińsku, ale nie tym kijowskim ukraińskim, nawet nie zachodnim, we Lwowie powszechnie kiedyś używanym, nie przez wszystkich Ukraińców uznawanym za literacki, lecz tym z pogranicza, gdzieś z terenu między Zbruczem a Prutem, mocno spolonizowanym, zrozumiałym, swojskim, i przeszła obok niego szybkim krokiem, doganiając mężczyznę, do którego wołała, niewysokiego, już odrobinę otyłego, wciąż jednak przystojnego,

wypisz wymaluj z ilustracji do dziejów Tarasa Bulby. Sama zaś Ukrainki nie przypominała wcale, bo była jasna, jasno-złota, i tylko brwi mocno czarne, niemal zrosnięte po środku czoła, upodabniały ją do tej ruskiej z piosenki dziewczyny, czekającej na Kozaka, co poszedł na wojnę, z której to piosenki zapamiętał kilka ze środka wersów; a przeszła nie zwróciwszy nawet ku niemu głowy, choć był pewny, że zauważyła jego drgnięcie, jego ruch na dźwięk ukraińskiej mowy i tę nagłą wzmożoną uwagę w oczach, której w zaskoczeniu nie zdołał ukryć, bo ich spojrzenia na kilka sekund się skrzyżowały.

A tego dnia jeszcze, po południu, kiedy wybierał się do nieodległego od hotelu kiosku po gazety (cóż za przypadek!), spotkał ją ponownie. Z tym odrobinę zaokrąglonym, wciąż bardzo przystojnym mężczyzną szła przez hall znowu, powracając prawdopodobnie z miasta; z lewej strony szedł jeszcze chłopak wyglądający na siedemnaście, może osiemnaście lat, trochę o urodzie z amerykańskiego filmu z Dzikiego Zachodu, który mógł być jej synem. Wieczorem zaś, gdy schodził na parter do jadalni, to na jej progu mistrz sali zatrzymał go i zapytał, czy do jego stolika mógłby ewentualnie dosadzić dodatkowych gości, ma taką kanadyjską rodzinę, czy nie przeszkadzałoby mu to, jest słabo z miejscami, to mili ludzie, i zgodził się (potem nie wiedział: tknięty jakimś przeczuciem, czy było mu to obojętne) i wtedy (znowu jakimże przypadek!), to była ona i jej dwaj towarzysze, wszyscy troje na ciemno, bardzo wytworni, i choć posłyszał słowiańsko brzmiące nazwisko i on takimż właśnie im się przedstawił, rozmowa potoczyła się po angielsku, a po jakimś czasie, gdy się kilka razy zastanawiał nad doborem słowa, czy też w jakimś zdaniu się zaciął i powiedział, że jego angielski nie jest zbyt mocny chociaż od lat pracuje w Niemczech w amerykańskiej firmie, zupełnie swobodnie przeszli wszyscy troje na niemiecki, wyjaśniając, że mieszkali przez trzydzieści lat w Monachium (to powiedział on), a ona, że urodziła się wprawdzie nie w samym Monachium, ale nieopodal, w Monachium zaś chodziła do szkoły, tam zdała maturę i skończyła uniwersytet. Więc nie musiał już o nic więcej pytać, ich polityczny rodowód od razu był dlań jasny: byli emigranci z kręgów UPA, z której sporo ludzi osiedliło się po wojnie

właśnie w Bawarii, czy też raczej drugim pokoleniem tejże emigracji.

Ich rozmowa, choć była swobodna, to przecież konwencjonalna, niewiele wykraczająca poza temat podróży między Ameryką a Europą i po Europie. O Lizbonie, Grenoble, trochę dłużej o Bordeaux, jeszcze o zwiedzaniu muzeów, kościołów, zabytków, o takich czy innych widokach, takich czy innych wybrzeżach, także o cenach w sezonie i po sezonie we Włoszech, Francji i Hiszpanii, jeszcze trochę o tenisie i o nartach, i że Monachium to jest dobre miejsce, z którego w różne strony blisko i teraz im tego brak, Ameryka to już zupełnie inny świat. Nocą jednak, nie mogąc długo zasnąć, przypominały mu się jego strony: Wiśnicz, Zbaraż, Tremłowa, Czortków, Husiatyn aż do Pokucia. Także Prut, Zbrucz, Czeremosz i inne jeszcze rzeki. Także Beskid, Gorań. I chociaż starał się myśleć o tych stronach tak, jakby był podróżnym, turystą, podziwiał – przesuwając pod zaciśniętymi powiekami różne wątki pamięci – ruiny twierdz, zamków, kościoły, monastypy, czasem przypominał sobie nawet ich fundatorów i budowniczych, to jednak później, gdy wreszcie usnął, śnił same okropności. Wprawdzie we śnie też pojawiały się czasem jakieś zamki, dwory, kościoły czy klasztory, ale widok ich był okrutny, nie do zniesienia, wszystko w tonacji jaskrawej czerwieni, zbryzgane krwią, wszędzie wałyły się trupy ludzi, koni i bydła, zdawało mu się, że nawet czuje słodkawokwaśną, lepłą ich woń, i dusił się, było mu niedobrze, aż ocknął się z obrzydliwym smakiem zakwaszonej śliny w ustach i jakby początkiem nowego ataku bólu. Ale powtarzał sobie, że jest to tylko dalej ból wyimaginowany we śnie, wcale nie autentyczny, jak rano w hotelowym ogrodzie, rozpierający się w jego porażonych chorobą wnętrznościach, ściskający je, szarpiący i powodujący złudzenie mdłości, jednakże cały czas jednocześnie zdawał sobie trzeźwo sprawę z tego, jak łatwo i błyskawicznie sen zmienia się w rzeczywistość. I czuł w gardle ucisk panicznego bólu.

Myślał, żeby wstać, zażyć któreś z lekarstw, potem na powrót się położyć, ale lęk tak paraliżował go, że nie mógł się ruszyć i czekał niecierpliwie aż minie, starając się znowu zawędrować gdzieś jak najdalej, w świat starej architektury, zabytków, dzieł sztuki, książek przeczytanych dawno i

przeczytanych jeszcze dawniej, a nawet tych najdawniejszych, kiedy był chłopcem, wydobywanych z biblioteki ojca i tak od „Vie du Henri Brulard” poprzez „Sen srebrny Salomei” i „Sonatę Kreutzerowską” do „Opowieści włoskich” Iwaszkiewicza trafiał na powrót do miejsca w jakim się znajdował w Modenie, w hotelu „De Fossi” na drugim piętrze, w pokoju z widokiem na brzegi rzeki Panaro i uświadomił sobie, że nie tylko nic go teraz nie boli, ale że też nie ma w nim już lęku przed nowym atakiem i że trzeba tylko intensywnie myśleć o czymś zupełnie innym i szczerze wierzyć, że jest to prawdziwe, że istnieje, chociażby nie istniało już od dawna, a wówczas lęk przed bólem a nawet sam ból może odstąpić, cofnąć się, jak dzikie zwierzę, które spostrzegło, że się go nie boimy. Nie pamiętał, kiedy zasnął na dobre, ani później czy coś śnił, choć ostatnio przecież stale coś śnił tak w nocy jak i w dzień, jeżeli tylko w dzień się położył, i zwykle sny te pamiętał, nie były to bowiem sny pogodne, tym razem jednak nie pamiętał nic; czyżby w ogóle nie śnił?

Długo stał przed oknem rano i patrzył na kamienny brzeg rzeki w pasmach mglistych oparów i dalej na wzburzony nurt niosący kawałki drewna, kępy trawy, gałęzie, liście, butelki i jakieś odpadki; musiało gdzieś na wyżynach nocy mocno padać. Po głowie tłukły się bezładne strzępy rozmowy z wczorajszego wieczoru przy kolacji z kanadyjskimi Ukraińcami (był zdziwiony: dlaczego?), nie znajdował w tej rozmowie nic, co mogłoby przedłużyć jej znaczenie. A jednak coś cofało go tam do niej całą jego teraz uwagę: może sam głos kobiety? brzmienie jej głosu?, pomyślał i nie mógł się od tej myśli opędzić; poczuł zimno, przeniknął go dreszcz.

Szybko pobiegł do łazienki, starannie ogolił się i wszedł pod prysznic, przepuszczając, że się rozgrzeje, ale woda była ledwo letnia. Dochodziła prawie dziesiąta, gdy był gotów, żeby zejść na dół na śniadanie, ten telefon z Niemiec z poprzedniego dnia jednak dopadł go, gdy wychodził na korytarz; to był jego lekarz domowy, choć przecież nie zdradził mu swojej marszruty. Jak wtedy w Weronie zasypał go niepotrzebnymi pytaniami: co robi, gdzie się podziewa, czy jest w porządku i czy czuje się dobrze, a on nie odpowiadając na żadne z nich, sam pytał, jak go znalazł w Modenie, a

tamten, że zadzwonił do Instytutu, pytał jego przyjaciół jaką trasą zwykle przez Włochy jeździ, że podali mu kilka hotelowych adresów, a on był uparty, wszystkie je kolejno obdzwonił, więc w odpowiedzi skłamał, że czuje się świetnie, że nawet nie bierze morfiny i żeby uprzedzić następne pytania, bo wiedział, że tamten mu je zada, zapewnił, że lekarstw mu wystarczy, niczego nie potrzebuje i że wkrótce jedzie dalej. A potem, jak wtedy w Weronie, wbrew sobie przyrzekł, że zadzwoni do niego z drogi, że będzie się meldował.

Gdy odłożył słuchawkę poczuł się zupełnie wyczerpany i musiał jeszcze na chwilę usiąść. Zastanawiał się, jak zgubić za sobą ślad, ale pomyślał, że tamten nie da za wygraną i żeby broń Boże, ktoś nie mógł później powiedzieć, że on, Niemiec, zaniedbał pacjenta Polaka, będzie go telefonami nękał do końca, choćby miał o jego trasę dowiadywać się przez włoską policję, po chwili jednak swoich myśli się zawstydził. Stając się złośliwym, nietolerancyjnym, u wszystkich wietrząc złe intencje – pomyślał ze smutkiem, a nawet ze złością na siebie.

Zszedł do jadalni już zupełnie opustoszałej i choć jego stolik był sprzątnięty, po czymś ledwo widocznym poznał, że ktoś przy nim jadł śniadanie, a wkrótce też się upewnił, znajdując pod brzegiem popielniczki zatkniętą kartkę zapelnioną równym, niemal że kaligraficznym pismem, z której się dowiedział, że jego wczorajsi znajomi od kolacji, wybrali się po śniadaniu zwiedzać katedrę, wczesnym zaś popołudniem mają zamiar wyjechać gdzieś w okolicę i że chętnie, jeżeli tylko ma na to ochotę, ze sobą go zabiorą. Kartka była wprawdzie podpisana tylko literkami O.S., lecz nie miał wątpliwości, że to ona ją pisała i przez cały czas śniadania intensywnie próbował przypomnieć sobie nazwisko tej rodziny, a właściwie imię kobiety, mimo jednak, że sobie nie przypominał, wiedział: z zaproszenia skorzysta. Potem uświadomił sobie i to jeszcze, że już raz przedtem odłożył wyjazd z miasta. Kiedy ją posłyszał wołającą po ukraińsku z wyżyny schodów do wyprzedzającego ją mężczyzny: „Mykoła, poczekaj!” i kiedy go mijała, a ich spojrzenia się spotkały.

Z tej projektowanej w okolicę wycieczki nic jednak nie wyszło. Kiedy ponownie zszedł od siebie na dół do jadalni, spodziewając się, że tym razem to on będzie przy stoliku wcześniej, oni kończyli już obiad. Skłonił się i niezobowią-

zując podziękował za zaproszenie, a wtedy wyczuł napięcie między mężczyzną a kobietą i wydało mu się nawet, że jego pojawienie się przerwało im jakąś ważną rozmowę, zapewne prowadzoną w ich języku, z daleka bowiem pochwycił znajomy dźwięk i że ich nagłe przejście na niemiecki (bo chyba razem to powiedzieli, że niestety, do wycieczki nie dojdzie), zmaczone kilkoma wtrąconymi odruchowo słowami angielskimi, miało coś z przymusu; ich syn tylko był jak gdyby zupełnie osobno, całkowicie nieobecny, już zjadł i założywszy na uszy słuchawki, nogę na nogę i odchyliwszy się na krześle do tyłu, manipulował z przymkniętymi oczami przy kieszonkowym walkmanie, pochłonięty bez reszty tym, co tam z taśmy słyszy. On jednak udawał, że tego napięcia między mężczyzną a kobietą nie zauważył, a ona zauważyła, że udawał i chyba była mu za to wdzięczna.

Jeszcze zanim sięgnął po kartę dań, już podszedł kelner, więc nie zaglądając do niej, zamówił byle co z pamięci, żeby się go prędko pozbyć. A ona milczała. To mężczyzna, przeprosiwszy za sprawiony mu przez nich zawód, zaczął tłumaczyć się, że właśnie po powrocie z miasta na obiad wręczono mu w recepcji depeszę, był pilnie wzywany do Rzymu; w ten sposób dowiedział się, że tamten jest członkiem rządowej delegacji gospodarczej z Quebecu, która przed kilkoma dniami zawiesiła swoje rozmowy w Rzymie, jako że nie mogli dojść w czymś tam do porozumienia, a teraz Włosi ustąpili i otwierają się nowe możliwości na doprowadzenie do umowy. I choć go to właściwie mało interesowało, rozmowę podtrzymywał, jakby go interesowało bardzo, zwłaszcza, że kobieta wciąż milczała, a tamten mówił jakby bał się dopuścić do ciszy, w której tamto napięcie, przerwane jego podejściem do stolika niedawno (może jakaś różnica zdań, sprzeczka, wszystko jedno co tam było, wywołujące jednak napięcie na pewno) mogłoby powrócić. W ten sposób dowiedział się jeszcze wiele o polityce rolnej Kanady, o eksporcie wysokojakościowych zbóż, zależności eksportu kanadyjskiego od wysokości subwencjonowania przez rządy europejskie własnych rolników i o innych rzeczach, o których dotychczas nie miał pojęcia. A ona wciąż milczała i siedziała prawie nieruchomo, od czasu do czasu tylko szybkim ruchem dłoni odrywając od policzka pasmo

jasnych włosów i odrzucając je do tyłu za ucho. Potem mąż zapytał ją czy jeszcze coś ma zamówić, a ona poruszeniem głowy zaprzeczyła, więc podpisał kelnerowi rachunek, wstał mówiąc, że musi się spakować, zaczął się zegnąć i po chwili poszedł, lecz ona dalej siedziała przy stoliku i chłopiec też.

Gdy siadł, by dokończyć obiad, zaczęła opowiadać o przedpołudniowym zwiedzaniu katedry i potem jej staromiejskiego otoczenia; mówiła ze znanstwem historyka sztuki, czy też architekta, używając precyzyjnych określeń, tak że jakieś w tym rodzaju pytanie zadał, a wtedy roześmiała się przekornie i zapytała, czy żeby kochać piękne rzeczy trzeba koniecznie być fachowcem i nie czekając, co on na to powie, znowu ze śmiechem, że jest lekarzem pediatrią i zaraz, widząc, że on skończył jeść, wyciągnęła rękę przez stół, potrząsnęła ramieniem siedzącego jak w transie syna i powiedziała: „Obudź się, Pietro”, tym razem po angielsku i że pójdą odwiedzić na dworzec ojca.

Wstał, kiedy oni wstawali od stolika i pożegnali go ukłonem z daleka, i jeszcze stał, gdy oddalali się ku drzwiom do hallu, ona pierwsza, chłopiec odrobinę za nią z boku, dużo od niej wyższy (choć ona była bardziej niż średniego wzrostu); nie wyglądający z tyłu na matkę i syna. Usiadł dopiero, gdy zniknęli i wtedy pojął, że ta jej uwaga wypowiedziana do syna, że pójdą odwiedzić ojca i pożegnanie po angielsku bez podania ręki znaczyć mogło, że zostają, i zaraz znowu zastanowił się, jak ona ma na imię, czy jej mąż odezwał się do niej choć raz po imieniu, ale nie mógł sobie przypomnieć, raczej nie, niemożliwe, żeby tego nie uchwycił. Znowu poczuł jakieś zimno, dreszcz nie dreszcz, może to był niejasny niepokój.

Siedział przy stoliku w pustej sali jadalnej, od czasu do czasu tylko sięgając po wystygłą już kawę, dotykając ustami ledwo brzegu filiżanki, odstawiając ją, aż zauważył, że zaczynają sprzątać salę do kolacji. Jego myśli, podobnie jak w nocy, kiedy nie mógł zasnąć, błądziły wokół jakichś rzeczy i spraw odległych, jakichś okolic tak dawno opuszczonych i pejzaży tak dawno nie widzianych, że już mało prawdopodobnych nawet w wyobraźni, potem wokół ludzi, którzy te okolice i pejzaże zaludniali, a już odeszli w niepamięć innych, choć jego pamięć uparcie się temu przeciwstawiała, ale

wiedział, że jej czas się kończy, a przeciwko temu nie było w nim buntu. Później pomyślał o żonie. Że dopiero krótko przed śmiercią Paulina napisała list, w którym nie było, jak zwykle, spraw finansowych ani o karierze ich syna, jak się wspaniale rozwija, lecz tylko odwołanie się do tych właśnie dalekich okolic i pejzaży, i ich wspólnej o nich pamięci, co mu długo nie dawało spokoju, bo potem jeszcze między pozornie nic nie znaczącymi zdaniami odkrył w tym liście pytanie, czy nie przyleciałby, choć na krótko, do Nowego Jorku. Ale on wyjeżdżał wtedy z Monachium często i kiedy ten list otworzył i przeczytał, to ona już nie żyła i było za późno, żeby przekonać się, czy te dalekie okolice i pejzaże miały jeszcze dla nich wspólnie jakieś istotne znaczenie. Była to jednak właściwie nie myśl nawet, zaledwie jakiś jej strzęp, muśnięcie przezeń świadomości, drobne poruszenie złóż pamięci.

Nie wrócił do pokoju. Wyrzwał na tył hotelu do ogrodu, a stwierdziwszy, że nie pada i gdy jeszcze wydawało mu się, że jest ciepło, zawrócił przez hall i wyszedł na ulicę. Włóczył się alejami do pełnego zmierzchu, wciąż myślami gdzie indziej, choć uszy miał pełne szumu wiatru w gałęziach drzew i szelestu opadłych liści pod stopami; cały czas czuł też oddech wiatru na twarzy; nadstawiając ją na jego podmuchy, świadomie doświadczając rozkoszy ich dotyku. Ale przecież naprawdę był gdzie indziej, bo dopiero przenikający go do głębi dotkliwy chłód przywrócił mu poczucie rzeczywistości i tego, gdzie się znajduje. Zaciskając na szyi kłapy marynarki wracał szybkim, na ile mu starczyło sił, krokiem do hotelu, a wiatr, teraz porywisty, zaciął go przenikliwie w plecy. Przechodząc przez hall, zajrzał do sali jadalnej, ale przy jego stoliku nikt nie siedział. Poszedł bez kolacji do siebie i długo krążył po pokoju nie mogąc się rozgrzać, rozmyślając czy jutro pojedzie dalej albo czy jeszcze pozostanie i nazajutrz, kiedy dość późno zszedł na śniadanie, był stanowczo przekonany, że pojedzie na pewno, jednakże tam, pod tą popielniczką na boku stolika, znowu tkwiła mała kartka i tym już znanym mu pismem, bardzo wyraźnym, niemal kaligraficznym, ona doń pisała, że odwozi syna do *collège'u* i jeżeli go już w Modenie nie spotka, to przekazuje mu „do widzenia” (*auf Widersehn*), a niżej jeszcze był podpis: Oksana i

obok literka S. Więc znowu nie zdecydował się na ruszenie w dalszą drogę.

Chodził po mieście, zaglądał do galerii przy *via del Casone*, zwiedził ciekawą wystawę miedziorytów archeologicznych obu Piranesich i ich kontynuatorów, długo przeglądał starodruki przy *via del Ronco*, a w pobliżu, w jednej ze składnic starych rupieci, pośród kilku późnodziwnostanowiecznych zegarów, natrafił na autentyczny balansjer Huygensa z lat osiemdziesiątych XVII wieku w zupełnie znośnym stanie, w każdym razie bez widocznych na pierwszy rzut oka braków, i już chciał go kupić, zaczął nawet ostrożnie zbijać cenę, aż nagle, jak błysk oślepiającego światła w mózgu, spadło nań objawienie, że po co?, na co?, dla kogo?, wraz z myślą: pewnie zwariowałem! i poczuł w sobie pierwszy odruch buntu, bo dotychczas był ze swym stanem pogodzony, i gwałtownie odwrócił się i szybko ruszył ku wyjściu, mimo wołania za nim ustępującego z pierwotnej ceny antykwariusza. A potem biegł alejami w ulewnym deszczu (tak że w hallu hotelowym nie zdziwił nikogo zadyszany, świszczącym oddechem i chyba błędnymi z wysiłku oczami), w pokoju zaś zaraz położył się, czujnie czekając, aż się pojawi znajomy ból. Ale nic takiego się nie stało. Wówczas poczuł, że nabywa nowe doświadczenie (choć właściwie mógł to pojąć już dużo wcześniej), że atak przychodzi w najmniej spodziewanej chwili, że nie jest zależny ani od jego samopoczucia, ani nadmiernego wysiłku, ani tego czy jest zmęczony, czy wypoczęty, wyspany lub senny, zdenerwowany, podniecony, czy spokojny i czy on o nim myśli, czy nie. Że uderza znienacka, jak nóż w plecy. A wieczorem zastanawiał się jeszcze, co on właściwie tutaj robi w tym mieście, i dopiero nazajutrz rano, przy śniadaniu, uświadomił sobie jasno, że czeka na tę kobietę, która podpisała się na zostawionej mu na stoliku karteczce literką S. i imieniem Oksana.

Znowu myślał o Paulinie w czasie wielogodzinnych włóczęg po mieście, potem nie wiedział dlaczego myślał, bo przecież dawniej dość rzadko miał taką potrzebę, i pytał sam siebie, czy to nie objaw jakiegoś podsumowywania minionych lat i dni, zdarzeń, radości i klęsk, jakiegoś życiowego rachunku. I doznawał takiego poczucia osamotnienia, opuszczenia, samotności, że chętnie zaczepiłby nawet, żeby wymie-

nić kilka zdań, byle przypadkowego przechodnia, gdyby ten tylko obdarował go przychylnym, zachęcającym spojrzeniem, a potem w nocy, zanim z trudem zasnął, odbywał znowu, jak w poprzednich dniach te długie, chaotyczne, męczące i jakoś pod sercem ssące wędrówki w strony, które, jak mu się zdawało, odsunęły się już w niepamięć – i o których myśleć miał do niedawna – potrzebę jeszcze rzadziej, niż o Paulinie.

Po śniadaniu kupował zawsze kilka gazet i jak postanowił przed tygodniem czy dwoma (żeby nie zajmować się jedynie sobą i nie rozważać bezustannie swego stanu i postępów choroby), czytał je „od deski do deski”, przynajmniej ich strony polityczne, choć to, co działo się od miesięcy na Bałkanach i nabierało coraz okrutniejszych wymiarów, napało go odrazą. I zastanawiał się, kiedy ta brudna fala przetoczy się znowu przez Wschód, kiedy zaleje Ukrainę, Białoruś i Litwę, i dalej, żeby rozbić się o Ural i Kaukaz. I myślał, że przespał błogo prawie pół wieku (zresztą nie on jeden, lecz słabe to było pocieszenie), przekonany, że po okropnościach jego własnego dzieciństwa, nigdy już podobnych nie przeżyje, że świat czegoś się nauczył, że zmądrzał i że tylko trzeba pozbyć się wrzodu komunizmu a już zapanuje niemal raj na ziemi. Co za idiotyzm! Krzyczało coś w jego głowie, co za idiotyzm... jaki byłem ślepy! I jeszcze zastanawiał się z gniewem, dlaczego teraz właśnie, kiedy miał przed sobą tak bliski koniec, musi się nań zwać całe dotychczasowe życie, nie dawać mu spokoju. I przyrzekł sobie nie kupować więcej gazet, nie czytać, jakby to one były winne. Ale nazajutrz przed śniadaniem znowu poszedł, jak nałogowiec, na niedaleki narożnik za hotelem do kiosku prowadzącego sprzedaż międzynarodowej prasy i kupił całą paczkę gazet. Gdy jednak zajrzał do sali jadalnej, przy jego stoliku siedziała poznana niedawno kanadyjska Ukrainka i już ich tego dnia nie przeczytał.

Znów przez zapomnienie zaczęła doń mówić po angielsku, dopiero po kilkunastu zdaniach przeszła na niemiecki, opowiadając obszernie o swym wypadzie do Ferrary, że syna ulokowała w amerykańsko-włoskim *collège'u*, że ma on zamiar studiować na Międzynarodowym Uniwersytecie w Bolonii i że prawo, chociaż tak naprawdę to nie wiadomo co go tak prawdziwie interesuje i jeszcze, co widziała w drodze,

a co w samej Ferrarze i co robiła też. Jakby on właśnie tego po niej oczekiwał, żeby wytłumaczyła swą nieobecność, jakby mu tę relację była winna. Gdy po śniadaniu zdejmował z wieszaka płaszcz, to cofnęła się jeszcze do stolika i z krzesła zgarnęła gazety, które rano kupił, on zaś się roześmiał (nie słyszał swego śmiechu dawno i aż go wewnątrz coś wstrząsnęło na jego dźwięk, a ona zapytała o przyczynę tego śmiechu, więc szybko powiedział, że poprzedniego dnia obiecał sobie solennie teraz gazet nie czytać i ona, wręczając mu je, także ze śmiechem powiedziała, że obietnicy nie dotrzymał, a on, wrzucając je po drodze do kosza na śmieci, powiedział, że ma jednak zamiar dotrzymać i wtedy ona, jakby to przedtem już postanowili i się umówili, powiedziała, że musi iść jeszcze tylko po płaszcz i zmienić w pokoju buty, bo nie wiadomo, czy pogoda się utrzyma.

Stał obok wejścia do sali jadalnej opierając się odruchowo o ścianę, jakby mu zrobiło się słabo i prowadził jej szczipłą postać przez hall wzrokiem uporczywie aż do windy, gdzie nacisnęła guzik i czekała chwilę, nie odwracając się, zamyślona, i jeszcze potem, jak zniknęła za rozsuwanymi drzwiami windy. A gdy podszedł do okna, żeby popatrzeć na rzekę i niebo nad rzeką, to po pewnym czasie nie musiał się wcale odwracać, bo poznał jej kroki i gdy stanęła za jego plecami, powiedział: „Niebo nam sprzyja, dziś nie będzie deszczu...” ale się pomylił.

Szli potem przed siebie alejami bez określonego celu i rozmawiali o tak wielu sprawach, że aż się dziwił, że może o tylu rozmawiać z kobietą, którą poznał zaledwie przed kilkoma dniami i to jeszcze tak młodą, ale właściwie – mimo że ich rozmowa nie była wcale zdawkowa, ani grzecznościowa – nie dowiedział się o niej ani o jej życiu nic. No, o tym, co ją urzekło w Kanadzie, że przestrzeń, tylko ta szeroka przestrzeń, ludzie mniej, choć gdyby miała mieszkać obok, w Stanach, to byłaby to dla niej klęska, że jednak lepiej jest jak jest, bo nigdzie nie czuje się tak obco jak w Stanach, choć tam po pięciu wymienionych ze sobą zdaniach ludzie przechodzą od razu na ty i że kiedy tylko może, to jedzie do Europy, „Do Europy, do Europy...” – mówiła z jakimś nagle przejmującym smutkiem w głosie, a do Włoch, to najchętniej, bo kiedy była małą dziewczynką i mieszkała w Bawarii,

to był to dla niej kraj wakacji (najbliżej, najtaniej i najpiękniej), teraz zaś są to najlepsze wspomnienia i że nie lubi żadnych *frutti di mare* ani lodów waniliowych, więc naprawdę niewiele. Ale mimo to nawet nie spostrzegli, jak się zachmurzyło i zaczęło padać; dopiero gdy deszcz spadł bardziej rześisty.

Wracali szybkim krokiem i on machał ręką na przejeżdżające taksówki, ale żadna się nie zatrzymała, a ona się śmiała i mówiła, że nie jest z cukru i że deszcz wkrótce przejdzie. I przeskakiwali wzdłuż murów kamienic z bramy do bramy, ona zaś biegła przodem. A w jednej z takich bram, bo chmura jest ciemna, ale nie duża, wyciągając przed siebie rękę i wystawiając ją na deszcz, żeby potwierdzić to, co mówi, to wtedy, w jakimś ukośnym odbiciu światła, zobaczył w jej włosach kilka drobnych kropeł zatrzymanych tam, zawieszonych, jak o świcie na pajęczej siatce rozpiętej w lesie między drzewami i że drżą, migocą, srebrzą się, jaśniejają, i nagle, bez zastanowienia, bez nawet jednej myśli o tym, co robi, nachylił się ku niej i w to miejsce szyi pod uchem, mokre i zimne, srebrzące się kroplami deszczu, pocałował, a ona zwróciła do niego całą twarz i w szybkim, krótkim uśmiechu błysnęły jej zęby. Potem znowu biegła i nie chowała się już w niszach bram przed deszczem.

Milczeli czekając w hallu na windę, i w windzie też milczeli (w jej twarzy było tylko zamyślenie), a gdy winda się zatrzymała na drugim piętrze, to ona go wyprzedziła, jakby o nim zapomniała, niknąc po chwili w końcu korytarza. I już się do niego nie odwróciła. Usłyszał, jak gdzieś w głębi szcęknięty i zaraz zatrzęsnięty się drzwi i jakiś czas wsłuchiwał się w tę ciszę, po tym trzasku jeszcze większą, zanim wszedł do swojego pokoju. Osuszył twarz i głowę ręcznikiem, a potem nalał sobie do szklanki grappy i rozcieńczył ją nieco wodą. Siedział na łóżku, myśląc, że nie pójdzie na obiad, ale gdyby miał odpowiedzieć sobie dlaczego nie pójdzie, nie potrafiłby odpowiedzi znaleźć. Wewnątrz wszystko w nim było jakieś nieposkładane, jakby rozpadające się, rozdygotane, choć tym razem nie był to żaden atak bólu. Chciałby zasnąć, żeby nie mieć w głowie żadnej myśli, zaraz jednak rozległo się niegłośnie pukanie i nawet nie zdążył się odezwać, kiedy ona weszła i opierając się plecami o już zamknięte drzwi,

chwilę przypatrywała się mu przez długość pokoju tym zamyślnym spojrzeniem, które tak już dobrze znał. Ale ledwie zniósł jego ciężar.

Potem się zbliżyła i tę szklankę alkoholu wyjęła mu z dłoni i szybko odstawiła na stolik. Pozwalała później, żeby ją rozbierał i cierpliwie stała prawie nieruchomo, wyprostowana, przechylając jedynie nieco to w tę, to w drugą stronę ciała, aby mu ułatwić zdejmowanie z niej bielizny, podnosząc jedną rękę, potem drugą, jedną nogę, potem drugą, żeby mógł ją z bielizny zupełnie uwolnić jak z gorsetu, a na wciąż nieruchomej twarzy miała teraz coś w rodzaju bladego uśmiechu, tak nikłego, że właściwie było to zaledwie lekkie rozchylenie ust, odsłaniające zęby, ale jednak znaczyło uśmiech, tyle że nie skierowany ku niemu, bo nawet nań nie spoglądała (jak wtedy, kiedy się doń zbliżyła i spojrzała wzrokiem napiętym, czekającym, rzuconym z góry na dół, gdy objął ją w pasie), lecz patrzyła wprost przed siebie i ten jej nikły uśmiech, skierowany był jak gdyby w głąb samej siebie, być może do własnych myśli, do tego, co w tej chwili czuła, jej zaś brzuch, twardy, nieco niżej pępka odrobinę wypukły, jak u rzeźb gotyckich Ew, ze śladami apalenizny, pod jego dłońmi oddychał głęboko i rytmicznie.

Potem, już w łóżku, bardzo długo wymieniali różne delikatne pieszczoty, prawie nic nie mówiąc, zanim się zachłannie w siebie zapadli. A jeszcze potem długo leżeli bez tchu i on oddychał jej skórą. Gdy zaś się wreszcie odezwała, to w jej głosie było absolutne rozluźnienie, uspokojenie, spokojna radość, lecz jak gdyby zdumienie też. I nie tym, co dopiero zaszło, ale że między nimi właśnie, bo pierwszy raz dotknęła tego, co nawet napomknieniem, nawet jakimś drobnym półsłowem nie zostało przez tych kilka dni dotychczas głośno wypowiedziane, nazwane: że ona jest Ukrainką a on Polakiem.

Śmiała się, ale jej śmiech był smutny, gdy mówiła: „Wiesz, czytałam kiedyś w przekładzie książkę pewnego polskiego autora o naszych stronach. Nie pamiętam nazwiska. Jest tam taka scena, że oni pieszczą się na łące, czy gdzieś tam, może w lesie. On Polak, ona Ukrainka. Już rozebrani, już po wstępnej fazie. No i jak właśnie ma do czego dojść, to ona go nagle odtrąca. Strząsa go z siebie. Ze swego

brzucha. I śmieje się szyderczo: że to wszystko było udawane. I mówi: ty Polak, idź sobie, coś w tym rodzaju, nie pamiętam, w każdym języku są przecież na to inne określenia, nie pamiętam, ale tę zniewagę, zaciekłość, tę nienawiść zapamiętałam dobrze” i jej głos był jakiś zakrzepły, jakby przymuszony do mówienia, jakby nawet nie własny. „Czy to możliwe, aby była aż taka nienawiść?” zapytała po chwili, ale gdy nie odzywał się, pytania nie ponowiła.

Po jakimś czasie jednak odezwał się, bo wydawało mu się, że ona wciąż na to czeka. „Była straszna nienawiść. Ucinano głowy i genitalia, rozrywano nozdrza, otwierano kobietom brzuchy. Znam wypadek z sąsiedniej wsi, kiedy mężczyzna, Polak, wywieziony przez Sowietów, powrócił. W domu została żona, Ukrainka. Przedarł się przez niemiecko-sowiecki front. Wiele tygodni szedł lasami niemieckim zapleczem przyfrontowym. Gdy dotarł w nasze strony, to ona już z dzieckiem nie żyła. Nie wiem kto ją zabił, wasi nasi, nie wiem. Ani w jaki sposób. Ale nie żyła. A jego, to jej bracia owinęli w drut kolczasty i ten kłęb stoczyli ze wzgórza w jar. Konał całą jeszcze noc do rana, możesz sobie wyobrazić jak...”

Znowu zamilkł, a ona też milczała dłuższą chwilę i jej ciało, leżące obok niego, było idealnie nieruchome. Nie wiedział, co myśli, nie słyszał nawet jej oddechu, jednego szmeru. A potem, jakby tamten watek się jeszcze nie wyczerpał, zapytała w zamyśleniu: „Czy to wszystko można tłumaczyć, jak tego chcieli ci marksistowscy magowie po obu stronach granicy, tym stosunkiem: pan-chłop? Wielowiekową klasową krzywdą i tym podobne?” „Nie sądzę” powiedział z przymusem, bo wolałby nie mówić, zwłaszcza teraz. „No więc co?” dopytywała się ona i jej ciało było dalej nieruchome, tylko dłoń dotknęła jego biodra i powędrowała na pierś. „W dawnych wiekach...” powiedział i chwilę się namyślał, „chłopu ruskiemu nie miewało się gorzej niż polskiemu. Przeciwnie, był zawsze bardziej swobodny, miał gdzie uciekać. Były Dzikie Pola. Bardziej się liczone z jego niezależnością. Tam były całe obszary, które nigdy nie zaznały pańszczyzny. Dopiero Rosja ją wprowadziła. To więc nie to. Przyczyn trzeba by szukać w historii, w błędach politycznych, w niedopuszczeniu Kozaków do stanu obywatelskiego czyli

szlacheckiego, w chciwości magnaterii, tych królewiatek kresowych, w zbytnim pożądaniu władzy przez katolicką hierarchię. I że zabrakło woli stworzenia z Rzeczypospolitej Obojga Narodów – Rzeczypospolitej Narodów Trzech. Przede wszystkim zaś w buncie i pogardzie jednych i poniżeniu drugich. Chociaż ci butni i pogardzający, to zazwyczaj byli neofici. Dawni bojarowie ruscy i pankowie, którzy zostali przyjęci do polskich herbów albo się do nich wkupili i nagle poczuili Polakami. Wynoszący się nad własny lud. Bardziej papiescy, niż sam papież...”, namyślał się krótko nad właściwym określeniem, jednocześnie myśląc ze wzrastającą irytacją i ze zdumieniem też rosnącym, że: co on za monologi wygłasza w chwili najmniej do tego odpowiedniej, i ogarniało go przerażenie. Ale jednak nie potrafił przestać i dowodził, że całe zło zrodziło się z buty i pogardy, i z radości poniżenia. „Bo buta i pycha, i nadzwyczajna zdolność wynoszenia się ponad drugich różnych polskich panków ma szeroką sławę” dowodził, podnosząc bezwiednie głos, choć jej dłoń delikatnie, ale bezustannie błędziła po jego ciele, jakby chciała, żeby już zamilkł. „Myślę, że nie ma co ukrywać, obydwójce nie należymy do narodów, które zbyt daleko wykroczyły poza prymityw i wyzwoliły się z barbarzyństwa”. Ale wtedy ona przerwała: „Nie, nie...” prawie głośno, „Już dość, nie...” i jej twarz była (wyczuł to) mokra od łez, a potem, równie nagle z tych łez przeszła do śmiechu: posłyszał metaliczny, jakby z głębi gardła podnoszący się i perlący dźwięcznym altem śmiech kobiety, która już myśli o czymś innym, więc zamilkł. Wciąż z tym śmiechem mówiła: „Ale ta scena, o jakiej ci opowiadałam, wiesz, ta scena w tej książce tego polskiego autora, to wydawała mi się już wtenczas mocno wymyślona, naciągnięta dla efektu. A teraz jeszcze bardziej. To niemożliwe, nieprawdopodobne. Bo jeżeli oni tam na tej łące, czy w lesie, gdziekolwiek to było, nie pamiętam, tak daleko ze sobą zaszli... no i... rozumiesz... to nie można mężczyzny o tak sobie, strząsnąć z siebie, jak komara. On ją zgwałci. Chyba że byłaby atletką. Efektownie wymyślone...” i znowu się śmiała, „Czy ja mogłabym ciebie z siebie strząsnąć? Czy dałbyś się strząsnąć?” i jej uda objęły go i brzuch przycisnął się, a on przycisnął się do jej brzucha.

Potem ona zasnęła z głową wciśniętą w jego bok. Ale

zanim zasnęła, rozmawiali jeszcze ze sobą krótko: tylko słowa najistotniejsze, najważniejsze. Jeszcze powiedziała: „Nie mam ochoty iść na obiad. Zresztą pora obiadowa dawno minęła. Na kolację też nie mam ochoty iść. W ogóle nigdzie...”, a on również, że nigdzie, lecz tego pewnie już nie usłyszała z głową bezwładnie na jego boku, cała bezwładna, rozluźniona w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Więc teraz słuchał jej oddechu. I starał się tego powolnego jego rytmu nauczyć na pamięć, niejako posiąść go, wchłonąć w siebie wszystkimi zmysłami, wszystkimi nerwami, tkankami wszystkimi swego ciała, utrwalić w pamięci aż po godzinę śmierci, myśląc jednocześnie o tym przedziwnym przypadku, o jakimś nadzwyczajnym, cudownym zrządzeniu losu, o samym losie, a nawet o Bogu, że mogło mu się coś takiego w życiu jeszcze w końcu przytrafić, że został tak wyróżniony i tak wspaniale, hojnie obdarowany, i nie wiedział, czy mu teraz ciężiej czy lżej. Wiedział tylko, że musi sobie na to pytanie koniecznie odpowiedzieć. Ale nawet, gdyby mu się to po jakimś czasie miało udać, to nie zdążył. Poczł od dołu wzdłuż kręgosłupa ostre szarpnięcie, a potem zaraz rozlewający się na całe ciało ból. I pomyślał jeszcze tylko, że nie wolno mu, że nie może wyskoczyć z łóżka, zażyć morfiny, że zbudziłby tym Oksanę (pierwszy raz w myśli nazwał ją po imieniu), bał się nabrać w płuca większy haust powietrza, głębiej oddychać, zaciskał zęby, pięści, cały wewnątrz się zaciskał, kurczył, myślał o męskiej sile, wytrzymałości, woli, o ambicji, o honorze, że nie może się żadnym ruchem zdradzić, że musi wytrzymać i milczeć, i modlił się do tego bólu, żeby puścić i lżył go w rozpacz, i zaklinał różne duchy i świętych, już później bez żadnej nadziei na ulgę, ale i po raz drugi w krótkim czasie z buntem tak przemożnym, tak straszliwym i wielkim, jak ten ból. Był w nim zanurzony jak w piekle, jego żar, wydawało mu się, wypalał go na białą kość, ale wiedział: nie jest sam. Nie chciał zbudzić śpiącej obok kobiety.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Wiersze

Leszek SZARUGA

ZNÓW

Znów czas. Poeta opuszcza
Swoj kraj. Szuka dla niego
Ratunku za granicą
Języka, w gestach
Rozpaczy. Zostawia za sobą
Klekot retorów,
Jazgot szaleńców.

Znów czas. Ma wypowiedzieć
To słowo. Szuka go,
Podąża w głąb siebie,
Przekracza granice
Wstydu i bólu. Widzi:
Znów noc zapada. Powtarza
Stare zakłęcia.

Milknie. To słowo
Ojczyzna
Nie chce przejść przez usta.

Leszek SZARUGA

Marzena BRODA

PIJANY STERNIK

Widział jak droga rośnie w oczach,
nie rozumiał, że najprościej się zgubić,
jeśli się wlecze po zaśnieżonych poboczach,
gdy ciepło w żyłach zaczyna się tlić.

Dawniej umiał rozpoznać kierunek, pięć
lat minęło odkąd nie pływał po morzach,
był sternikiem, sprawnie w sztormie nurkował, jak rtęć
w chorobie piął się w górę, słysząc, że Jacques

krzyczy: „Kiedy nie wiesz co robić, wchodź na szczyt
słupa”. Ale teren był płaski, uwydatniał sens sytuacji,
więc spowolnił, tak już niewyraźny rytm
kroków i zasnął, jakby w poczekalni na stacji.

30.01.1996

PORWANIE GANIMEDESA

Nie było nic, z czym można by ich równać,
widząc jak jeden unosi drugiego,
jakby wyrzuciła się pod ciałami równina
a życie nagle stało się w rozpaczy drogę.

I będąc w górze symetrycznie dzielili niebo,
wdychał wiatr z jego warg w zachwycie,
poczuł, że go ramię od uścisku nie boli
i mocniej się mięśni pod piórami chwycił.

Zasłonili złączeniem słońce, nad Ziemią
zaciążyła góra rzucając noc na półkule,
by zestroiły się w porę, która nie rozmienia
czasu na drobne. Ale chłopiec z zimna się kulił.

Oczy były szybsze od myśli. Kiedy tnąc
granicę znalazł się w gwiazdozbiorze,
należał już do rodziny motyli, dokąd
zabrał go, ogarnięty ludzką słabością, orzeł.

12.02.1996

Marzena BRODA

Stanisław DŁUSKI

GRY O ŚWIAT

dla Krzysztofa Karaska

Te nasze gry z cierpieniem;
noce jasne od alkoholu,
taniec na krawędzi chodnika,
grymas ust, jak lot jaskółki
nad płaską taflą rzeki;

te nasze gry z Wojaczkiem;
ciała zdradzane przez ciała,
zaślinione kaftaniki bezpieczeństwa,
wiersze wyzwolone od kobiet, jak
drzewa płaczące na wietrze;

oddalam się od siebie, śliny
i ciała wierszy, zanurzony w nocy
szukam Twojego palca, żeby
otworzyć świat

Stanisław DŁUSKI

Agnieszka LISAK

JESIEŃ

Według doniesień leśników
partia czerwonych buków
zdobyła przewagę nad opozycją zielonych
ptaki przeczornie wyemigrowały na Południe
wróżąc lotem kryzys grzewczy
sarny skarżą się że ubywa żywności
w kuluarach liści jeże mówią
o wyczerpaniu się budżetu
lata.

RUTYNA

Są kobiety
które się bierze jak gazetę
przed snem zwyczajnie
mnie papier ciała
w tej gazecie zmieniają się tylko daty
i kolory co siwieją coraz bardziej
więc odkłada się ją złożcząc
że znowu to samo.

Ostatnią tajemnicę
już dawno ze mnie zdjąłeś
zebrałeś kwiaty
z letniej sukienki
przekwitła zieleń
naszych oczu
pozostał tylko krajobraz
na wspólne milczenie.

Agnieszka LISAK

Archiwum polityczneByła własność żydowska
w Polsce i Niemczech

„Kiedy rozmawiają ze sobą Niemcy i Żydzi, nieuchronnie pojawia się sprawa przeszłości”, powiedział niedawno prezydent Niemiec Roman Herzog. Wydarzenia ostatniego okresu pokazują coraz dobitniej, że przy wszystkich różnicach w historii Polski i Niemiec na przestrzeni kilku ostatnich dziesięcioleci, stwierdzenie to nie tylko zyskuje na aktualności, lecz po prostu stale ją posiadało, także w odniesieniu do Polski. Jedną z najważniejszych kwestii, mimo różnych uwarunkowań, wspólnych dla obu krajów, jest sprawa roszczeń na rzecz zwrotu byłego majątku żydowskiego.

W ciągu ostatnich 50 lat problem utraty mienia prywatnego, szczególnie nieruchomości, gospodarstw chłopskich czy też wielkich majątków ziemskich i fabryk, jawił się w świadomości dużej części Polaków jako jeden ze skutków II Wojny Światowej i kojarzył przede wszystkim z przymusowym opuszczeniem kresów wschodnich oraz powojennymi wywłaszczeniami przez komunistów. Towarzyszyło temu poczucie krzywdy doznanej głównie przez obywateli polskich (jako „stuprocentowych Polaków”), natomiast sprawa utraty mienia np. przez polskich Żydów, traktowana była przede wszystkim jako nieodwracalny skutek działalności nazistów, dotyczący osób pojmovanych w dużej mierze jako „obcych”, i w związku z tym nie wywoływała większego poruszenia. Podobnie zresztą miało się z utratą mienia przez wypędzonych Niemców. Na marginesie można dodać, że w obu przypadkach związane z tym fakty jak np. masowe zamieszkanie w cudzych niegdyś domach, znalazły interesujący wyraz

na obszarze języka: w dużym „Słowniku ortograficznym języka polskiego” (PWN 1996) jest np. słowo „poniemiecki” i „pożydowski”, nie ma natomiast słowa „porosyjski”.

Analizując sposób traktowania kwestii byłej własności żydowskiej w Polsce, szczególnie na tle coraz głośniejszych i uporczywszych żądań ze strony osób prywatnych i niektórych organizacji żydowskich w okresie ostatnich lat, warto przyrzeć się podejściu do tej problematyki najpierw w obu państwach niemieckich, a obecnie w zjednoczonych Niemczech, i to nie tylko ze względów formalnych. Wystarczy wspomnieć, że duża część byłego majątku Żydów niemieckich znajduje się obecnie na polskich ziemiach zachodnich, północnych i południowych. Przykładowo w samym tylko Wrocławiu największe domy handlowe jak np. „Renoma” (dawny PDT a przed wojną „Wertheim”) czy „Feniks” należały do żydowskich właścicieli. Ich własnością były także rozliczne parcele, domy, fabryki, dobra ziemskie i inne nieruchomości.

Już z tego widać, iż w odniesieniu do Polski sprawa ta posiada co najmniej trzy zasadnicze płaszczyzny historyczne i prawne. Pierwsza to kwestia mienia polskich Żydów, którzy zostali zamordowani w czasie II wojny lub opuścili je, uciekając przed Niemcami. Druga grupa to osoby – podobnie jak inni Polacy – wywłaszczone w ramach powojennego upaństwowienia majątków. Trzeci krąg to Żydzi zmuszeni do opuszczenia PRL w okresie nagonki antysemitkiej w roku 1968, którzy niejednokrotnie pozostawili lub, zmuszeni sytuacją, sprzedawali domy i inne nieruchomości. Skala tego problemu w Polsce wydaje się przy tym nie mniejsza niż na terenie Republiki Federalnej. Wystarczy tu wspomnieć takie były centra bytności żydowskiej jak Kraków, Łódź czy Zamość, gdzie duża część nieruchomości należała do polskich Żydów. Ich rosnąca wartość m.in. w związku z planowanym przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, nada tej sprawie zapewne jeszcze większą wagę.

W Niemczech zachodnich sprawa odszkodowań i zwrotu byłej własności żydowskiej, już od pierwszych lat powojennych stała się przedmiotem najpierw administracyjnych decyzji aliantów, a wkrótce po utworzeniu RFN także odpowiednich decyzji i zobowiązań rządowych. W roku 1952 w

Luksemburgu doszło do podpisania odpowiednich układów między RFN a Izraelem oraz różnymi organizacjami żydowskimi razem z umowami na temat odszkodowań dla żydowskich ofiar nazizmu. Umowy te były jeszcze później (m.in. w roku 1957 i 1965) uzupełniane i modyfikowane w interesie ofiar. Natomiast w NRD całkowicie odrzucano roszczenia w tym względzie, powołując się na odrębną i „nienazistowską” historię tej państwowości. Dopiero pod koniec lat 80-tych zasygnalizowano możliwość wypłacenia w bardzo ograniczonym zakresie odszkodowań za utracone mienie żydowskie, do czego jednak już nie doszło.

Gwoli sprawiedliwości trzeba wspomnieć, iż sprawa wypłaty odszkodowań dla żydowskich ofiar nazizmu nie była zbyt popularna zarówno w latach 50-ych w RFN jak też w zjednoczonych Niemczech. W roku 1952 popierało ją tylko 11% ankietowanych obywateli RFN, a Konrad Adenauer zdołał przeforsować odpowiednią ustawę w Bundestagu tylko przy pomocy głosów z SPD przeciwko części własnej frakcji CDU. Także podnoszone przez niektóre organizacje żydowskie roszczenia wypłat odszkodowań w imieniu NRD przez zjednoczone Niemcy, nie znalazły poparcia aż u 73% respondentów niemieckich. W sumie do stycznia ubiegłego roku Republika Federalna wypłaciła w ramach tych odszkodowań pojedynczym osobom, organizacjom i Izraelowi 95 miliardów marek.

Zjednoczenie Niemiec, postrzegane w kontekście zwrotu byłego majątku żydowskiego na obszarze byłej NRD lub wypłaty odnośnych odszkodowań, oznaczało zrównanie sytuacji prawnej na terenie starych i nowych landów. Od tej chwili sprawę tę także w Niemczech Wschodnich reguluje federalne prawo własności (*Vermögensgesetz*), wedle którego własność żydowska musi zostać zwrócona byłym właścicielom również wtedy, gdy „prawa innych osób, które nie wiedziały o popełnionym bezprawiu, muszą zostać cofnięte”. Oznacza to, iż obecni posiadacze nieruchomości, które nabyli lub odziedziczyli w dobrej wierze, nie wiedząc, iż kupują lub otrzymują były własność żydowską, muszą opuścić domy lub ich tereny i oddać je ich byłym właścicielom, których zmuszono do ich sprzedaży, darowizny lub wyrzeczenia się.

Skala tego problemu na terenie nowych landów jest

ogromna, zarówno w odniesieniu do liczby odnośnych wniosków, jak też związanych z tym emocji na poziomie lokalnym i protestów osób dotkniętych koniecznością opuszczenia mieszkań, domów czy gospodarstw. Obrazują to dane przedstawione na zorganizowanej w połowie kwietnia w Berlinie konferencji prasowej. Jak dotychczas, złożonych zostało 57.000 wniosków o zwrot mienia, z czego 32.000 odnosi się do nieruchomości. Inne źródła mówią o 64.560 odnośnych wniosków. Często jest tak, że jedno podanie zawiera żądania zwrotu kilku lub kilkunastu obiektów bądź nieruchomości. W samej tylko wschodniej części Berlina żądania dotyczą 300.000 parcel, przedsiębiorstw lub innego majątku trwałego. Nie wszystkie podania rozpatrywane są jednak pozytywnie. Zdarza się bowiem, że o jedną nieruchomość walczy naraz kilku spadkobierców. Inni nie mogą przedłożyć wiarygodnych dowodów prawowitości ich roszczeń jako byłych właścicieli lub spadkobierców, gdyż brak jest niepodważalnych dowodów i dokumentów.

Obok osób prywatnych, wnioski w imieniu także żyjących już ofiar wywłaszczeń lub osób, które z różnych względów same nie podjęły jeszcze odpowiednich kroków, złożyła organizacja żydowska „Conference on Jewish Material Claims against Germany” (JCC). W przypadku braku spadkobierców nieruchomości są sprzedawane, a zysk przekazywany jest na specjalny fundusz pomocy, z którego JCC wypłaca odszkodowania żydowskim ofiarom prześladowań nazistowskich, wspiera budowę domów starców, pomaga w finansowaniu leczenia itp. Działalność tej organizacji nie zawsze spotyka się z zadowoleniem byłych właścicieli. Bowiem niekiedy dochodzi do sytuacji, że JCC otrzymała już odszkodowanie lub zawnioskowany majątek, a jego byli właściciele, którzy za późno zgłosili swe roszczenia, mogą otrzymać potem od JCC już tylko pewną część odzyskanej wartości. Aktualnie w sądach wschodnioniemieckich o zwrot przejętego majątku procesuje się z JCC około 1000 byłych właścicieli żydowskich.

Innego rodzaju problemy dotyczą wspomnianych protestów i procesów sądowych wszczętych przez osoby dotknięte koniecznością oddania posiadanego mienia, w które często-kroć zainwestowały nie tylko swą długoletnią pracę, ale także

setki tysięcy marek. Najbardziej drastyczne przypadki dotyczą posiadaczy domów i gospodarstw rolnych.

Przykładem tego jest leżąca nieopodal Berlina wieś Dyrotz, niegdyś posiadłość rycerska. Na przełomie wieku nabył ją żydowski potentat prasowy Rudolf Mosse z Berlina, który zainwestował w nią spory kapitał i zbudował tam m.in. dom dla sierot – także nieżydowskich. W roku 1933, już po śmierci wydawcy, naziści poróbowali nakłonić jego dzieci do „aryzacji”, jednak bez skutku. W odwecie zmuszono syna i córkę do założenia fundacji, której przekazali podupadły i zadłużony – jak twierdzono – majątek rodzinny. Jeszcze w tym samym roku ogłoszono upadek fundacji i jej sprzedaż. Część posiadłości nabył pewien bank, który pojedyncze kilkuhektarowe połacie odsprzedał następnie okolicznym rolnikom. Obecnie, zgodnie z panującym prawem posiadłość w całości ma zostać zwrócona spadkobiercom, mimo faktu ponad sześćdziesięcioletniego zasiedzenia obecnych właścicieli, ich wkładu finansowego i pracy. Przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech Ignatz Bubis wyraził wprawdzie zrozumienie dla oburzenia rolników, niemniej stwierdził, iż „należy zadośćuczynić bezprawiu popełnionemu na Żydach, nawet jeśli nie można wykluczyć zaistnienia nowego bezprawia”.

Duża część roszczeń żydowskich dotyczy budynków mieszkalnych w miastach, głównie w Lipsku, Berlinie i Dreźnie. Także w tych przypadkach ich obecni właściciele muszą liczyć się z utratą mienia, nawet jeśli posiadają niepodważalne dokumenty ich uczciwego nabycia. Oprócz żądań zwrotu mienia ze strony osób prywatnych, istnieją także roszczenia ze strony różnych organizacji i gmin żydowskich w Niemczech. W dużej mierze dotyczą one zwrotu synagog, budynków i nieruchomości, będących przed wojną ich własnością. Prawie zawsze spotyka się z pozytywną odpowiedzią władz lub sądów niemieckich, niezależnie od ich obecnej funkcji i faktu milionowych niekiedy inwestycji w ich renowację czy odbudowę.

Jak wynika z wypowiedzi przedstawicieli jednej z organizacji żydowskich, przytoczonej w trzeciej dekadzie kwietnia przez polską telewizję POLSAT, działania na rzecz zwrotu mienia żydowskiego będą nasilane, a państwa, które sprzeci-

wiają się jego zwrotowi, będą „publicznie piętnowane i upokarzane” (wypowiedź przytaczam z pamięci). Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że odnośne żądania organizacji żydowskich na terenie szeregu państw, m.in. częściowo także w Czechach, odniosły skutek. Należy liczyć się z tym, iż także w przypadku Polski sprawa ta będzie stanowić jeden ze stałych przedmiotów dyskusji, sporów czy pertraktacji z osobami prywatnymi i organizacjami żydowskimi. I można się spodziewać, że podobnie jak wspomniana JCC, w odniesieniu do Niemiec, inne organizacje żydowskie mogą wystąpić z podobnym żądaniem w stosunku do Polski. Pomocne może im być w tym silne *lobby* żydowskie w USA.

Podczas lutowego spotkania prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z wice-przewodniczącym Światowego Kongresu Żydów, poruszono m.in. problem zwrotu gminom żydowskim ich dawnej własności, jak np. synagogi, biblioteki, ośrodki kultury, sierocińce, szkoły, cmentarze itp. Projekt odnośnej ustawy przewiduje, inaczej niż ma to miejsce w Niemczech, iż w przypadku restytucji nie wolno naruszać praw osób trzecich, które nabyły nieruchomości w dobrej wierze w ciągu ostatnich lat. Co jednak, kiedy ktoś nabył nieruchomość wiedząc, iż przed wojną a nawet niekiedy jeszcze po wojnie należała ona do właścicieli żydowskich? W przypadkach wielu budowli lub przedsiębiorstw, szczególnie w przedwojennych centrach bytności żydowskiej z zasiedziałą ludnością polską jak np. w Krakowie, sprawa poprzednich właścicieli była przecież publiczną tajemnicą.

Także inaczej niż w przypadku Niemiec, jeden z punktów planowanej ustawy jasno stwierdza, iż nie przewiduje się zwrotu prywatnego mienia żydowskiego pozostawionego w Polsce. Zamieszanie może wywołać natomiast stwierdzenie planowanej ustawy – cytuję za *Gazetą Wyborczą* – iż nie przewiduje się rozróżnienia byłych właścicieli pod względem religii czy narodowości. Przecież wielu polskich Żydów opuszczając przed wojną Polskę nie utraciło polskiego obywatelstwa i na podstawie obowiązującego prawa może zwrócić się o wydanie im aktualnych paszportów polskich, a tym samym uzyskać prawa, jakie w tym względzie przysługują wszystkim innym obywatelom polskim.

Z drugiej strony można zapytać, na jakiej podstawie

polscy kościół katolicki przejął np. część majątku nie tylko po niemieckim kościele katolickim na terenach utraconych przez Niemcy, co jest skądinąd zrozumiałe, ale także po kościele ewangelickim, kiedy są to dwie całkowicie odrębne instytucje zarówno w sensie religijnym jak i – co ma tu podstawowe znaczenie – prawnym. W ten sposób bowiem mogłby równie dobrze przejąć synagogi tak, jak w swym nie tylko apostołskim zapale przejął kościoły prawosławne nawet tam, gdzie ciągle jeszcze mieszkali i mieszkają wyznawcy obrządku prawosławnego.

Reasumując pragnę stwierdzić, iż moim zdaniem dyskusje na temat zwrotu majątku byłym właścicielom żydowskim, szczególnie z obywatelstwem polskim, dopiero się rozpoczynają. Upór i konsekwencja organizacji JCC w Niemczech daje wszelkie przesłanki do przypuszczeń, iż z taką samą energią również inne organizacje oraz osoby prywatne mogą już wkrótce przystąpić do działania także w przypadku Polski. Dotychczas główną barierą w tym względzie były bowiem, co dobrze widać na przykładzie Niemiec Wschodnich, sprawy prawno-ustrojowe, wynikające z przynależności różnych krajów środkowo- i wschodnioeuropejskich do różnych systemów politycznych. I dopóki w krajach tych panował ustrój komunistyczny, wydawało się, iż wywłaszczone i upaństwowione dobra i nieruchomości stracone są po wsze czasy, co zniechęcało do zgłaszania roszczeń. Po przemianach systemowych i przywróceniu praw do szeroko pojętej własności prywatnej, możliwość restytucji majątków stała się nagle realna. Niewykluczone, iż konsekwencje tego faktu mogą w Polsce wyjść poza ramy rozważań etycznych i moralnych gdyż, jak widać już teraz, nie da się zbyt łatwo ograniczać tej kwestii tylko do niezobowiązującej dyskusji o wyższości wyznania czy narodowości.

Andrzej STACH



ARS POLONA

*jeden z najstarszych i największych
eksporterów książek i czasopism
zaprasza serdecznie
do współpracy!*

**Dostarczamy każdą książkę
i czasopismo wydane w Polsce
zarówno odbiorcom indywidualnym,
jak instytucjom i księgarniom.**

W zależności od wielkości zamówienia - udzielamy atrakcyjnych rabatów

**ARS POLONA jest także organizatorem
Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie
odbywających się w tym roku
w dniach 15-20 maja.**

Następna 42 edycja tej imprezy - 15-19.05.1997!

Dodatkowe informacje pod adresem:

ARS POLONA

Centrala Handlu Zagranicznego

00-950 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7

tel. 26 12 01, fax 26 62 40

e-mail: ars_pol@bevy.hsn.com.pl



Kraj

Powrót polityki

1.

Poświęcono już wiele papieru rozważaniom, które przeciwstawiały ideologicznym zachowaniom wyborców zachowania racjonalne, podporządkowane interesom zbiorowym, grupowym bądź indywidualnym. Jest w tym przeciwstawieniu sporo trudności i zapewne byłoby lepiej, gdyby polscy wyborcy zachowywali się nieco mniej ideologicznie i bardziej trzeźwo. A jednak apele o takie właśnie zachowania brzmią często dość podejrzanie. Kiedy do odideologizowania nawołuje lewica nie sposób nie podejrzewać, że skłania ją do tego złe samopoczucie formacji, która swoją ideologię zgubiła. Kiedy zaś otrzeźwienia od ideologii domagają się przeciwnicy lewicy, okazuje się zaraz, że wcale nie są aż tak racjonalni, by zalecać wyłącznie drogowskaz interesów. Interesy interesami, ale wyborca – powiadają – winien nade wszystko mieć wzgląd na wartości. Oczywiście, zapewnia go się zarazem, że wartości (np. chrześcijańskie) nie mają nic, ale to nic wspólnego z ideologią i że świat według wartości jest wręcz zaprzeczeniem świata zideologizowanego. Niestety uwikłanie owych wartości w instytucje i światopoglądy czyni tę opozycję niewiarygodną. Jest jakoś tak, że np. wartościom chrześcijańskim zawsze towarzyszy jakiś kościół i jakaś religia, wartościom liberalnym – niewidzialna ręka rynku, narodowym zaś – państwowość i tradycja. Nie propaguję nihilizmu, przypominam jedynie, że nie jest tak łatwo pozbyć się konsekwentnie ideologii z myślenia i zwłaszcza z urny wyborczej. Polskie wybory w r. 1997 również nie będą wolne od ideologii. W jakiej natomiast mierze odnajdują się w nich interesy elektoratu – i w jaki

sposób pojmowane – to zależeć będzie najbardziej od oczekiwań, jakie Polacy wiążą z polityką. Otóż wiele wskazuje, że ostatnimi laty te oczekiwania były coraz skromniejsze.

Swój wielki romans z polityką Polacy przeżyli na raty. W 1980/81 powstało społeczeństwo obywatelskie, które uprawiało politykę namiętnie i z entuzjazmem, choć na ogół nie mówiło o tym, była to bowiem polityka głównie negatywna, polegająca na wypieraniu i ograniczaniu polityki w dotychczasowym, socrealnym sensie i przygotowywaniu pola pod inne, jeszcze wtedy nieokreślone choć przeczuwane rozumienie. Romans ożył ponownie w 1989, ale nie był już tak przebojowy: teraz wprawdzie został skonsumowany, ale zarazem to wszystko, co przedtem, w 1980/1981, było nie przygotowane i niedomyślane, i co wtedy nie przeszkadzało negatywnej polityce wypierania przeciwnika i jego pojmowania świata, teraz wysunęło się na pierwszy plan i owocowało dość powszechną niepewnością. Schronienia przed nią poszukiwano w zawierzeniu przywódcom i symbolom Solidarności. Wiadomo, że zaufanie to zostało wielorako zawiedzione. Zawód odczuwany przez obywateli miał znane skutki doraźne w postaci demokratycznego powrotu do władzy partii wywodzących się z PRL – i jeden skutek znacznie głębszy: rewizję oczekiwań wobec polityki.

W pierwszej fazie rewizja ta nie była jeszcze odczuwana jako redukcja. Wprawdzie polityka nie miała już dokonywać przełomu i konstruować nowej rzeczywistości, lecz tylko doprowadzać reformy do końca – nieco bawiąc się słowami można więc powiedzieć, że z rewolucyjnej stawała się reformistyczną – ale opisywana jako poszukiwanie „normalności” uznana została powszechnie za zdążanie do najlepszego z możliwych światów. Przedsięwzięcie było więc znacznego wymiaru i dominowały w nim treści o ogólnonarodowym, nie zaś partykularnym zasięgu.

W następnej fazie redukcji znaczenia polityki i wręcz jej degradacja, stały się fenomenem uświadomionym. Aby zrozumieć ten proces, trzeba mieć na uwadze, że „polityka reform”, niezależnie od układu partyjnego akurat u władzy, była stale prezentowana i wyjaśniana w kategoriach liberalnej teorii społecznej (i neoliberalnej ekonomii). Stąd nacisk kładziony na ograniczenie państwa i sfery polityki.

Najchętniej za politykę właściwą, bez przerostów uważano tylko stanowienie i egzekwowanie prawa a mankamentami obciążano biurokrację (o złych urzędnikach zawsze było najgłośniejsze w krajach, które miały złych polityków i złą politykę). W tej fazie stosunek obywatela do polityki opisuje się jako pochodną jego zaradności bądź bezradności wobec nowej rzeczywistości zbiorowej. Opozycja zaradny-bezradny staje się w liberalnych mediach (takich jest 90%) i ustach miarodajnych polityków główną kategorią podziału społeczeństwa. Zaradni, w tym ujęciu, radzą sobie sami i nie chcą zbyt wiele polityki, bezradni zaś chcieliby jej więcej, ale to jednak byłoby ze szkodą dla kraju. Degradacja polityki w opinii społecznej jest w tych warunkach nieuchronna. Od polityki zdegradowanej nie oczekuje się ani przełomów ani nawet „doprowadzenia do końca” reform, które prowadzą się „same”, to znaczy rękoma urzędników. Oczekuje się załatwienia spraw, indywidualnych i zbiorowych. I sprawy są załatwiane. W Polsce załatwia się nieprawdopodobnie wiele spraw: od sprawy do sprawy, często nawet całkiem udanie. Ale w toku tego nieustannego załatwiania okazuje się, że „zaradność” i „bezradność” nie są tylko kategoriami socjalnymi czy socjopsychologicznymi: zaradni wygrywają wszystkie sprawy. Zaradność jest więc kategorią polityczną, na miarę tej naszej zdegradowanej polityczności.

Pragnę podkreślić, że świadomie narażam się na zarzut pokrętności wyводу, aby uniknąć najczęściej używanych słów: korupcja, złodziejstwo, siła pieniądza, szara strefa, naga przemoc, bandytyzm... Są to wszystko sposoby działania naszych zaradnych, ale do nich się zaradność bynajmniej nie sprowadza, w jej arsenale są także całkiem pozytywne metody np. pracowitość czy obrotność, a nawet swoisty patriotyzm lokalny (jak, nie przymierzając u Korsykańów we Francji). Rzecz w tym, że kreując *ex nihilo* te dwie kategorie społeczne, zaradnych i bezradnych nasi liberalni naukowcy i publicyści odbierają (celowo?) ważność innym podziałom społecznym, przedstawiają je jako politycznie nieistotne. Jest to zarazem jeszcze jeden sposób na odebranie racji bytu i lewicy i prawicy, a przynajmniej lewicy i prawicy bez przedrostka „centro-”, czyli świadomej swej odrębności i gotowej zapłacić za nią cenę zdecydowanej większości zaradnych,

którzy nie potrzebują polityki niezdegradowanej*. Ten sposób, jak dotąd, działa. Ale są też pierwsze sygnały odwracania się tendencji.

2.

Prowadzący stawkę politycy z rządzącej koalicji – prezydent Kwaśniewski i premier Cimoszewicz – mają bardzo dobre noty u ogółu wyborców: dwie trzecie respondentów (CBOS, połowa kwietnia) uważa, iż dobrze wywiązują się oni ze swych obowiązków, zaledwie 11-13% jest odmiennego zdania. Trochę cieniuje ten świetny wynik fakt, że o poparciu decydują raczej cechy osobiste obu polityków w percepcji społecznej niż ich dokonania i starania w sprawowaniu władzy. Te są oceniane znacznie chłodniej. Koresponduje z tym stałe obsuwanie się pozycji SLD w sondażach poparcia (PBS, koniec kwietnia): z 36% na przełomie roku do 28% w kwietniu**, jest to największa w tym czasie zmiana w tabeli wyborczych notowań. Koalicja, zwłaszcza SLD, które teraz ponosi główną odpowiedzialność za rządzenie zaczyna wykazywać wyraźne zmęczenie materiału, zużycie władzy. Pewną w tym rolę odgrywają nie tak świetne jak humor i samopoczucie wicepremiera Kołodki wyniki gospodarcze: większa inflacja, większe saldo ujemne w handlu zagranicznym, stagnacja bezrobocia. Jeszcze bardziej oddziałują na opinię niektóre spektakularne porażki: katastrofa Stoczni Gdańskiej, na którą się wprawdzie zanośliło od 1990, ale której rząd SLD-PSL (60% akcji stoczni należy do skarbu państwa) nie umiał lub nie chciał zapobiec; wrzenie w służbie zdrowia i w oświacie, która nie dostała takich podwyżek, jakie sądziła, że

* Nie jest oczywiście zaskakujące, że wśród kreatorów podziału na zaradnych i bezradnych szczególną rolę odgrywają psychologowie społeczni (socjopsychologowie), którzy w ten sposób awansują własną dyscyplinę, podnosząc jej znaczenie w wyjaśnianiu świata społecznego i jego przemian. Najnowszy tekst z tej serii znalazłem w *Magazynie Gazety Wyborczej* z 10 maja br. – „Nasza bezradność, nasza zaradność” – z Januszem Grzelakiem rozmawia Teresa Bogucka.

**PSL ma 8% i również spadło, natomiast nieco awansowała opozycja: NSZZ Solidarność do 18%, ROP Olszewskiego do 9%, UW do 14%, UP do 7%.

jej w zeszłym roku obiecano***. Co najważniejsze, opinia ma poczucie, że słabnie dynamika rządu. Odkładane są niektóre projekty, wskutek konfliktu między koalicjantami, jak reforma administracji, lub sporów wewnątrz samego SLD, jak reforma centrum. Reforma służby zdrowia czy reforma oświaty wyglądają raczej na żywiołowy choć powolny proces urynkowania, ale za tą żywiołowością i towarzyszącą jej bezczynnością władz centralnych kryje się zapewne chytry zamysł, by rynek najpierw rozmiękczył konstytucyjne gwarancje i przyzwyczaił ludzi do płacenia za zdrowie i studia, wówczas łatwiej będzie usankcjonować prawnie taką reformę bez reformy. Ta chytrność skutkuje, ale jej ceną jest rozchodzenie się coraz wyraźniejsze praktyki rządu SLD-PSL z jego wyborczymi programami: na takie sztuczki mogła sobie do czasu pozwalać PZPR, w demokracji się za nie płaci.

11 maja na konferencji wojewódzkiej SdRP w Ciechanowie Józef Oleksy zapowiedział, że trzeba będzie odejść od „modelu partii pragmatycznej”, przyjętego po rozwiązaniu PZPR. „Dziś krytyka tego jest uzasadniona, choć nie oznacza to, że w 1989 można było postąpić inaczej. Nie można było; dlatego po rozwiązaniu PZPR staliśmy się świadomie partią nieideologiczną, pragmatyczną, partią wyborczą”. Teraz więc SdRP zamierza „realnie określić pakiet wartości, które złożą się na wizerunek partii socjaldemokratycznej... Zamiast ideologii proponujemy pakiet wartości uniwersalnych, które cechują partię socjaldemokratyczną i na których partia buduje swoją siłę przekonywania obywateli”. Wśród owych wartości ma się znaleźć „sprawiedliwość jako najwyższa wytyczna” oraz „humanizm socjaldemokratyczny”. Program SdRP powinien „wykazywać zwykłemu człowiekowi, dlaczego jest dobrze, że rządzi lewica” i zawierać „uczciwy bilans rządzenia”. SdRP udokumentuje swą europejskość, nie ograniczając się do sloganu o popieraniu wszystkich celów polskiej polityki zagranicznej. „Musimy pomóc społeczeństwu je zrozumieć,

*** jest to przykład fatalnego niechłujstwa negocjatorów w Komisji Trójstronnej. Rząd uważa, że obiecał podwyżki liczone jako średnia z całego roku 1996 do średniej z całego roku 1995, a związkowcy rozumieją, że obiecane podwyżki winny być liczone w stosunku do ostatniego poziomu płac osiągniętych w r. 1995.

ukazując bilans zysków i kosztów wejścia do tych struktur". Poza tym SdRP zamierza pozbyć się opinii, „złośliwie jej przypisywanej”, partii urzędowego ateizmu i antyreligijności, aczkolwiek nie przestanie obstawać przy rozdziale życia publicznego od religijnego. „Musimy jednak działać tak, by głosowały na nas miliony ludzi wierzących”. Wreszcie, „prawica nie może mieć monopolu na patriotyzm, (...) lewica ma takie samo prawo do patriotyzmu”. W tygodniu, w którym to piszę, zapowiedziane było specjalne trzydniowe zgromadzenie kierowniczego gremium SdRP (ponad stuosobowego), w celu zainicjowania proklamowanej przez Oleksego przemiany „partii pragmatycznej” w „partię wartości”.

Józef Oleksy wyobraża sobie zapewne, że taka przeróbka, wzorowana na znanych wśród konkurentów SLD do władzy proklamacjach wyznawanych wartości, zdejmie z jego formacji zasłużone piętno bezpryncypialności i żeglowania z wiatrem („pragmatyzm”). Ale niezależnie od takich rachub i szczerości intencji inicjatorów dyskusji, może się okazać, że otwierają oni puszkę Pandory, gdyż uaktywni ona latentne sprzeczności ideowe w partii, a poprzez konfrontację „realnie określonego pakietu wartości” z praktyką rządzenia, skłoni rzesze zwolenników do dokładniejszego i głębszego rozliczania koalicyjnej władzy.

Innymi słowy, polityka po tej stronie sceny zapewne odzyska choć trochę terenu.

Znacznie dalej sięga obecnie ten proces po stronie przeciwnej. Wszystko wskazuje, że formacje prawicowe, które w istocie kwestionują kurs polityczny obowiązujący w III RP – ROP i Solidarność – uznały, iż w 1997 mają szansę zwycięstwa. Jest to istotne *novum*, gdyż dotychczasowe prawicowe koalicje i koalicje *in spe* były programowo najzupełniej niezborną mieszaniną, której spójność, tak przecież wątpliwą, zapewniły tylko wspólne historyczne nienawiści i fobie oraz pielgrzymki na Jasną Górę przy każdej okazji. Ta prawica była oczywiście antykomunistyczna, ale o przyszłości III RP niczego nie mówiła jednym głosem. Teraz ROP uzyskał taką przewagę dynamiki nad innymi partiami i partyjkami prawicy, że może zasadnie liczyć na przykucie ich do rydwanu Mecenasa i na wymiecenie całej prawej strony sceny aż do granicy koalicji z małymi partiami konserwatywno-liberalnymi i

chadecko-liberalnymi, którą stara się zgrupować Unia Wolności. Pozostaje, oczywiście, problem sojuszu z Solidarnością. Jeśli jednak Lech Wałęsa nie zdoła powrócić na scenę w sposób realny – a sędzę, że nie zdoła – to Solidarność nie będzie miała innego dobrego wyboru jak przymierze z Ruchem Odbudowy Polski. Obecna grupa kierownicza związku zaangażowała się tak bardzo w swoje projekty generalnego urzędnika kraju (od konstytucji poczynając), że nie bardzo będzie mogła odrzucić ofertę ROP, który w swej własnie proklamowanej „Umowie dla Polski” zawiera przede wszystkim rozległy spis obietnic gospodarczych, których jedynym wyraźnym źródłem finansowania ma być odebranie postkomunistycznej nomenklaturze tego, co zagarnęła. Na ochronę państwa mogą liczyć chłopi i rzemieślnicy, drobny handel i prywatny przemysł, lokator i kamienicznik i, oczywiście, wielkie zakłady przemysłu państwowego. Powszechne uwłaszczenie zastąpi rynkową prywatyzację, a dochody z nierabunkowej prywatyzacji zapewnią szczęśliwość funduszom ubezpieczeniowym. A będzie też repriwatyzacja i odszkodowania dla wszystkich pokrzywdzonych przez Sowietów i komunistów. I powszechna obniżka podatków. Wszystko to się nijak nie dodaje, ale wcale o to nie chodzi. „Umowa dla Polski” ma natomiast silne, moim zdaniem, znaczenie symboliczne. Nie tylko odpowiada na ludowe poczucie sprawiedliwości i pracownicze frustracje, które dominują w Solidarności, ale przedstawia tę odpowiedź jako wspólny (z solidarnościowym projektem Konstytucji) kontrprogram III Rzeczypospolitej, wreszcie znaną alternatywę dla liberalnej i neoliberalnej wizji świata.

Sceptyk zauważy w tym miejscu, że w 1991/1992 Jan Olszewski i jego przyjaciele jakoś nie zdawali się takiej alternatywy poszukiwać. Sceptyk wyrazi przypuszczenie, że nie byłoby „Umowy dla Polski”, gdyby tymczasem do programu liberałów nie przyznali się postkomuniści u władzy. Wszystko, co robi ROP, wynika zatem z obsesji. Sceptyk zapewne ma rację. Ale to nie zmienia faktu, że takie wystąpienie prawicy przywraca polityce w Polsce dawno utracone funkcje. Prawica obiecuje przełom i obiecuje go dokonać nie siłą irredenty (jak Tymiński) lub nacisku jednego lobby (jak Lepper), lecz dzięki wprzęgnięciu

najpoważniejszej zorganizowanej siły społecznej, Solidarności. Inicjatywa Olszewskiego i otaczającego go sztabu najbardziej przypomina pierwsze wystąpienia Perona w Argentynie i nie jest to podobieństwo przypadkowe. Peron również oparł się na sile dobrze zorganizowanych związków z wielkich zakładów pracy, jego rywalami też byli komuniści, a głównym wrogiem liberałowie (pod nazwą radykałów)... i obcy kapitał. Oczywiście, nie wolno nadużywać porównania. Peron miał w otoczeniu zagranicznym tylko jednego, wielkiego przeciwnika, Stany Zjednoczone, które jawiły mu się aktualnym zagrożeniem militarnym, politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Zagrożenia dla III RP w wizji Jana Olszewskiego są bardziej fakultatywne i pochodzą z różnych źródeł: militarnie zagrozić może nam Rosja, politycznie chcą lub mogą chcieć nas zwasalizować przede wszystkim Niemcy, gospodarczo i kulturalnie zagraża polskiej tożsamości i suwerenności Unia Europejska. Jak widać, siatka zagrożeń jest zbyt gęsta, by można optować za jednolitymi prostymi rozwiązaniami, jak to czyni Unia Wolności (pełną parą na Zachód). Ruch Odbudowy Polski chce więc jak najszybszego akcesu do NATO, ale Unię Europejską traktuje bez entuzjazmu i przewiduje długotrwałe i uciążliwe przetargi i zastrzeżenia. W sferze kultury o drodze na Zachód w ogóle nie ma mowy: to Zachód może przyjść uczyć się od Polski. Polityka zagraniczna polskiej prawicy zapowiada się jako pełna sprzeczności i, być może, karkołomnych wolt, ale nie podobna zaprzeczyć, że te sprzeczności odzwierciedlają autentyczne dylematy. Jeśli okaże się, że konkurenci prawicy będą zmuszeni podjąć w kampanii poważną dyskusję o miejscu Polski w świecie i Europie, to będzie to również zasługą „oszołomów” z prawicy.

3.

Dla formacji umownego centrum, Unii Wolności i Unii Pracy oraz, w pewnym sensie, również dla PSL, które obawiając się bardzo słabego rezultatu wyborczego, miota się pomiędzy taktyką afiszowania niezależności od SLD (aż po plan wyjścia z rządu tuż przed wyborami) i taktyką pełnego zaangażowania w rządzenie, aby nie tracić klienteli w terenie – ofensywa prawicy i nowe porządki, które zapowiada SLD

na własnym poletku, składają się na poważne wyzwanie. Nie jest to wcale niebezpieczeństwo zgniecenia centrum przez polaryzację („komuchy-solidaruchy”), czemu tyle poświęcano uwagi z okazji wyborów prezydenckich. Parokrotnie już dementowałem w *Kulturze* tę groźbę i mam teraz, nie kryję, trochę satysfakcji. Wyzwanie dla partii centrum jest poniekąd mniej brutalne ale głębsze: powrót polityki na obu skrzydłach stawia je bowiem wobec pytania (nim je postawią wyborcy), kim właściwie jesteście, jaka jest wasza racja bytu.

Zacznę od Unii Pracy, której sprawa jest prostsza, ale trudniejsza. Unia Pracy nigdy nie miała ambicji ideologicznych, odbudowy, po upadku socjalizmu, jakieś innej wersji lepszego ustroju. Mentalność działaczy UP jest autentycznie socjaldemokratyczna; nie w znaczeniu dawnej socjaldemokracji (z PPS włącznie), której pierwotny spór z leninizmem dotyczył nie socjalistycznego ideału, a tylko drogi do niego, lecz w rozumieniu socjaldemokracji współczesnej, tej po programie z Bad Godesberg, akceptującej „pluralistyczną demokrację i wolny rynek” i starającą się na tym, może nie najlepszym, ale ostatecznie, znośnym świecie, promować interesy ludzi pracy najemnej. Naturalnym zapleczem takich partii są związki zawodowe. Unia Pracy tego zaplecza nie miała: związki z OPZZ monopolizowała SLD, od Solidarności zaś Unia Pracy została odcięta przez dewocyjny klerykalizm i prawicowość rządzącego związkiem aparatu. Wyborcy UP rekrutują się albo z najniższych szczebli socjalnej drabiny, dokąd związki na ogół nie sięgają, albo z inteligencji. Unia Pracy była pierwszą formacją postsolidarnościową, która (jeszcze jako Solidarność Pracy) kwestionowała bezalternatywność Balcerowiczowej drogi do kapitalizmu i arogancję neoliberalistów. Jej przywódcy, świadomi realiów i przytłoczeni nimi, nie zdobyli się jednak nigdy na sformułowanie spójnej alternatywy i ich stanowiska były ostatecznie zawsze przedstawiane jako poprawki do kursu Unii Wolności. Ostrość niejednej polemiki nie powinna mylić. Dzisiaj, kiedy i SLD, i ROP proklamują powrót wielkich funkcji polityki, Unia Pracy jest w szczególnej sytuacji: rywale i przeciwnicy przejęli od niej rozmaite wątki krytyki i rozdmuchują ją do rozmiarów przełomu (po prawej) lub przynajmniej zdecydowanych reform (SLD), ona zaś umie tylko

mówić „tak, ale”. Paradoksalnie tym, co mogłoby UP uratować, jest właśnie próba polaryzacji, której tak się obawiał jej *maître à penser*, Karol Modzelewski: ROP plus Solidarność *contra* SLD – próba takiej rozgrywki pozostawiłaby w środku dość wiele sił i zwłaszcza dość wielu wyborców, żeby Unia Pracy i sprzymierzona z nią ewentualnie Unia Wolności mogły wystąpić z sukcesem jako rzecznicy zdrowego rozsądku. W przeciwnym razie Unii Pracy pozostanie jedynie skromny cel uratowania reprezentacji parlamentarnej i przetrwania do lepszych czasów.

Wspomniany warunek sojuszu zdrowego rozsądku jest z kolei zależny od tego, co robi z sobą Unia Wolności. Sukcesy ROP ratują UW jej prawą flankę: działacze, których aż świerzbi, by wymaszerować na prawo, Komorowski czy Rokita, nie mogą jednak przeskoczyć aż do Olszewskiego. Przeciwnie, wszyscy liberałowie, również ci spoza UW jak Ruch Stu czy partia konserwatywna, garną się teraz pod skrzydła Unii, a kiedy się już wyjaśni, że na Wałęsę nie można liczyć, nie będą mieli nic innego do zrobienia. Zabezpieczona w ten sposób UW prowadzi subtelny grę z prezydentem i SLD, aby po zakończeniu afery Oleksego ustalić płaszczyzny styku (Rada Bezpieczeństwa Narodowego, obsada polityki zagranicznej) i nawet podzielić łupy. Najgroźniejsza była rozprawa z Walendziakiem i jego pampersami, której SLD nie udało się przeprowadzić bez pomocy PSL i UW w Radzie Nadzorczej TVP: wszystkie trzy partie uwolniły się w ten sposób od niebezpieczeństwa, że główny program telewizji przygotowuje i poprowadzi kampanię wyborczą Ruchu Odbudowy Polski. A było to niebezpieczeństwo realne i znaczące.

Tak jak obecnie stoją sprawy, Unia Wolności nie widzi żadnej racji, by się obawiać o własny wynik w wyborach. Zgromadzona wokół niej koalicja wszystkich (poza postkomunistycznymi) liberałów, dysponująca poparciem przeważającej części mediów (proszę sobie wyobrazić, *Wprost*, *Polityka* i *Tygodnik Powszechny* w jednym szeregu!) – i całą kohortą autorytetów czy przynajmniej osobistości, powinna się obronić przed przeciwnikami z prawa i z lewa. Układy z Unią Pracy, poza ewentualnym paktem o nieagresji, nie są jej na nic przydatne. Jednakże jest to rachunek, który nie

uwzględnia owego powrotu polityki do jej wyższych funkcji, anonowanego przez zachowania po prawej i po lewej. Unia Wolności, nawykła do wdzięcznej roli męczennika komuchów i oszołomów, chętnie udaje, że jest głównym celem ataków i z prawa, i z lewa. Tymczasem rzeczywistość jest odmienna, Unia Wolności jest odmienna, Unia Wolności jest wprawdzie nie lubiana i na prawicy, i na lewicy, ale nie tylko nie jest głównym celem ataków, lecz, przeciwnie, stale otrzymuje sygnały (*appels du pied*) o możliwości dogadania się. A że częściej od SLD, to dlatego, że prawica była zmarginalizowana, zapiekła i głupsza, teraz natomiast nawet Marian Krzaklewski, jak powiada, „utrzymuje kontakt”. Rozzuchwalona Unia Wolności oczekuje, że „komuchy” i „oszołomy” będą się nadal wycinać wzajem. Tym razem może się jednak okazać, że oba skrzydła potraktują zgodnie liberałów z centrum jako relikty wyczerpującej się już strategii i zawałidrogę, którego obciążą wszystkimi kosztami budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, które uznają za niepotrzebne. Innymi słowy, Unii Wolności przydałoby się może zawczasu solidne rozliczenie z własnych presumpcji, a życzliwy dialog z Unią Pracy byłby w tym pomocny.

Warszawa, 15 maja 1996

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Strzały na naszych ulicach budzą jeszcze zdumienie, przerażenie, bunt. Po Gdańsku i Łodzi, w Warszawie marsz protestu przeciwko gwałtowi w polskich miastach. Czy za jakiś czas te marsze protestu nie będą groteską, jak zaklinanie czarnej ospy i burzy? Nadal pamiętamy gdy na ulicach było bezpiecznie. A strzelano w amerykańskim filmie. Modne też

stały się u nas bomby, które całkiem solidnie wybuchają. Tu zeuropeizowaliśmy się zaskakująco szybko.

Ponad 30-tysięczny pochód młodzieży rusza spod Politechniki. Nad głowami transparent: „Policjo, nie bój się”. Wiem, że w tym tłumie jest mój syn. Byłem nieco młodszy od niego, gdy z tego miejsca ruszał tłum studentów.

Obraz jest czarno-biały, czas odcodził kolory. Na sztan-darach roku 68 napisy, żądamy „wolności, prawdy, chleba”. Policjanci mają dzisiaj takie same mundury. Ale tamci rzucili się z pałkami na pochód, bijąc bez litości kogo popadnie. Dzisiaj policja osłania, dyskretnie osłania ten pochód, dzisiaj nasze dzieci zachęcają policję, by bardziej była stanowcza, biła i strzelała kiedy trzeba. Wtedy podczas tygodniowych gwałtownych zamieszek nie zginął ani jeden student. Teraz Wojtek Król, student, padł od pocisku biegnącego bandyty, tuż obok Politechniki. Niósł czystą wodę ze studzienki, bo wody z kranu nie da się pić. Bandyta zastrzelił go, bo chłopak stał na drodze ucieczki. To z tej wody, i z tej kuli narodził się marsz młodzieży.

Po śmierci studenta szczere poruszenie społeczne i wielkie marsze młodzieży. Nie mają wielkich spraw, wielką sprawą staje się bezpieczeństwo na ulicy, a nie czują się bezpiecznie. Partie prawicowo-narodowe próbują łapać wiatr w podarte żagle. Żądają kary śmierci i surowych więzień. Równie energicznie, jak walczą o ochronę tak zwanego życia poczętego, nawet kosztem zdrowia matki, nawet jeśli kobieta jest ofiarą gwałtu. Patrzą jak się krzątają wokół gilotyny i czują w ustach niesmak.

Nie lubię postkomunistów, ale demonizowanie ich jest nie tylko błędem. Ci co demonizują sami ukazują swoje demoniczne twarze. Kiedy J. Kaczyński mówi, że postkomuniści są przeciwni karze śmierci i nie zastrzegają prawa, bo „sprzyja im sytuacja bałaganu moralnego”, to ja ze zgrozą łapię się na myśli, że już wolę jako człowieka postkomunistę premiera Cimoszewicza, który otwarcie mówi, że jest przeciwnikiem kary śmierci, i w ogóle robi dosyć normalne wrażenie.

Karłowate przegrane partie radykalizują się. Boczkciem wyłazą fobie i ksenofobie. Smutno, smutno. Słyszę jak młodzieżowa kapela śpiewa: „wszyscy mamy źle w głowie że żyjemy, hej, hej”.

Prawicowe partie, Unia Polityki Realnej, KPN rozdzielane przez wewnętrzne konflikty. Obie oparte były o wodzowski autorytet ich założycieli. Teraz młodzież nie chce pogodzić się z wodzowską strukturą, w przypadku Moczulskiego z małym szaleństwem wodza, w przypadku Korwina-Mikke z szaleństwem zaawansowanym. KPN rozłamał się dramatycznie, a ojciec partii i jej wódz powinien utonąć, ale nie utonie? Nasi politycy trzymają się swoich pozycji, jak tonący deski. Już nie widać twarzy, tylko zbielełe, zaciśnięte dłonie. Ale przecież tak płytko, że nie można nawet porządnie zatonać. Jestem pewien, że gdyby nie *mass media*, większość naszych partii politycznych zwiędłaby na amen. Są jak pęknięte baloniki, które nieustannie dodmuchuje telewizja i prasa.

Jednoczenie się obozu prawicowo-niepodległościowego przypomina jakąś przewlekłą chorobę, nieustanne spotkania, narady, na których pacjenci zdają się leżeć w szpitalnych łózkach i konspiracyjnie szeptać, próbując usłyszeć się przez szum aparatury reanimacyjnej. Były minister spraw wewnętrznych Milczanowski bliski prawicy, powiedział, że „widzi po prawej stronie proces gnicia”, a prawicowe spory przypominają mu „kłótnię o miejsce na własnym pogrzebie”.

Młodzi o prawicowych skłonnościach są coraz bardziej zgorszani starą prawicą. I już nie chcą milczeć. „To nie jest nasza prawica”, mówią. Przeglądam broszurkę pt. „Prawica nie nasza” napisaną przez dwóch młodych dziennikarzy. P. Burdzy, W. Pasek piszą: „Jeżeli nie mamy programu (i to pozytywnego), który dzięki dojściu do władzy chcemy zrealizować, to zabawa w wybory jest jedynie zaspokojeniem naszych małych, niskich, prywatnych ambicji. I nie pomoże tu gładzenie o wzniosłych celach – Ojczyźnie i Honorze, i Bóg wie o czym jeszcze. Młodzi zauważają chorobliwe rozbicie, walki wzajemne, i że skrajny antykomunizm prawicy jest paradoksalnie połączony z lewicowym programem sprawiedliwości społecznej i całkowitym brakiem programu ekonomicznego. Drażni ich ostentacyjna religijność, obsesyjne poszukiwanie agentów. A przy tym całkowita nieskuteczność w działaniu. Zgadza się z nimi, że „kongres zjednoczeniowy prawicy może się zakończyć sukcesem tylko w jednym wypadku – gdyby podczas obrad zerwał się dach i przygniótł wszystkich delegatów”.

Wnioski ostateczne są cytatem z Zygmunta Krasińskiego „Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym”.

Młodzi tak, czy silni? Wątpię. A ich głód nie jest tym głodem politycznym. Młodzi mają wiele głodów, ale nie ma wśród nich głodu politycznego.

Napisałem w poprzednim tekście, że Wałęsa nie wraca do pracy w stoczni. Ten specjalista od niespodzianek jednak wrócił. Ci, którzy twierdzili, że to genialne posunięcie polityczne, chyba zmienili zdanie gdy popatrzyli jak to wyglądało. Akt powrotu był groteskowym spektaklem. U wrót stoczni czekał ks. Jankowski: „kroczył dostojnie, wystawiał się do zdjęć, trzymając pod pachą paczkę z przeróżnymi śrubokrętami”. Oszczędźmy dalszych ceremonii, w ramach których b. prezydent zalił się na ciężką swoją dolę, czyli na los polskiego robotnika, który zarabia 6 milionów a za samą wodę i światło w swoim obszernym domu musi płacić 10 mln. Wkrótce zresztą podano wiadomość, że Wałęsowie budują sobie nową willę. W ramach pracy w stoczni były prezydent jedzie od razu na wykłady do USA. Najgorzej powrót Lecha do stoczni przyjęli sami stocznioowcy. Patrzyli z wysokich, surowych burt statków tonącej ekonomicznie stoczni jak na jakiś dziwny teatr. Jeden powiedział „tu się k... robi statki (...) stocznia to nie muzeum niepodległości”.

A na telewizyjnym ekranie widzę jak Kwaśniewski w skórzanej kurtce ogląda wojskowe manewry. Potem w koszarach obszerny zastawiony jadłem stół. Prezydent szykuje się do kolacji z generałami. W trakcie wyginania tułowia, by spocząć na krzesłach, prezydent i generałowie żegnają się znakiem krzyża. Ich palce dotykają miejsc gdzie kiedyś w portfelach spały smacznie partyjne legitymacje.

Ośrodek badania opinii publicznej ogłosił raport z badań nad świadomością historyczną Polaków. Na pierwszym miejscu, jako postacie w naszej historii najważniejsze wymieniono Piłsudskiego, a na drugim, o dziwo, Wałęsę. Wojciech Jarużelski na miejscu siódmym otrzymał tyle samo wskazań, czyli 5%, co Sobieski. Na skali narodowej hańby, na pierwszym miejscu jest polski stalinizm, na pozycji drugiej rozbiory,

potem o dziwo sprawa Oleksego. Aż 4% za hańbę i słuszenie, uważa udział PRL w inwazji na Czechosłowację. Dalsze szczegóły tej ankiety potwierdzają fakt, że Polacy mają w głowach groch z kapustą pomieszany z perłami.

Prezydent Kwaśniewski krytykowany, że za mało aktywny, ale jego obraz publiczny niezły. Utył, stracił połysek, ale gada dobrze i nie robi głupstw. Szczególnie korzystnie wypada za granicą. Jego angielski, maniery, są całkiem europejskie. Wałęsa uświadamiał politykom Zachodu, że Polska należy do innego kręgu kulturowego, barwnego, ale innego.

A postkomunistyczny rząd? W ekonomii robi mniej głupstw niż się spodziewano, właściwie prawie nie robi głupot. I jak się okazuje, oni ostro pracują. Dostają potwierdzenie tego od kilku osób, w tym od X., z którego instytucji każdy rząd musi korzystać, X. jest rozdarty. Nie znosi ich, ale musi przyznać, że nareszcie czuje się potrzebny. Poprzednie ekipy olewały go, a przecież to, co robi jest doprawdy ważne dla państwa. Mówi: „To nie są wielcy fachowcy, ale pracują. Nasi byli amatorami, ale niestety też arogantami. Pół biedy, że mało wiedzieli, gorzej że nie chcieli się uczyć.

B. spoza Polski, ale niezwykle bystry obserwator naszej politycznej sceny mówi mi: „Nie wystarczy być szlachetnym, trzeba jeszcze odrobić lekcję”.

Sprawa Oleksego po wielkim wybuchu, zaległa w mroczkach prokuratury wojskowej. Przez 4 miesiące były premier Oleksy czekał, jak twierdzi, w straszliwym napięciu na wyrok, czy rzecz pójdzie do sądu. A naród chyba już nie czekał i zaczął zapominać. Teraz znowu wybuch. Prokuratura wojskowa, odmiennie niż były minister Milczanowski stwierdza, że materiały nie dają podstaw do sformułowania zarzutu o szpiegostwo Oleksego.

Wszystko dzieje się więc zgodnie z najgorszymi oczekiwaniami, aż dziw, bo zwykle jest jakoś inaczej. Zrobił się z tego klops, supeł nie do rozwikłania. Prokurator Gorzkowski uzasadnia umorzenie dosyć niezręcznie. Oleksy niezręcznie triumfuje. Postkomuniści triumfują głupio. Prawica też triumfuje, ma potwierdzenie spisku, który sięga korzeniami wszystkich ogniw państwa. SdRP ma wizję innego

spisku, oświadcza, że obnażony został mechanizm prowokacji politycznej: „Obóz Lecha Wałęsy podjął bowiem próbę zmiany układu sił, powstałego w wyniku wyborczych decyzji milionów Polaków. Ten plan się nie udał. Młoda polska demokracja skutecznie oparła się zagrożeniu”. I jest zмова części kierownictwa MSW i Urzędu Ochrony Państwa, które: „kolejny raz dały się wykorzystać do politycznej rozgrywki”. Ale się porobiło, nasi dawni oprawcy z Rakowieckiej, jako antykomunistyczni prowokatorzy. A super szpieg z czasów sowieckich, gen. Zacharski, dla prawicy wierzącej w agenturalność Oleksego urasta do roli bohatera narodowego. Udziela wywiadów najlepszym pismom, gdy dla wierzących w cnotę Oleksego jest tylko kukłą w rękach Wałęsy. Wałęsa jest teraz pomawiany, że zmusił biednego ministra Milczanowskiego by zrobił aferę, kiedy nie było wiarygodnego materiału. Były minister broni lojalnie Wałęsy i swojej decyzji. Argumenty Milczanowskiego brzmią poważnie. Jego samego broni wielu rozsądnych ludzi, ale wielu równie rozsądnych twierdzi, że błędem było robić taki skandal na skalę krajową i światową bez pewności. Każdy może sobie teraz o tym myśleć co chce, ale tylko gorliwie wierzący mają wyraźne poglądy. A te poglądy są i będą rzecz jasna odporne na wszelkie argumenty. Na razie jest mgła nad bagnem i brzydkie zapach w całej gamie kolorów.

Są jednak tu rzeczy oczywiste. Trwa proces podważania najważniejszych organów i ogniów państwa, robią to obie strony; Polaków nie trzeba długo przekonywać, że państwu nie wolno ufać, mają to we krwi. Co się stało, tylko potwierdza powszechny sąd – trwa walka o stołki, korupcja, palantostwo. Budować zaufanie do państwa trzeba u nas od fundamentów. A tu burzy się dach i fundamenty na raz.

Życie Warszawy zostało nareszcie sprzedane przez szalonego Włocha, który je uprzednio rozłożył, a kupił je biznesmen od wody sodowej, niejaki Jakubas. Wprowadzono postkomunistyczny zespół. Odchodzi kilkunastu młodych ludzi. A kogo to dzisiaj obchodzi, minął czas gestów.

Na mój gust dziennik zaangażował się nieco za gwałtownie po stronie Wałęsy, stracił pozycję centrową, dryfując na prawo, ale było to pismo z prawdziwego zdarzenia, z zylami

podcinanymi przez szalonego właściciela. Widziałem go kiedyś i słuchałem na żywo, przypomina przerasowanego konia arabskiego. Mówił przez ściśnięte gardło, że uciekł z Włoch przed korupcją, a w Polsce jeszcze gorsza. Więc on Polsce jeszcze pokaże.

Oto mamy kolejny pogrzeb dzieła naszej cichej rewolucji. Bo *Życie*, gdzie królowała młodzież, było jednym ze znaków wielkiej zmiany. Równoległe do tego małego pogrzebu, chyba zaczyna się pogrzeb duży, telewizji publicznej. Nowy szef, Ryszard Miazek z PSL mówi na progu rzeczy horrendalne, jakby realizował czyjś perfidny plan skompromitowania siebie jako szefa TV. Wedle nowej ekipy, telewizja publiczna ma być jako środek rozrywki i środek nasenny, ale nie wolno jej być maszyną kontrolującą uczciwość życia politycznego i publicznego. Telewizja powinna być grzeczna. Dziennikarz może tylko wtedy mówić o polityku źle, gdy otrzyma na ten temat komunikat rządowy. Dziennikarze winni tylko opisywać rzeczywistość.

To jest znowu jakaś klęska obozu posierpniowego. Odchodzą tak zwani pampersi, nazwani tak pieluszkowo, bo jak na polskie stosunki byli młodzi, byli nowi, związani ze zmianą roku 89. Obarczeni silnym odchyleniem narodowoprawicowym, bliscy mi i bardzo dalecy. Nie czas teraz by oceniać ich dzieło, ale telewizję urozmaicali. (Nigdy nie wybaczę im wykreowania Cejrowskiego, autorytatywnego bęcwała). Nawet gdy ktoś ma krytyczny do nich stosunek, jest nieomal pewne, że będziemy za nimi tęsknić.

A więc kolejne porażki ojców i dzieci „Solidarności”. To trwa od roku 89. Kulminacją była klęska wyborcza Wałęsy, Kuronia, centrum i całej prawej strony, klęska nieomal samobójcza i kolejne akty autodestrukcji z naszej strony, które trwają do dzisiaj. Piszę z naszej, ale to nie jest już moja strona. Już nie ma mojej strony. Moja strona to strona na której piszę. To mam nadzieję zdrowy rozsądek. To ludzie, którzy myślą w otwarty sposób, i te miejsca gdzie jest jeszcze jakiś choćby skrawek myślenia w kategoriach dobra wspólnego.

Na razie z moim sąsiadem, stolarzem, malujemy drzwi wejściowe do naszego budynku, na kolory dosyć ryzykowne, ale chyba udało się. Potem ośmieleni, dalej, skrzynki pocztowe

we i fragmenty klatki schodowej. Był tam tak zwany polski syf schodkowo-klatkowy a zrobiło się kolorowo i czysto. Sąsiad stolarz tak się rozbuchał, że z narażeniem życia chce malować zardzewiałą rynnę. Sąsiadki staruszki nieco przerażone śmiałością kolorów, ale nie protestują, wiedzą, że czas je przegonił, biorą się za ogródek, gdzie więcej ma do powiedzenia Pan Bóg, niż chemia i farby.

Tyle kombinujemy w tym kraju przy dymie z komina, a pierwszy krok to klatka schodowa, drzwi wejściowe do naszego domu.

50-ta rocznica powstania mojej szkoły. Nosiła kiedyś imię generała Świerczewskiego. Pamiętam, trzymałem się Adasia za rękę a on trzymał się mojej. Staliśmy w wielkim splecionym ogonie dzieci w podziemnym korytarzu, który łączył dwa skrzydła tej dużej szkoły, podstawowe i licealne. To był wielki ogon do przyszłej obróbki. Wychyliłem się z niego z prawdziwą determinacją, pytając, czy my należymy do tej klasy? Miałem najgorsze przeczucia i słusznie. Szliśmy do młyna, gdzie obcięli nam skrzydła, przemielili wyobraźnię.

Teraz po latach, wielki zlot duchów, te duchy są bolesne, mają brzuchy, rozrosłe biusty, a twarze pozmieniane, czasami łagodnie, czasami niebywale okrutnie. Ale się porobiło. Z lochów wydobyto głowę generała Świerczewskiego ściętą w roku 90-tym. Mylnie kiedyś pisałem, że stworzył ją emigrant sztokholmski, znany mi rzeźbiarz, Alfred Jesion, co nie jedną głowę Marchlewskiego i Świerczewskiego wyrzeźbił, a nieomal wszystkie mu ścięli. Tę jednak zrobił Alfons Karny. Postawiono głowę dawnego patrona w nowej sali gimnastycznej. Nie dało się jej domyć z farby, mimo wielkich wysiłków. Jeszcze dwa lata temu pewnie bano by się wydobywać generała na światło dzienne. Na tle głowy rozegrano rocznicowy mecz koszykówki. Były przemówienia, oficjalne uroczystości. I nagle przez mgłę zobaczyłem inny czas. Nasze uczniowskie szeregi odziane w fartuszki. Są notable z ministrem Spychalskim na czele, przemawia minister i dyrektor Redlich. A kiedy opadła zasłona, wielki jęk przeszedł przez te uczniowskie szeregi, bo tyśa głowa generała była głową dyrektora Redlicha. Dyrektor był tyranem i komuchem, bali się go uczniowie a jeszcze bardziej nauczyciele. W roku 68-ym okazało

się, że jest syjonistą. Ci, co się go najbardziej bali, zagryźli go.

Teraz w miejscu gdzie odsłanianą głowę, stoi uczniowska kapela i śpiewa piosenkę tak nieprzyzwoitą, że dyrektor i patron dostaliby zawału, ale mają to już z głowy. A z głową jest kłopot. Co robić? – pyta mnie pani dyrektor. Zamiast generała ma stanąć pomnik don Kichota, bo szkoła teraz nosi imię Cervantesa. Jakiś rodzic zaproponował by koń Rosynant miał wyraz twarzy generała. Ale u nas rzadko wciela się w życie dobre pomysły.

Siedzimy w klasie, w naszej klasie. Patrząc na drzewa jak cholernie urosły. Komin pisze na tablicy alfabetycznie nazwiska. Nagle rozwierają się drzwi i staje w nich energiczna niewiasta. „A ciotkę pamiętacie?” Jakże by nie, to nasza woźna. Lista jest w komplecie. Obecnych 25 osób, co najmniej 10 jest na emigracji. Kilku w kraju, to są nieobecni, nieusprawiedliwieni.

Wyczytywane są nazwiska, mówimy – „jestem”. Każdy opowiada o swoim życiu. Widzę, że dla niektórych to równie trudne zadanie, jak odpowiedź na lekcji chemii. O emigrantach mówią ci, którzy o nich coś wiedzą. Waldek? Zgłaszam się.

Jadłem w Sztokholmie obiad w eleganckiej knajpie z bibliotekarzem króla szwedzkiego i z ówczesnym ministrem oświaty Samsonowiczem – płoszę się, bo to brzmi strasznie snobistycznie, ale co robić, walę dalej – jemy szaszłyki rybne. Obsługuje nas mało przystojny blondyn. Płacę rachunek, i żegnam się. A ten „do widzenia”.

– „To pan Polak?”

– Tak, myśmymy nawet proszę pana w jednej ławce siedzieli. Opieprzyłem go słowami, których nawet nie powtórzę, że się nie ujawnił, że mówi mi „pan”. On bidak myślał, że ja tak zważniałem, że go nie poznaję. Polski syndrom godnościowy.

A gdzie R. co najpierw ostro komuno-faszyzował, a po szkole został cenzorem? Z nim siadywałem w jednej ławce na polskim, nie wiedząc, że po latach będzie zawodowo czytał moje książki. Podobno źle zniósł zmianę ustroju? A może w ogóle źle znosi życie, to nawet rozumiem. Nikt o nim nic nie wie.

Krzyś przyleciał specjalnie z Londynu. Robi nam wykład, jak okropnie jest na emigracji. Odradza każdemu. „Ja tu dopiero czuję, że żyję, tu z wami”. Łzy ma w oczach, prawdziwe łzy. Jak mu wytłumaczyć, że my tu u siebie też trochę emigranci.

Zauważyłem nowe polskie zjawisko. Kobiety niepracujące wstydzą się, że nie pracują. Tak się porobiło. Wszyscy najchętniej mówią o swoich dzieciach. A to ładnie brzmi. Ola mówi, że zdążyła przerobić już prawie wszystko, jeszcze tylko nie umarła, ale jest wdową, rozwódką, ma córkę, a córka ma chyba już dziecko, czyli jest babcią.

Przed laty obiecywała, że każdy prędzej czy później do niej trafi bo ma na Wilczej kwaciarnię i wieńce pogrzebowe. Do mnie też traficie, mówił P.

Ja oto nawet przyszedłem doń całkiem niedawno, ze słowami „właśnie trafiłem”. „I tak się dobrze trzymałeś”, odparł spokojnie. I zrobił mi za darmo okulary do czytania.

Podchodzi do mnie Krzyś z Londynu. W szkole toczyliśmy polityczne pojedynki. Pracował przy KC. Wspomina, o czym ja zapomniałem, że spotkał mnie w roku 78. Toczyliśmy żarliwy i zasadniczy spór polityczny. Mówi, że potem poszedł do towarzyszki i rzekł im: „Przegramy, w nas nie ma wiary a w nich jest”.

Teraz podchodzi do mnie Z. Dyskretnie pyta: „Jak to zrobiłeś, że przestałeś się jakać?” Jemu przeszło po psychoterapii. Odpowiadam szczerze, że nie wiem. Ale po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że poszło mi w sen, jąkam się śpiąc, dlatego tak źle sypiam.

Kronika szkoły, ile zdjęć, ile zapachów przeszłości. Jakaś starsza pani przegląda ze mną pamiątkowy album, obok niej dziewczyna, jej córka. Idziemy po schodach lat. Na fotografii mała dziewczynka występuje na szkolnej scenie. „To ja” – krzyczy niewiasta, a córka patrzy zdumiona jak wysoko potrafi skakać jej dostojna mama.

W roku 56/57 gdy szedłem do pierwszej klasy, w księdze zanotowano: „Rok ciężkich prób dla szkoły – wrocie elementy wykorzystując zdrowy ruch odnowy w międzynarodowym i polskim ruchu robotniczym próbują wygrać go przeciwko socjalizmowi. Środowiska klerykalne naciskają przede wszystkim na szkołę. Wierni tradycjom, (...) dzięki wysiłkowi i

zdecydowanej postawie dyr. Redlicha, grona nauczycielskiego, wielu rodziców i młodzieży, szkoła odiera ataki dewotek, pozostaje świecka”.

Idę na boisko. Koreańsko-polskie wozy błyszczą nosami, są do kupienia. Miał polecić prawdziwy balon, ale za duży wiatr. Słucham żarliwie ludzkich losów. I wyłania się obraz dzisiejszej Polski. Wszyscy sobie radzą, niektórzy nawet dobrze. I sporo optymizmu, poglądów rozsądnych, mimo wszystko. A więc jednak do przodu.

Pełen niepokoju idę zobaczyć korytarz, gdzie stał nasz przerażony dziecięcy ogon. A tu groza i mrok, jakieś spiętnienie gratów z różnych czasów, zapach stęchlizny. Korytarz stał się śmietnikiem i magazynem. Jednak nie ma powrotu.

SMECZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.**

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wywiady „Kultury”

Młodzież nadzieją Białorusi

(UWAGI WASILA BYKAU)

W dniach 23-24 kwietnia br. odbywała się w Mińsku konferencja naukowa, poświęcona życiu i twórczości pisarza białoruskiego Maksima Hareckiego (1893-1938). W konferencji uczestniczyli naukowcy i literaci białoruscy, byli obecni też uczeni z Polski i Węgier. W otwarciu imprezy wziął udział wybitny pisarz białoruski Wasil Bykau. Poprosiłem Bykawa o kilka uwag na temat obecnej sytuacji na Białorusi.

MIECZYŚLAW JACKIEWICZ: – *Szanowny Panie! Jest Pan wybitnym pisarzem, nazywają Pana sumieniem Białorusi. Proszę powiedzieć, jaka jest obecnie sytuacja na Białorusi? Co się dzieje z kulturą białoruską?*

WASIL BYKAU: – Białoruś obecnie znajduje się w stanie totalnego kryzysu. Kryzys ogarnął cały naród. Jest to kryzys ekonomiczny, moralny i kulturalny. Wszystko to jest częścią kryzysu, jaki przeżywa cały postsocjalistyczny świat. Szczególnych osobliwości u nas nie ma, chociaż istnieją pewne niuanse, które polegają na tym, że Białoruś z powodu nowych okoliczności znalazła się na samym dnie, z którego nie śpieszy się wydobyć. Nasze władze zrzekły się niepodległości i dążą do unii z Rosją, co oczywiście komplikuje i pogłębia i tak bardzo ciężkie i złożone warunki życia narodu. Naturalnie, inteligencja białoruska i część narodu bardzo przeżywa ten kryzys i poszukuje możliwości wyjścia z niego, ale adekwatnych sposobów po prostu nie ma, dopóki siły

imperialne Rosji i Białorusi używają metod faszystowsko-komunistycznych. Sytuacja nasza jest bardzo skomplikowana i nawet pozbawia nas nadziei na jakieś jasne, wyraźne wyjście z tego stanu, w jakim znalazł się nasz kraj.

M.J.: – *Czy zdaniem Pana zaistniała sytuacja, w której Zachód, Polska, Francja i inne siły demokratyczne powinny pomóc białoruskiej kulturze, językowi, odrodzeniu narodowemu; by Białoruś mogła wyjść z kryzysu?*

W.B.: – Oczywiście. My bardzo na to liczymy. Białoruś liczy na solidarność zachodniej demokracji z nami, ponieważ apel do demokratów rosyjskich o solidarność z nami nie odnosi skutku. Może dlatego, iż demokracja rosyjska nie może sobie poradzić z antydemokratycznymi siłami własnego kraju. Ona nie może nam pomóc. Uważamy więc, że zachodnia demokracja może okazać nam pełne poparcie. Przede wszystkim moralne i duchowe, ale nie tylko. Mam na uwadze nie inwestycje, nie pomoc ekonomiczną czy materialną – to inna sprawa. Ta kwestia jest bardziej złożona, bo wszystkie te pożyczki, kredyty, o które zabiegają nasze władze – nie gwarantują wyjścia z kryzysu. Odwrotnie: mogą być wykorzystane (bo były takie wypadki) do wzmocnienia rządów dyktatorskich i odrodzenia sił militarnych kraju. Już obecnie długi Białorusi wobec Zachodu wynoszą ponad 200 dolarów USA w przeliczeniu na głowę jednego obywatela. W warunkach, gdy nie ma wolnej prasy i permanentnie łamane są prawa człowieka, poparcie Zachodu dla demokracji białoruskiej jest bardzo potrzebne.

M.J.: – *I ostatnie pytanie. Widzimy tu wspaniałą młodzież białoruską, która aktywnie działa na rzecz odrodzenia narodowego. Jak Pan ocenia tę młodzież, czy będzie ona nadal upowszechniała białoruskość: język, kulturę narodową?*

W.B.: – Według mnie, w tym sensie młodzież białoruska stanowi pewien fenomen w porównaniu z młodzieżą Europy. Młodzież studencka w minionym okresie była daleka od demokratycznych ideałów. A władze robiły wszystko, by zdusić w niej uczucia patriotyczne, narodowe. Obecnie jednak widzimy jej odrodzenie. Młodzież nasza budzi się z wieloletniego letargu i Białoruś liczy na nią. Uważam, że

właśnie w jej rękach jest przyszłość naszego kraju. Ta młodzież jest nadzieją Białorusi.

M.J.: – *Dziękuję za interesującą wypowiedź.*

Rozmawiał Mieczysław JACKIEWICZ

Białoruś jest w rękach Pana Boga

(ROZMOWA Z PROFESOREM UŁADZIMIREM KONANEM*)

MIECZYŚLAW JACKIEWICZ: – *Panie Profesorze! Niedawno Kultura opublikowała wywiad z prof. Valerijusem Čekmonasem z Wilna o Białorusinach. Pan później ogłosił w tygodniku Literatura artykuł polemiczny. Proszę powiedzieć, jaka była przyczyna napisania tego artykułu? Co Pana w wypowiedziach V. Čekmonasa poruszyło?*

UŁADZIMIR KONAN: – Były dwie przyczyny. Pierwsza – czysto naukowa: socjologia. Kwestie socjologiczne i metodyka problematyki socjologicznej. Socjologia to bardzo skomplikowana dziedzina nauki. Trzeba się na tym znać. Pan Czekman jest dobrym językoznawcą. Znam go jako filologa. Ale przekonałem się, że nie zna metodyki badań socjologicznych. Badania socjologiczne powinny być reprezentatywne, a prof. Czekman przebadał 200-300 przypadkowych mieszkańców Białorusi i na podstawie ich wypowiedzi wysunął fałszywe wnioski o Białorusinach jako narodowości. Jest to błąd, który popełniają nie tylko socjologowie, politycy, ale też historycy. Empirycznie mieszkańcy mogą istnieć tylko w

* Filozof, historyk kultury i myśli politycznej. Pracownik Naukowo-Oświatowego Centrum im. Franciszka Skoryny w Mińsku.

układzie współrzędnych współczesności. A narodowość, nacja, istnieje w trzech układach współrzędnych: w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. W tym sensie jest to nie tylko empiryczna realność, ale i realność mistyczna. I dlatego wysunięcie wniosków tylko na podstawie przebadania 300 osób o istocie i mentalności nacji – jest absolutnym błędem z punktu widzenia nauki.

Druga przyczyna jest następująca. Człowiek, który żyje w polu ciężenia nacji: Francuzów, Polaków, Białorusinów, Rosjan – ma prawo krytykować swój naród, własną narodowość. Człowiek, który żyje obok – nie ma takiego prawa. Powinien żyć razem z tym narodem, w jego polu ciężenia. Inaczej taki człowiek po prostu znieważa ten naród, o którym błędnie się wypowiada.

M.J.: – *Dziękuję za wyjaśnienie. Porozmawiajmy teraz o narodowości białoruskiej. Jak Pan, jako filozof i etyk, postrzega obecnie narodowość białoruską?*

U.K.: – Ja narodowość białoruską widzę dobrze i o tym pisałem w swoim artykule dyskusyjnym z panem Czekmanem. Widzę ją podzieloną i nie tylko podzieloną, ale wręcz krańcowo podzieloną. Otóż na Białorusi mieszkają ludzie, którzy pragną, aby Białorusi nie było; żeby natomiast istniał tu Związek Sowiecki, pod którym faktycznie kryło się Imperium Rosyjskie, albo żeby istniało Imperium Rosyjskie w stanie czystym, jakie było do 1917 roku. Takich ludzi nazywam antybiałorusinami. Natomiast druga część obywateli to białoruscy patrioci, odrodzeniowcy, którzy konsekwentnie dążą do odrodzenia białoruskiej państwowości, narodowości, kultury, jak też do wytworzenia wśród Białorusinów poczucia obywatelskości i stworzenia państwa, które by było zdolne nawiązać stosunki polityczne, ekonomiczne i kulturalne ze Wschodem i Zachodem, zachowując własną autentyczność. Nazywać się Białorusinem może tylko szczerzy patriota, dążący do odrodzenia narodu. Inni – to antybiałorusini. Może zbyt ostro stawiam ten problem, ale uważać siebie za Białorusina tylko dlatego, że taki człowiek mieszka na terytorium Białorusi – nie ma on żadnego prawa. Dlaczego? Otóż istnieje pojęcie naturalizacji lub asymilacji. Kiedy Białorusin, Rosjanin, Polak przyjedzie na przykład do Francji, może zachować ideały swojego narodu, jego kulturę, ale taki człowiek naturalizuje się, wpisuje się niejako w kulturę francuską. I to jest

naturalne. W pewnym sensie staje się Francuzem, ponieważ przyjmuje kulturę francuską i funkcjonuje w jej sferze. Kiedy natomiast kilkaset tysięcy Rosjan przyjeżdża na Białoruś, otrzymuje kluczowe posady, stanowiska państwowe, stanowiska w systemie edukacji, kultury, w mass mediach, to oni narzucają Białorusinom swoją rosyjską kulturę. Więc nie są to Białorusini, lecz kolonizatorzy. I największymi przeciwnikami odrodzenia narodowego są nawet nie Rosjanie, którzy napłynęli na Białoruś, lecz ci, których oni wychowali. U wychowanków Rosjan pojawia się kompleks janczara. Nienawiść do wszystkiego swojego, narodowego. Jeśli Rosjanin jest obojętny w stosunku do naszej kultury, a może nawet ją szanuje, to janczar jej nienawidzi. Oto podstawa każdego kolonializmu.

M.J.: – *Tu na Białorusi słyszałem takie zdanie, że może pojawić się jakaś nowa rosyjskojęzyczna narodowość białoruska. Pojawią się niby Białorusini rosyjskojęzyczni. Co Pan o tym sądzi? Czy jest to możliwe?*

U.K.: – Patrzę na tę perspektywę bardzo pesymistycznie. Mamy tu dobry przykład z Żydami. Żydzi po wojnie żydowskiej zostali wypędzeni ze swego kraju, rozproszyli się po całej Europie i w znacznym stopniu przyjęli język tych narodów, wśród których żyli. Najwięcej w Niemczech, tam stworzyli swój język, tzw. żargon żydowski – idysz. I co z tego wynikło? Żydzi ci nawet stworzyli literaturę w tym języku. Ale nikt tej literatury faktycznie nie przyjął. I naprawdę Żydów zaczęto szanować dopiero wtedy, kiedy stworzyli własne niepodległe i samodzielne państwo. Wtedy wrócili do języka ojców i praojców, języka Biblii, języka własnej tradycji literackiej. Teraz właśnie można mówić o odrodzeniu narodu żydowskiego.

Można więc zakładać, że na Białorusi utworzy się jakiś język, zwany „trasianką”. On już istnieje. Ja język ten nazywam „łukaszenkowką” – od nazwiska kierownika tej warstwy społecznej, która używa tego języka. Języka tego nikt nie uszanuje i najważniejsze – w tym języku nie można stworzyć literatury i kultury. Może on zaistnieć tymczasowo i wyłącznie w środkach informacji dyktatora. Nikt nie stworzy poezji w żargonie, w białorusko-rosyjskim żargonie. To niemożliwe. Poezja powinna być zakorzeniona w życiu narodu, powinna głęboko wchodzić w warstwy naszego ludu. Nieprzypadkowo o tym mówię: jako kulturoznawca, zajmuję się naukowo problemami kultury, literatury, folkloru, mito-

logii. Wybitni pisarze, działacze kultury Białorusi, pochodzą głównie ze wsi białoruskiej, gdzie, naturalnie, istnieje nadal autentyczny język białoruski i nikt go nie jest w stanie zniszczyć. Wszyscy pozostali mieszkańcy naszego kraju niczego oryginalnego nie potrafią proponować. Są oni tylko nosicielami, powiedzmy, propagandystami kultury rosyjskiej, która dla nas, Białorusinów, była i jest obcą.

M.J.: – *Proszę powiedzieć, co Pan sądzi o przyszłości narodu białoruskiego? Co stanie się z narodem białoruskim za 10-20 lat?*

U.K.: – Pytanie bardzo interesujące, na które nie można dać jednoznacznej odpowiedzi. Ja chcę powiedzieć nie tylko jako badacz kultury, uczony i działacz oświatowy, ale i jako chrześcijanin: wszystko jest w rękach Boga. Mnie zawsze interesował taki oto paradoks: przejście pana w niewolnika i niewolnika w pana. To problem, jaki postawił Hegel w filozofii prawa. Zdawałoby się, że po drugiej wojnie światowej Niemcy i Japonia całkowicie zostały rozłożone na łopatki. A dzisiaj te państwa są najbardziej stabilne i najbogatsze w Europie i Azji. A więc okazuje się, że Bóg kocha zwyciężonych. Zatem można uważać, że Białorusini wypokutują swoje prawo do wolnego i niezależnego życia. Więc na tej płaszczyźnie, ja, jako chrześcijanin, jestem optymistą. Jeśli idzie o szybkie odrodzenie – jestem pesymistą. W bliższej perspektywie – w ciągu 3-5 lat odzyskanie niezależności jest niemożliwe. Jednakże uważam, że jest i polityczny aspekt współczesnego obywatelstwa, jaki daje Białorusinom nadzieję. Rzecz w tym, że epoka kolonializmu już się skończyła. Epoka imperiów skończyła się po pierwszej wojnie światowej. Pozostały tylko szczątki. Te szczątki – to zmodernizowane imperium – Związek Sowiecki. Pozostałe imperia – faszystowskie, angielskie – po drugiej wojnie przestały istnieć. Współczesne imperium rosyjskie może przetrwać dłużej, ale perspektyw ono nie ma. Innej formy, oprócz byłego Związku Sowieckiego, w obecnym imperium rosyjskim nikt nie proponuje. Jedni nacjonalisci chcą odrodzić imperium rosyjskie, jakie istniało od 1917 roku, inni pragną powrotu Związku Sowieckiego... Jednakże historia nigdy się nie powtarza.

M.J.: – *Mam jeszcze jedno pytanie: wiemy, że Białoruś była przez wiele lat pod wpływem Rosji. Czy jest możliwe,*

by Białoruś zbliżyła się do Europy? W pierwszej kolejności do Polski, jako do sąsiada, a potem dalej. Co Pan o tym sądzi?

U.K.: – Myślę, że możliwość zbliżenia się Białorusi do Polski i Zachodu jest realna. Rzecz w tym, że Białoruś była w składzie imperium rosyjskiego dopiero od rozbioru Rzeczypospolitej, tj. od 1795 do 1917 roku. Później 70 lat należała do zmodernizowanego imperium – Związku Sowieckiego. Co się zaś tyczy Europy, to Białoruś była w Europie faktycznie, poczynając od powstania Wielkiego Księstwa Litewskiego w XIII wieku, do rozbioru Rzeczypospolitej. Zatem tradycje europejskie na Białorusi są silniejsze niż tradycje przymusowych związków z Rosją. I te tradycje europejskie dają Białorusinom pełne prawo powrotu do Europy, przy zachowaniu związków ekonomicznych i kulturalnych z Euroazją, również z Rosją. Trzeba pamiętać, że kultura rosyjska wiele dała światu, w tym także Białorusi. Tych wartości nie neguję.

M.J.: – *A co kultura polska dała Białorusi?*

U.K.: – Dziękuję za to pytanie. Swego czasu pisałem pracę naukową o historii białoruskiej myśli estetycznej od X wieku do 1917 roku. I musiałem wtedy korzystać wyłącznie ze źródeł polskich, ponieważ od drugiej połowy XVII w. do końca XVIII, a nawet połowy XIX wieku, kultura polska dominowała na Białorusi w dziedzinie drukarstwa, wydawnictw, teatru, malarstwa i w innych gałęziach kultury. Naturalnie, tę kulturę odnoszę do wspólnych osiągnięć polskiego i białoruskiego narodu. Ta nasza wspólna tradycja stwarza możliwość zacieśnienia dalszych związków – politycznych, społecznych, ekonomicznych, kulturalnych – z Polakami, z Polską. Powiem więcej: my, uczeni, mamy bliższe kontakty z kulturą i nauką polską, niż rosyjską. A jest tak dlatego, że Polacy chętnie zapraszają nas na konferencje naukowe, imprezy kulturalne i nawet opłacają nasz pobyt w Polsce. Rosja tego, niestety, jak na razie, nie robi. Więc Polska w tej kwestii wygrywa, daje wiele możliwości dla wszystkich. Chcemy być bliżej Polski.

M.J.: – *Bardzo dziękuję za ciekawą rozmowę.*

Rozmawiał: Mieczysław JACKIEWICZ

Sprawy i troski

Wyjaśnienia rzecznika Ministerstwa Leśnictwa*

Wielki autorytet *Kultury* paryskiej został poważnie nadzarpnięty artykułem Pana Piotra Daszkiewicza pt. „Puszcza Białowieska nie może zginąć” (*Kultura*, wydanie krajowe 1995, nr 12/579).

Autor wspomnianego artykułu okazał się w nim w równym stopniu ignorantem w przedmiocie sprawy, jak i zażartym politykiem, niechętnym obecnej koalicji rządowej.

Jakkolwiek o to drugie nie możemy żywić do Pana Piotra urazy, to ze stanem Puszczy Białowieskiej powinien być zapoznać się z wiarygodnych źródeł. Należy przy tym zauważyć, że problematyka ochrony Puszczy Białowieskiej pojawiała się od czasów, gdy polowali w niej królowie, carowie, prezydenci i inni dostojni goście, a niektórych nazwisk i skojarzeń z II Rzeczypospolitą lepiej nie przypominać. Chodziło o zachowanie Puszczy dla elit ówczesnego świata. Czasem jednak zapomniano o tej zasadzie i wycinano Puszcę w sposób barbarzyński, oddając ją w pacht zagranicznemu kapitałowi, np. w latach 1922-1924 firmie angielskiej Century. Skutki jej niszczyielskiej działalności są do dziś usuwane przez leśników. Leśnicy polscy utworzyli w 1921 r. nadleśnictwo Rezerwat jako obszar zarządzany przez samą przyrodę, który w roku 1932 stał się Parkiem Narodowym i jest nim do

* Od dłuższego czasu *Kultura* walczy z niszczeniem Puszczy Białowieskiej. Tę sprawę porusza w swych artykułach Piotr Daszkiewicz. Ostatni jego artykuł spowodował reakcję Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Drukujemy ją *in extenso* wraz z odpowiedzią Piotra Daszkiewicza, z którą redakcja bez zastrzeżeń solidaryzuje się.

dzisiaj ku pożytkowi nauki, edukacji i turystyki. Przez całe następne dziesięciolecia opinia społeczna, uczeni, organizacje społeczne, organa Państwa akceptowały fakt, że poza Białowieskim Parkiem Narodowym Puszcza jest traktowana jako las gospodarczy, dostarczający drewna, grzybów, jagód i zwierziny społeczeństwu, a pracy miejscowej ludności. Wiele kolejnych rządów miało wolne ręce, by powiększyć BPN lub objąć nim całą Puszczę. Także rządy po roku 1989. Nic z tych rzeczy!

Trzeba było odczekać, aż Minister S. Żelichowski w dniu 8.11.1994 wydał Decyzję nr 23 o szczególnej ochronie Puszczy Białowieskiej, znoszącą na przeważającej części Puszczy gospodarkę zrębową i promującą na powierzchni ponad trzykrotnie większej niż BPN czynności przywracające Puszczy charakter pierwotny.

Wtedy dopiero rozpoczęła się zmasowana, hałaśliwa akcja na rzecz objęcia całej Puszczy Parkiem Narodowym, akcja która mobilizowała także społeczeństwa innych krajów, także tych, w których wspaniałe pierwotne lasy są eksploatowane „do gołej ziemi”.

Tymczasem Puszcza Białowieska nie umiera, lecz czuje się dobrze, a przekształcenie jej lasów z pierwotnych w gospodarcze, które postępowało przez stulecia, ustało właśnie z dniem 8.11.1994 r.

Cała akcja prowadzona przez prasę jak i powstanie „gotowych projektów” okazały się więc spóźnione i oparte na nieaktualnych stanach. Zatem arogancję i brak kompetencji i wiarygodności należy przypisać przede wszystkim Panu P. Daszkiewiczowi, a przyczyny utyskiwania nad zagładą Puszczy między bajki włożyć.

Stan lasu Puszczy Białowieskiej (poza BPN) ilustrują następujące wskaźniki dla lat 1948 i 1992:

powierzchnia leśna	50423,44 ha	i	54195,41 ha
ilość masy drewna			
drzew żywych w m ³	9532057	i	14183547
w przeliczeniu na 1 ha w m ³	189	i	262
przyrost przeciętny w m ³	2,52	i	3,67
przeciętny wiek drzewostanu	75 lat	i	73 lata

Żaden z wymienionych wskaźników nie mówi o zagładzie Puszczy, lecz o rozwoju jej zasobów drzewostanowych.

Zaś ochrona zasobów przyrodniczych wyraża się od dawna istnieniem na obszarze trzech nadleśnictw puszczańskich, 14 rezerwatów o pow. 2363,5 ha oraz 9 (o pow. 1254,0 ha) powoływanych w 1995 r.

W 1994 r. zarejestrowanych było ponad 700 pomników przyrody, głównie zabytkowych dębów i ich grup; 94 strefy ochrony ptaków o pow. prawie 6 tys. ha; ostoje żubrów i in. W 1995 r. wprowadzono decyzją Generalnego Dyrektora Lasów całkowitą ochronę wszystkich najgrubszych drzew w całej Puszczy.

W celu poprawy zarządzania Puszczą oraz w celu jej ochrony, Dyrektor Generalny Lasów Państwowych włączył w dniu 19.12.1994 nadleśnictwa puszczańskie do tzw. Kompleksu Promocyjnego, a Minister Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa powołał dla Kompleksu Radę Społeczno-Naukową Puszczy Białowieskiej jako organ konsultacyjny, dbający o wykonanie decyzji nr 23 zgodnie z jej duchem.

Lasy Państwowe rozpoczęły ponadto prace inwentaryzacyjne zasobów przyrodniczych i glebowych Puszczy, by stworzyć podstawy do starannego przywrócenia temu unikalnemu w skali Europy kompleksowi leśnemu jego pierwotnego charakteru.

Zatem ten rząd zrobił dla ochrony Puszczy więcej niż którykolwiek poprzedni. Podjął wreszcie decyzję o podwojeniu powierzchni BPN i przeznaczył na poprawę stanu środowiska w przyległych do Puszczy gminach znaczne środki pieniężne.

W tej sytuacji inwektywy Pana P. Daszkiewicza adresowane do „nowej elity politycznej”, jak „niezrozumienie społecznych interesów, arogancja wobec głosów opinii publicznej i nie-liczenie się z opinią specjalistów”, „niekompetencja”, „ochrona polskiej przyrody wbrew polskiej władzy” są po prostu śmieszne. Do zupełnych zaś absurdów należy „pozbawienie Polski najważniejszej części jej ‘zielonych płuc’” i „rozbiórce puszczy jak Wawelu na cegłę”, „by zachować zysk z eksploatacji”...

Lasy Państwowe w wyniku opisanych decyzji ograniczyły pozyskiwanie drewna do wielkości charakterystycznej dla Parków Narodowych, a zwiększyły zaś wydatki wynikające z proekologicznej polityki leśnej Państwa i zadań z zakresu ochrony przyrody Puszczańskie.

Natomiast zachęty Pana P. Daszkiewicza, by nie „liczyć” się z miejscowym tj. białowieskim społeczeństwem wskazują, że nie zna on treści Agendy 21 ze Szczytu Ziemi w Rio, która zobowiązuje Rządy do respektowania interesów miejscowej ludności przy tworzeniu wszelkich planów zarządzania obszarami leśnymi.

I wreszcie ostatnia uwaga: Polska jest krajem, który mając 20 Parków Narodowych, ponad 1000 rezerwatów przyrody, 100 Parków Krajobrazowych, 200 Obszarów Chronionego Krajobrazu, przoduje w Europie w konserwatorskiej ochronie przyrody. Polska polityka ochrony zasobów leśnych, ustanowiona w roku 1994, której egzemplifikacją są Leśne Kompleksy Promocyjne (promują gospodarkę leśną przyjazną przyrodzie) i którą wykonują Lasy Państwowe, a która była prezentowana m.in. na Sesji FAO Ministrów Leśnictwa w Rzymie (marzec 1995), na III Sesji Komisji Trwałego Rozwoju ONZ (Nowy Jork, kwiecień 1995), II Konferencji Stron Konwencji Różnorodności Biologicznej (Jakarta, listopad 1995), została dostrzeżona i znalazła powszechne uznanie jako wyprzedzająca do rozwiązań w tym zakresie w porównaniu z dowolnym krajem.

Znalazła także uznanie przy przyznawaniu miliardowych dotacji (a nie tylko kredytów) na rozwój polskiego leśnictwa ze źródeł krajowych i zagranicznych na „realizację europejskiej polityki przyrodniczej”.

Krytyka leśnictwa została zainaugurowana w ub. 10-leciu przez ruchy ekologiczne poza kontynentem europejskim. Następnie w wielu krajach ludzie dobrej woli (jak sądzę) postanowili mieć swoją Amazonię i walczyć o jej uratowanie. Powstaje tylko pytanie, dlaczego nie chcą operować realiami i faktami. Na to pytanie odpowiedział pewien profesor (fizjolog roślin) z USA – „dlatego, że czytają tylko to, co sami napiszą i tylko w to wierzą”. Ale nie zawsze służą oni dobrze swoim ojczyznom, a Polsce, jakże często z różnych przyczyn źle postrzeganej, służą w swoim zaślepieniu fatalnie...

A wszystkich, którzy chcieliby wyrobić swój własny sąd o Puszczy, zachęcamy, by Puszczę tę po prostu zobaczyli!

Rzecznik Prasowy
Krzysztof SOBKÓW

Odpowiedź Piotra Daszkiewicza

W przeszło cztery miesiące po ukazaniu się artykułu „Puszcza Białowieska nie może zginąć” rzecznik prasowy ministerstwa zdecydował się odpowiedzieć na mój tekst. Artykuł opublikowany przez *Kulturę* został przyjęty z dużym zainteresowaniem, cytował go Czesław Miłosz w *Tygodniku Powszechnym*, omawiano go w Polskim Radiu, zainspirował on Polonię z Republiki Południowej Afryki do zawiązania Komitetu Opieki nad Puszczą Białowieską i wystosowania Apelu do Prezydenta Rzeczypospolitej. Nic w tym dziwnego, sprawa dewastacji Puszczy Białowieskiej i znacznej części polskiej przyrody, polityka ekologiczna ministerstwa jak i niekompetencja i arogancja niektórych urzędników, musi w kraju o wolnej opinii publicznej wywołać wiele reakcji. Sprawa nie jest zresztą zakończona. Nie dalej jak wczoraj (10 maja 1996) *Gazeta Wyborcza* opublikowała korespondencję donoszącą o kontynuowaniu wycinania starodrzewia, fałszowaniu danych statystycznych, politycznym blokowaniu tworzenia nowych rezerwatów. Autor korespondencji pisze wprost o „duchowym zdziczeniu”, „barbarzyńskiej polityce” i „mentalności brygadzystów z wielkiej budowy”.

Rzecznik prasowy ministerstwa potraktował mój artykuł jako atak na rządzącą koalicję, nazywając mnie „zażartym politykiem niechętnym obecnej koalicji rządowej”. Krytykowałem politykę dewastacji przyrody zarówno w okresie rządów posolidarnościowych (m.in. na łamach *Kultury*) jak i w okresie PRL, gdy informacje związane z degradacją środowiska objęte były cenzorskim zapisem, a za współpracę z niezależną prasą groziło dziesięcioletnie więzienie. Nie to jest zresztą ważne, w całej tej sprawie nie chodzi przecież o moją skromną osobę. Przeraża mnie jednak ów typ myślenia, w którym każda krytyka oceniana jest jako atak na rządzącą koterię. Typ myślenia określany przez zachodnioeuropejskich politologów jako mafijny. Najwyższe zaniepokojenie musi

budzić fakt, że wysokiej rangi urzędnik państwowy w oficjalnym ministerialnym piśmie nie jest zdolny do odróżnienia jednej z najważniejszych dla społeczeństwa spraw, jaką jest przetrwanie Puszczy Białowieskiej, od partykularnego interesu swoich partyjnych kolegów.

Ochrona Puszczy Białowieskiej należy do obowiązków m.in. Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. W demokratycznym kraju jest zupełnie normalne, że pracę urzędników ocenia zarówno prasa jak i obywatele, którzy przecież działalność tej instytucji finansują swoimi podatkami. Jest oczywiste, że urzędnik musi rozliczać się z prowadzonej działalności. Odpowiedzialność powinna być obok uczciwości i profesjonalnych kwalifikacji najważniejszą cechą funkcjonariuszy państwowych. Mafijny sposób myślenia powoduje, że w odpowiedzi na krytykę poszukuje się „winnych” i „spisku”, zapominając o obowiązkach powierzonych urzędowi przez społeczeństwo i konieczności rozliczenia się z nich; tak więc w liście pana rzecznika odnajduję stwierdzenia o „hałaśliwej akcji na rzecz objęcia całej Puszczy Parkiem Narodowym”, o „społeczeństwach innych krajów”, a nawet o „królach i carach”. Winni są dziennikarze, cudzoziemcy, rządy poprzedzające władzę obecnej koalicji, no i może jeszcze politycy międzywojennego dwudziestolecia. Skąd my to znamy?

Z przykrością i zażenowaniem czytam także uwagi pana rzecznika na temat polityki ekologicznej Drugiej Rzeczypospolitej. Międzywojenna Polska, znajdująca się w jakże trudnej sytuacji, zdołała przecież wypracować spójną i sprawną politykę ochrony przyrody, odegrać aktywną i znaczącą rolę międzynarodową, stworzyć koncepcje naukowych podstaw ochrony przyrody, wykorzystywane po dzień dzisiejszy na całym świecie (jeśli pan rzecznik jest zainteresowany uzupełnieniem braków swojego wykształcenia, to polecam mu przeczytanie artykułu o Ekologicznym Dziedzictwie Drugiej Rzeczypospolitej (*Kultura* 6/1994). Nie bardzo rozumiem sformułowania o chęci „zachowania Puszczy dla elit ówczesnego świata”: przecież przyrodę chroniono nierzadko wbrew interesom właścicieli chronionych terenów, wejście do Puszczy nie wymagało jakiegoś specjalnego cenzusu majątkowego, a czystym powietrzem mogła oddychać znacznie

większa część społeczeństwa niż obecnie; to wreszcie polskie władze zerwały cytowaną przez pana rzecznika umowę z Century, uznając zachowanie Puszczy za ważniejsze od krótkotrwałego interesu ekonomicznego. Stwierdzenia w typie „skorzarzeń z II Rzeczypospolitą lepiej nie przypominać” jak i kontynuowanie propagandy kłamstw dotyczących historii naszego kraju godne są partyjnych lektorów z lat pięćdziesiątych, a nie urzędnika Niepodległej Polski.

Wbrew złośliwym insynuacjom pana rzecznika znam treść agendy 21 z Rio. Uznaniu i wzmocnieniu roli populacji autochtonicznych i ich wspólnot poświęcony jest rozdział 26. Mowa w nim m.in. o konieczności poszanowania podstawowych wolności, praw do własnej kultury, zniesieniu dyskryminacji ludności tubylczych. W punkcie 26.3 ii przeczytać można, iż „wspólnoty owe mają być chronione przeciwko działaniom nieracjonalnym ekologicznie”, punkt 26.3 iii mówi natomiast o „uznaniu wartości i tradycyjnej wiedzy ludów tubylczych w celu promowania trwałego i ekologicznie racjonalnego rozwoju”. Odnoszę wrażenie, że zarówno duch jak i litera agendy z Rio stanowią znakomite wręcz uzasadnienie rozszerzenia Parku Białowieskiego, a nie niszczenia przyrody. Jak widać, to nie ja mam problemy ze znajomością międzynarodowych dokumentów dotyczących ochrony przyrody, ale pan minister Żelichowski.

Trudno jest także zaakceptować twierdzenie pana rzecznika, iż po utworzeniu najpierw rezerwatu, a potem Parku Narodowego „opinia społeczna, uczeni, organizacje społeczne, organa Państwa akceptowały, że poza Białowieskim Parkiem Narodowym Puszcza jest traktowana jako las gospodarczy”. Już w pierwszych projektach ochrony Puszczy Białowieskiej eksploatację lasu jak i ograniczony charakter powierzchni objętej przez rezerwat, a potem Park Narodowy traktowano jako rozwiązanie tymczasowe, związane ze zniszczeniami wojennymi. Pisał o tym zresztą jeden z najwybitniejszych polskich przyrodników, a zarazem przewodniczący Państwowej Komisji Ochrony Przyrody i współtwórca białowieskiego rezerwatu, prof. Władysław Szafer: „...pozostawienie na stronie tak olbrzymich bogactw i dobrowolne zrzeczenie się ich wtedy, gdy państwo nasze ciężko walczyło o swój byt i niezależność ekonomiczną, pozostawienie na pniu gotowych

milionów metrów sześciennych budulca wtedy, gdy nie mieliśmy z czego odbudowywać zgliszcz wojennych w kraju (...) byłoby wprost lekkomyślnością". Utworzony w 1932 roku Park Narodowy był zresztą mniejszy do proponowanego przez Państwową Komisję Ochrony Przyrody. Przez cały okres istnienia Białowieskiego Parku nie brakowało w Polsce ludzi domagających się jego powiększenia. Nie zapominajmy także, że owe trudne decyzje zapadały w okresie, gdy nieznane było w Polsce zjawisko ekologicznej katastrofy, a nie w chwili obecnej, kiedy wskutek obłądnej polityki ekologicznej obserwuje się np. gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia polskiego społeczeństwa. Ciekaw jestem ponadto, z jakim to, zdaniem pana rzecznika, wrogiem zмага się Polska w chwili obecnej? Z jakich zgliszcz musi odbudowywać zniszczony kraj? Czy rzeczywiście istnieje jakiekolwiek racjonalne uzasadnienie odmowy rozszerzenia powierzchni Parku Narodowego? Nie przekonują mnie także ministerialne decyzje i zapewnienia o zmniejszeniu gospodarki zrębowej w Puszczy. Jedynie nadanie statusu Parku Narodowego całości Puszczy może zapewnić jej prawidłową ochronę i przetrwanie.

Aby uzasadnić swoje wywody, pan rzecznik ministerstwa cytuje szereg danych statystycznych i wskaźników dotyczących zarówno Puszczy Białowieskiej jak i polityki ochrony przyrody w Polsce, które tak jak w najlepszych latach gierkowskiej propagandy sukcesu przekonać mają czytelnika, że Puszcza ma się doskonale, a Polska przoduje w dziedzinie ochrony przyrody. Pozwolę sobie jednak na wysunięcie kilku zastrzeżeń co do prezentowanych danych. Najpierw owych pięciu wskaźników dotyczących bezpośrednio Puszczy. Jednym z podstawowych obowiązków Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa jest gromadzenie informacji i danych dotyczących przyrody - posiadanie takich danych jest przecież podstawą podejmowania jakichkolwiek decyzji. Otóż w prezentowanych wskaźnikach uderzył mnie fakt, że dotyczą one okresu 1948 do 1992. Żaden – podkreślam to jeszcze raz – żaden z pięciu cytowanych dla zobrazowania sytuacji Puszczy wskaźników nie obejmuje okresu po 1992 roku, tzn. okresu którego dotyczy polemika. Dlaczego? Widzę trzy możliwe odpowiedzi na to pytanie. Po pierwsze pan rzecznik po prostu przygotował

swoją odpowiedź w sposób niechlujny. Po drugie ministerstwo takimi wskaźnikami nie dysponuje, tzn. nie wywiązuje się ze swoich podstawowych obowiązków. Po trzecie ministerstwo wprawdzie takimi danymi dysponuje, ale woli ich nie ujawniać. Ocenę pozostawiam czytelnikom.

Jeszcze jedna uwaga: otóż Puszcza jest jednym z najbardziej złożonych ekosystemów i owych pięć wskaźników (powierzchnia, ilość masy drewna w metrach sześciennych i w metrach sześciennych w przeliczeniu na hektar, przeciętny przyrost i wiek drzewostanu) nie wystarczają do stwierdzenia, że „Puszcza czuje się dobrze”. Nie mówią one nic o bioróżnorodności Puszczy, jej składzie gatunkowym i jego ewolucji, różnorodności typów leśnych, stanie skupień łąkowych i torfowiskowych, zagrożeniu gatunków rzadkich i ich siedlisk, sposobach prowadzenia przez ministerstwo biomonitoringu (jeśli takowy jest prowadzony). Wystarczy. Ostatecznie nie jest moją rolą prowadzenie kursów ekologii dla początkujących ani tłumaczenie resortowi odpowiedzialnemu za politykę ekologiczną państwa różnic między lasem a kołchozem.

Jeśli chodzi o ministerialne zapewnienia o „przodującej roli” i osiągnięciach w dziedzinie ochrony przyrody, to moim zdaniem najzwyczajniejsza przyzwoitość nakazuje trochę więcej skromności i umiaru w czynieniu podobnych deklaracji przez urzędników resortu odpowiedzialnego za politykę środowiskową w kraju, w którym przynajmniej 35% obywateli mieszka w rejonach ekologicznego zagrożenia, uszkodzonych przez zanieczyszczenia jest 50% lasów, w tym niemała część (37000 ha) w stopniu bardzo poważnym (wg „Environmental Pollution in Poland”, M. Wierzbicka i E. Michalak, AMBIO 22/1993), stwierdza się (w niektórych regionach) najwyższe znane w historii świata stężenie zanieczyszczeń kadmem i ołowiem (dokumenty OCDE), wyginieciem zagrożonych jest 413 gatunków zwierząt i 191 gatunków roślin (bez roślin niższych, wg Ochrona Środowiska, GUS 1993), zaledwie 1,9 procent lasów jest chronionych, w tym jedynie 0,35% w sposób ścisły (dane opublikowane przez tygodnik *Wprost*). Wyliczaniu podobnych danych i wskaźników można by zresztą poświęcić kilkadziesiąt stron.

Na zakończenie jeszcze jedna refleksja: nie bardzo rozumiem, dlaczego ministerialni urzędnicy sami podpisujący

się pełnią swoich funkcyjnych tytułów i nazwisk, tytułują mnie w liście do Pana Redaktora w poufaly sposób *per* „Panie Piotrze”. Podobny styl jak i wiele innych zwrotów chyba niezbyt przystoju w oficjalnym urzędowym piśmie. No cóż, Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa mogłoby zadbać o dokształcenie swojej kadry kierowniczej nie tylko w zakresie przyrodniczych podstaw ochrony środowiska i etyki urzędnika państwowego, ale także w zakresie elementarnego dobrego wychowania.

Piotr DASZKIEWICZ

Po drugiej stronie rzeki

Jak byś się czuła chodząc po podwórku wybrukowanym płytami nagrobnymi? – zapytałem Dominikę. – Te płyty leżałyby tam od dawna, porośnięte trawą, prawie niewidoczne... To byłyby żydowskie macewy – kontynuowałem, choć już wiedziałem, że odpowiedzi nie otrzymam.

Wywiad z panem Wiktorem Wróblewskim, emerytowanym stomatologiem zamieszkałym w Łosicach.

– Czy może pan powiedzieć kilka słów o historii pańskiego domu?

– Ten dom został zbudowany w 1932 r. Wraz z wybuchem wojny w 1939 r. ojciec – jako lekarz – został zmobilizowany do szpitala polowego w Siedlcach, który tegoż samego dnia został zbombardowany. Razem z wojskiem cofał się przez Brześć, Kobryń, 17 września zastał go w Lubieszowie. Później powrócił do Łosic. Po ataku Niemców na Rosję, w czerwcu 1941 r. budynek ten został zajęty na posterunek żandarmerii. Niemcy omurowali go pustakami, a od ulicy zbudowali betonowy bunkier (który stał jeszcze 20 lat temu) z

podziemnym przejściem. Jeszcze przed uderzeniem na Rosję zabrali bruk z podwórka na budowę dróg, a potem w 1942 r. przywieźli płyty nagrobne z cmentarzy żydowskich z Łosic, Sarnak, Mordów i wyłożyli nimi podwórko.

– Po wojnie Żydzi chcieli odebrać swoje płyty nagrobne?

– Po wojnie to powstał Urząd Likwidacyjny i oni kazali ojcu odkupić te płyty jako mienie polniemieckie. Ojciec odkupił, ale powiedział im w Miejskiej Radzie: – Powinniście to zabrać na cmentarz, a mnie tu położyć bruk albo jakąś nawierzchnię, jak było przed wojną. Ale Miejska Rada widocznie nie miała pieniędzy i nie chciała. A później Żydzi – za Gomułki, czy może już za Gierka – przysłali pismo, że zabierają. Ja im odpowiedziałem, że zgadzam się, ale muszą doprowadzić do takiego stanu, jaki był. Byli tu kilkakrotnie. Później przysłali mi pismo przez Wojewódzką Radę Narodową z Warszawy, że mam odstąpić. – Proszę bardzo, jak mi położycie nawierzchnię. – I tak przeszło, i do tej pory nic.

– Jak to jest, gdy codziennie chodzi się po płytach nagrobnych?

– Chodzi się po trawie... A jak jest, jak po cmentarzu żydowskim się chodzi? Po trupach – i jeszcze tancbudę postawili, tańczy się?! To jest ostatecznie kamień... A to już żydowska sprawa, to oni powinni zadbać o swoje cmentarze.

– Podejrzewam, że się chodzi po tym i nie myśli.

– Niemcy chodzili, wszyscy chodzili, to się chodzi. A co z tym zrobić? Ominąć się nie da, bo wszędzie leżą.

●
Poprosiłem o opinię w tej sprawie przewodniczącego Rady Miasta i Gminy pana Jana Wasiluka i burmistrza, pana Stanisława Kucharczuka:

– Jest to dla mnie ogromnym zaskoczeniem, słyszę o tym po raz pierwszy. Trzeba to sprawdzić i jakoś się tym zająć. Jeśli tak jest, jak pan mówi, i te płyty leżą tam 50 lat od zakończenia wojny, to jest to okropne. Wojna była totalnym okrucieństwem i dotknęła bezpośrednio wiele rodzin, te sprawy są bolesne do dziś. Łosice przed wojną były miasteczkiem żydowskim i trzeba tę historię ukazywać, nawet jeśli momentami jest bolesna i wstydliva. Myślę, że należa-

łoby te płyty wyjąć z ziemi i zabezpieczyć, czy może wyeksponować. Jeżeli jest to sprawa tego typu, żeby właścicielowi w zamian pokryć kilkoma płytami podwórko, to jest to do szybkiego rozstrzygnięcia. Może należałoby też nawiązać kontakty ze stroną żydowską, która na pewno jest tym żywotnie zainteresowana.

– Poznałem ten temat będąc naczelnikiem Łosic w latach osiemdziesiątych. Uważałem wówczas, że nagrobki powinny być przeniesione i wbudowane w pamiątkowe lapidarium jako pomnik pamięci i kultury żydowskiej. Podtrzymuję ten pogląd i gdyby to było finansowo realne należałoby wykonać to lapidarium na terenie jednej czy dwóch alejek w parku – tam był kirkut.

Rozmawiałem też z miejscowym księdzem proboszczem, który jednak nie zajął oficjalnego stanowiska.

W pierwszych dniach stycznia 1996 r. wysłałem reportaż „Po drugiej stronie rzeki” do Rady Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa w Warszawie, Ambasady Izraela w Warszawie i Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce „Śródborowianka” w Otwocku. Prosiłem o zainteresowanie się opisaną sytuacją i odpowiedź na mój list. Bez odzewu.

Łosice, 4.05.1996

Marek JERZMAN

O religii bez namaszczenia

Kościół i nauka

Okazały tom w twardej okładce, ozdobionej barwną średniowieczną ryciną, dzieło francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ambasady Francji w Polsce oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki; a równocześnie książka bardzo bolesna dla każdego człowieka dobrej woli z którejkolwiek strony zaznaczonego w tytule podziału¹. Podtytuł „Histoire d'un malentendu” (chyba jednak lepiej: nieporozumienia) jest nader łagodnym eufemizmem, bynajmniej nie zapowiadającym tragicznego duchowego i cywilizacyjnego rozdarcia, którego dzieje stanowią treść książki i którego niemałe ślady odczuwamy jeszcze dziś, w przededniu trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa. Ten tom doprowadza nas tylko do momentu definitywnego zerwania stosunków między Kościołem a nauką, które nastąpiło w ciągu pierwszych trzydziestu lat XVII wieku. Jedno krótkie zdanie zamykające tekst książki zdaje się zapowiadać drugi tom, który by nas doprowadził do „prób osiągnięcia ponownego zbliżenia” (jak to określa autor) w drugiej połowie XX wieku. Bardzo potrzebny byłby ten drugi tom, by popchnąć naprzód to zbliżenie i przezwyciężyć pozostałe przejawy trzywiekowej wrogości, które wciąż jeszcze kuszą po obu stronach historycznej barykady.

Wiele już w naszych czasach na ten temat napisano – zarówno ataków, często bardzo prymitywnych, na kościelny obskurantyzm, jak i kościelnej apologetyki, często nawet

1. Georges Minois: „Kościół i nauka. Dzieje pewnego niezrozumienia. Od Augustyna do Galileusza”. Tłumaczył Adam Szymanowski. Oficyna Wydawnicza Volumen. Wydawnictwo Bellona. Warszawa 1995. Str. 408.

imponującej erudycją, nie tyle nawet teologiczną co właśnie naukową². Autor omawianej tu książki zdaje się być wolny od wszelkiej stronniczości *a priori*. Prezentuje się czytelnikowi jako człowiek wierzący, katolik, co nie przeszkadza mu z całą surowością oceniać wszelkie urzędowe ingerencje Kościoła w wielowiekowym teologiczno-naukowym dialogu. Jest nade wszystko historykiem myśli religijnej, w odróżnieniu np. od Stanleya Jaki'ego (zob. powyżej przypis 2), który, choć zakonnik, jest *par excellence* historykiem nauki. Rozróżnienie między myślą religijną i naukową, w toku historycznej relacji autora, nabiera ostrości, bo zrazu w świecie chrześcijańskim wiara i nauka były właściwie tym samym, w każdym razie nie zdawano sobie sprawy, by mógł tu zaistnieć jakiś konflikt. Owszem, były konflikty między myślą chrześcijańską i pogańską, ale myśl pogańska (platonizm, epikureizm, stoicyzm, a zwłaszcza arystoteizm) też była w dużej mierze myślą religijną, a chrześcijaństwo uważało Objawienie, nade wszystko Pismo święte, za glejt upoważniający je do tłumaczenia i interpretowania zjawisk również doczesnego świata. Właśnie to pomieszanie funkcji wiary i wiedzy miało się stać źródłem przyszłych konfliktów. Trudno jednak kogokolwiek winić za to. Za to nie był odpowiedzialny Kościół, czy to jako hierarchia czy wspólnota wiernych. Nikt poza Kościołem też inaczej myśleć nie mógł. W rzeczy samej przez piętnaście wieków, aż po rewolucję naukową XVI i XVII wieku uczonymi byli tylko duchowni, z tym że słowo „uczony” nie oznaczało, czy niekoniecznie oznaczało człowieka nauki w dzisiejszym znaczeniu. Były okresy, w których poczynąła kiełkować konieczna do tego niezależność myśli... Pierwszym geniuszem o prawie nowocześnie naukowym zacięciu był chyba św. Augustyn (przy

2. Warto tu zwrócić uwagę na dzieło znakomitego historyka nauki, a równocześnie benedyktyna Stanleya Jaki'ego, profesora Seton Hall University w Stanach Zjednoczonych. Cytowana przez Georgesa Minois'a książka Jaki'ego „The Origin of Science and the Science of Its Origin” jak i inne jego książki są wzorem zgoła benedyktyńskiej ścisłości historycznej dokumentacji nauki. A jednak Minois słusznie chyba odrzuca zasadniczą tezę Jaki'ego, że rozwój nowoczesnej nauki był możliwy tylko w oparciu o metafizyczne założenia chrześcijaństwa i faktycznie tylko w kontekście chrześcijańskiej cywilizacji się dokonał. Będę miał okazję wrócić do tej sprawy w dalszej części niniejszej recenzji.

wszystkich swoich ograniczeniach, którymi – właśnie dzięki sile swego geniuszu – skrępował także Kościół na wiele wieków). Potem w średniowieczu, poczynawszy od X wieku, mamy całą galerię wielkich umysłów – od Jana Szkota Eriugeny poprzez Gerberta-Sylwestra II i Williama Ockhama, po kardynała Mikołaja z Kuzy – umysłów, które wyraźnie przeczuwają możliwości nowoczesnej nauki, a jednak wciąż traktują jako dogmat konieczność uzgodnienia własnych intuicji z wymogami wiary. Ten obraz komplikuje ponadto przedziwna historyczna kariera Arystotelesa, odkrytego na nowo za pośrednictwem Arabów Filozofa (przez duże F), którego zrazu ożywczy wpływ przekształca się w ciągu kilku stuleci w prawdziwe umysłowe kajdany. I to mimo spekulatywnego potępienia zasadniczych tez arystotelizmu przez biskupa Paryża Etienne'a Tempiera w roku 1277, w zaledwie kilka lat po ukończeniu, opartej przecież na arystotelizmie, wielkiej syntezy ówczesnej myśli chrześcijańskiej św. Tomasza z Akwinu.

Nie pierwsze to było potępienie ani też ostatnie. Skoro nie istniało rozróżnienie między wiarą a nauką (i to, jak wspomniałem wyżej, nie tylko w myśli chrześcijańskiej, ale i nie-chrześcijańskiej, pojęcie myśli świeckiej nie istniało w ogóle), Kościół czuł się zmuszony do ingerowania we wszelką pracę myśli dla obrony czystości wiary. O tyle te ingerencje były zrozumiałe. Sęk w tym, że wiara była uważana za źródło prawd o świecie doczesnym, w tym i o przyrodzie, nie mniej niż prawd nadprzyrodzonych. Poniekąd z tym problemem borykamy się po dziś dzień. W mowie potocznej wiara jest wciąż jeszcze uważana raczej za zespół pewnych twierdzeń, a więc traktowana jako sfera angażująca przede wszystkim intelekt, a dopiero na drugim miejscu jako postawa nie tylko intelektualna, ale i emocjonalna i wolitywna. Faktycznie jednak wiara w istocie swej jest afirmacją wartości, w tym nade wszystko Boga jako wartości wszystkich wartości, nie zaś afirmacją, że pewne rzeczy w tym świecie (czy poza doczesnym światem) mają się tak a tak.

Autora „Kościoła i nauki” nie interesuje teoretyczne rozgraniczenie sfer wiary i nauki. Jako historyka interesują go raczej absurdalne wyzwania, jakie Pismo św. stawiało średniowiecznej nauce, jak sprawa wód znajdujących się jakoby

ponad firmamentem niebieskim (Gen.1,7) czy sprawa powszechności potopu – czy doszedł też do Ameryki? Jak przodkowie Indian go przeżyli, i w związku z tym, czy Indianie są prawdziwymi ludźmi? (Na szczęście papież Paweł III w roku 1537 uroczyście potwierdził, że są ludźmi). Nie mówiąc już o słynnym *sta sol* Jozuego, zatrzymaniu biegu słońca w czasie oblężenia Jerycha. Jeśli chodzi o teoretyczne rozgraniczenie sfer nauki i wiary, to Minois tylko mimochodem wspomina – i ocenia raczej krytycznie – popularną tezę, że nauka odpowiada na pytanie „jak”, podczas gdy wiara odpowiada na pytanie dlaczego? W jakim celu? A jednak tkwi w tym sformułowaniu łut poprawnej intuicji, choćby dlatego, że nowoczesna nauka (w odróżnieniu na przykład od arystotelesowskiej), z zasady nie stawia pytania w jakim celu? Także w opinii chrześcijańskich apologetów nauki, natura, dzieło racjonalnego Stwórcy, sama jest przez to racjonalna i dlatego autonomiczna i dostępna racjonalnej ludzkiej myśli. Według Stanleya Jaki’ego, wyzwolenie jej od kapryśnych celowości rozmaitych bożków i duszków, jakie przyniosło ze sobą chrześcijaństwo, sprawiło, że nowoczesna nauka narodziła się i rozkwitła w dziejach ludzkości tylko raz, w ramach cywilizacji ukształtowanej przez wiarę w jednego racjonalnego Stwórcę. Zważywszy, że wszystkie pierwowciny nauki w nowoczesnym znaczeniu zrodzone w innych cywilizacjach (egipskiej, babilońskiej, greckiej, arabskiej) zamarły w zgoła dziecięcym wieku, także i w tej tezie zdaje się tkwić jakieś ziarno prawdy. Ale nie więcej niż ziarno. Zjawiska historyczne tak ogromnej skali jak narodziny nauki, są prawdopodobnie wypadkowymi bardzo wielu czynników. (Przychodzą na myśl niespodziewane rozwiązania skomplikowanych równań nie-liniowych, odkryte dopiero niedawno dzięki niesamowitej sprawności komputerów i określane, raczej nietrafnie, mianem matematycznego chaosu). Georges Minois, między innymi, przytacza argument, który trafia w samo serce argumentacji Stanleya Jaki’ego: nie ulega wątpliwości, że chrześcijańska wiara w racjonalność dzieła racjonalnego Stwórcy została w ciągu wieków poważnie skążona wiarą w apodyktyczne cuda i interwencje niezliczonych świętych. Co jak co, ale autonomiczna nauka w atmosferze cudowności natury istnieć nie może.

I to nas doprowadza do najbardziej tragicznego wątku historycznej relacji Georgesa Minoisa: do forsownych interwencji urzędowego Kościoła w procesy rozwojowe ludzkiej wiedzy. Jak powiedzieliśmy, nie można Kościołowi brać za złe, że broniąc czystości wiary bronił także dosłownych interpretacji biblijnych relacji odnoszących się do wydarzeń i zjawisk dostępnego nam widzialnego świata. Te relacje, jakkolwiek Boża treść może się w nich kryć (jej wykrycie jest zadaniem egzegezy), były jednak relacjami ludzi myślących kategoriami swoich czasów, okresu przed-naukowego, jak to dziś określamy. Ludzie Kościoła, także najmędrsi z nich czy najwyżej postawieni, byli dziećmi swoich czasów i myśleli tymi samymi czy podobnymi kategoriami. Dzieło francuskiego autora jest w przeważającej mierze historią wytrwałych prób tych ludzi, bez wyjątku duchownych, zrozumienia tajemnic Bożego świata i dążenia do prawdy... Zdawali oni sobie sprawę, że to, co im mówił rozum i zmysły, jest (czy może być) prawdą nie mniej niż to, co im mówi Biblia. Rozumieli także, że postęp wiedzy ludzkiej wymaga wolnej myśli, która jednak niesie za sobą ryzyko błędu. Niestety byli również ludzie tego samego Kościoła, którzy tego wszystkiego nie rozumieli. Nie było zapewne ich winą, że nie mieli zdolności czy geniuszu tamtych swoich konfratrów. Ale było ich winą, że myśli swych konfratrów zadawali gwałt – w imię instytucjonalnych czy osobliwych interesów – a tym samym zadawali gwałt chrześcijaństwu, któremu rzekomo służyli...

Ten najbardziej tragiczny okres w dziejach stosunku Kościoła do nauki to czasy potrydenckiej kontrreformacji, głównie pierwsze dziesiątki lat XVII wieku. W roku 1600 ginie na stosie na rzymskim Campo di Fiore przemądry buntowniczy mnich Giordano Bruno, w roku 1633 Galileusz zostaje przez rzymską kongregację skazany na dożywotni areszt domowy. Ale nie ludzkie cierpienie jest najbardziej tragicznym aspektem tych lat. Płonęły stosy i ginęli ludzie w kościelnych więzieniach i przedtem, i nawet jeszcze i potem; w porównaniu z wielu innymi męczennikami nauki los Galileusza w domowym więzieniu był nawet pozazdroszczenia godny. Jeśli Georges Minois tyle miejsca poświęca procesowi Galileusza, o którym już tomy napisano, to dlatego, że ta sprawa ma wymiar symboliczny i ma konsekwencje, których

do dziś jeszcze nie zdołaliśmy w pełni przezwyciężyć. Dokonana przez papieża Jana Pawła II 13 lat temu „rehabilitacja” Galileusza (dokładnie w 350-tą rocznicę wyroku z 9 maja 1633 r.) dotyka zaledwie samego czubka problemu, który jest znacznie rozleglejszy i ma znacznie głębsze podłoże. Bo nie o samego Galileusza tu chodzi, ani też o Kopernika czy system kopernikański. Chodzi o to, że w tym okresie doszło do całkowitego, świadomego i do dziś nie całkiem przezwyciężonego rozłamu między oficjalnym Kościołem a powstałą wówczas nowożytną nauką. Do tego czasu, przez szesnaście wieków, Kościół był, jak widzieliśmy, partnerem i współtwórcą nauki, nawet gdy bywał jej często (niesłusznym) krytykiem. Natomiast od tego momentu katolicka kontrreformacja i współczesna jej rewolucja naukowa świadomie ignorują się wzajemnie i idą całkiem innymi i coraz bardziej rozchodzącymi się drogami, z niepowetowanymi stratami dla obu stron, ale przede wszystkim ze szkodą dla Kościoła. Chodzi nie tylko o to, że Kościół stracił wiele ze swego powszechnego autorytetu, jakim przez te szesnaście wieków się cieszył. Gorsze były następstwa dla wewnętrznego życia Kościoła, bo zagnieździł się w nim zarazek intelektualnej nieuczciwości. Ostatecznie przez przeszło trzysta lat lojalny rzecznik Kościoła musiał udawać, iż wierzy, że słońce kręci się dokoła ziemi, a nie na odwrót. Dopiero w r. 1846 dzieło Kopernika zostało zdjęte z indeksu książek zakazanych.

Ale na tej wzajemnej alienacji straciła również nauka. I znowu nie o tyle tylko chodzi, że Kartezjusz na wiadomość o potępieniu Galileusza stchórzył i swój przygotowany do druku „*Traité du monde*” schował do szuflady. Pascal był odważniejszy, ale też jego „*Lettres Provinciales*” znalazły się na indeksie. Autor szczegółowo relacjonuje bezpośrednie konsekwencje tego rozłamu w XVII wieku – i na tym kończy swą opowieść. Pozostawia otwartą kwestię, czy rozwój nauki w następnych stuleciach mógł być inny, gdyby do rozłamu nie doszło. Czy i w tej sytuacji Laplace powiedziałby, że hipoteza Boga jest mu niepotrzebna? Czy nauka uniknęłaby herezji prymitywnego materialistycznego redukcjonizmu i pozytywizmu? Czy uznałaby za zadowalającą koncepcję czysto mechanicznego kosmosu, w którym człowiek ze swymi radościami i cierpieniem jest tylko kłopotliwym przybłądą i

w którym nawet poznający umysł, a zatem także sama nauka, sensownie się nie mieszczą? Tego rodzaju pytania zapewne znajdą odpowiedź w drugim tomie, który ma doprowadzić opowieść do naszych czasów. W rzeczy samej, już we wstępie do obecnego tomu autor zastanawia się, czy są szanse, że w naszych czasach dojdzie do pojednania między Kościołem a nauką. Zauważa, że „od jakiegoś czasu w obrębie nauki daje się zauważyć zwrot ku sprawom ducha”. Czy oficjalny Kościół zdoła podjąć to nowe wyzwanie? Nie brak tu pozytywnych oznak (jak „rehabilitacja” Galileusza), ale nadal widoczna jest tendencja do przedwczesnego zamykania dyskusji nad trudnymi problemami, także natury czysto naukowej. Autor cytuje szereg dzieł i ewenementów międzynarodowego życia naukowego, które świadczą o owym „zwrocie ku sprawom ducha” w obrębie nauki. Dodałbym do tego widoczną zaledwie od kilku lat swoistą „rehabilitację” studiów nad ludzką świadomością³. Jest to ogromnej miary przedsięwzięcie międzydyscyplinarne, łączące we wspólnym wysiłku metody neurologii (z udziałem mechaniki kwantowej), genetyki, informatyki, psychologii i innych dyscyplin aż po refleksję filozoficzną, nieobcą także tradycyjnej metafizyce i teologii. Ogromna szansa i dla nauki, i dla otwartego i służebnego wobec świata Kościoła.

Antoni POSPIESZALSKI

3. Centralnym organem i forum tego ruchu jest periodyk *Journal of Consciousness Studies*, którego pierwszy numer wyszedł dopiero na wiosnę 1994 r. Nie mógł on zatem być znany autorowi omawianej książki, której francuski oryginał ukazał się już w r. 1990. Osia przedsięwzięcia jest tzw. *hard problem*, pytanie, jak zdeterninowany prawami przyrody rozwój materii mógł doprowadzić do wyłonienia się z niej nie tylko życia, ale i świadomości. Innymi słowy, dlaczego wszystkie procesy fizyczne, także procesy życia, nie odbywają się w całkowitej ciemności, nie obserwowane przez żaden podmiot istnienia. Dlaczego, i może w jakim celu? Pytanie klasycznie religijne.

Jeśli zaś chodzi o „zwrot ku sprawom ducha”, pozwalam sobie przypomnieć czytelnikowi przypis (6) do mojego artykułu w kwietniowym numerze *Kultury* (Nr 4/1996), ilustrujący fascynację dzisiejszych fizyków pojęciem Boga.

Notatki Redaktora

Rząd uchwalił obowiązek ściągania podatku VAT od książek i czasopism. Nałożony podatek będzie ściągany progresywnie, a w roku 2000 osiągnie 7%. Dotąd stosowano tzw. podatek zerowy.

Jest to poważny cios dla ruchu wydawniczego i niewątpliwie spowoduje ogromne zmniejszenie popytu na książki i czasopisma. (Jest to tym dziwniejsze, że zapewne dochód z tego podatku będzie niewielki). Ponadto minister kultury, p. Podkański, zamierza cofnąć subwencje czterdziestu czasopismom z ogólnej liczby stu, które do tej pory korzystały z dotacji ministerstwa. Zakwestionowana liczba obejmuje tak ważne periodyki jak: *Karta*, *Borussia*, *Pamiętnik Literacki*, *Dekada Literacka*, a nawet *Kontrapunkt* – dodatek literacki do *Tygodnika Powszechnego*. Ale, co najważniejsze, ma być także cofnięta dotacja dla wszystkich pism ukraińskich wychodzących w Polsce oraz dla białoruskiej *Niwy* ukazującej się w Białymstoku.

Minister Podkański, którego zainteresowania ograniczają się do Cepelii jest prawdziwym nieporozumieniem. Jest to klasyczny przykład polityki Stronnictwa Ludowego, które jest niezmiennie zachłanne jeśli idzie o opanowywanie stanowisk państwowych, niestety nie dysponując specjalistami. Szkoda, że odszedł Kazimierz Dejmek, który był niewątpliwie najlepszym ministrem kultury ostatnich lat. Jego odejście jest tym dziwniejsze, że – o ile mi wiadomo – był zbliżony do Stronnictwa Ludowego.

Ostatnio mamy bardzo napięte stosunki z Białorusią, której wchłanianie przez Rosję przedstawia dla nas największe niebezpieczeństwo. Niestety, poza słownymi deklaracjami, czy

konferencjami, nic się nie robi. Ambasada polska w Mińsku nie jest obsadzona, nie funkcjonuje tam Instytut Polski, o którego powołanie *Kultura* walczy od paru lat. Książki i czasopisma polskie są tam niedostępne. Naszym zadaniem jest pomoc w rozwoju świadomości narodowej Białorusinów i opieka nad mniejszością polską na Białorusi. Proponujemy, by na uniwersytecie w Białymstoku otworzyć katedrę historii i kultury białoruskiej.

Nie najlepiej jest z naszymi stosunkami z Ukrainą. Zdało się, że wszystko jest na najlepszej drodze: wizyta prezydenta Kuczmy w Polsce, przygotowywany Festiwal Kultury Polskiej we Lwowie na jesieni br., a jednocześnie wybucha konflikt spowodowany demontażem kopuły na kościele św. Teresy w Przemyślu, który do 1946 r. był katedrą Kościoła grecko-katolickiego. Konflikt ten – ponownie sprowokowany przez zakon oo. karmelitów bosych – praktycznie został zaprobowany przez miejscowego wojewodę, Stanisława Bajdę. Reakcja sejmu, a właściwie Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych była bardzo miękka. Kto wreszcie ponosi odpowiedzialność w rządzie za naszą politykę wschodnią? Z rosnącym niepokojem obserwuję, że wielu wojewodów zaczyna prowadzić własną politykę. Tak było z Oświęcimiem, to samo dzieje się na Suwalszczyźnie, gdzie ciągle są jakieś zakulisowe działania w sprawie autostrady łączącej Obwód Kaliningradzki, która przez Polskę ma prowadzić do Białorusi i Rosji. Rząd przejawia tu całkowitą bezradność. Jest pytanie, czy wojewoda jest urzędnikiem państwowym wykonującym polecenia rządu, czy przedstawicielem którejś z partii prowadzącym własną politykę: albo zwykłe samodurstwo?

Duży niepokój wywołuje polityka personalna MSZ-u. Ogromna liczba placówek dyplomatycznych jest nieobsadzona. Ambasador Ciosek w Moskwie ma podobno odejść w czerwcu br., a więc właśnie w okresie dla nas tak ważnym – wyboru prezydenta Rosji – a nie widać następcy. Lansuje się

w plotkach dziennikarskich nieprawdopodobne kandydatury, a kilku specjalistów od problematyki rosyjskiej, których przecież mamy tak niewielu, nie jest branych pod uwagę z powodów polityczno-partyjnych. Kilka ostatnich nominacji to ludzie w przededniu emerytury, a więc praktycznie za chwilę będzie aktualna sprawa ich następców. Niepokojące jest zjawisko braku szkolenia nowych kadr, a mamy przecież dobre przykłady do naśladowania z okresu drugiej Rzeczypospolitej, o czym wielokrotnie pisałem.

W Polsce uczy się obecnie ok. 2.300 Polaków ze Wschodu, głównie z Ukrainy, Białorusi i Litwy, ale także z Łotwy Rosji i Kazachstanu. Z tej liczby 1.640 osób studiuje na wyższych uczelniach. Są 124 doktoraty. Duża część przyjętych na studia Polaków ze Wschodu ma duże trudności w nauce. Wynika to z niższego poziomu szkół średnich na Ukrainie i Białorusi. Praktycznie biorąc te studia są głównym kanałem imigracyjnym dla najzdolniejszych, bowiem tylko jednostki wracają do swego kraju. Jest bardzo ważne odtworzenie inteligencji wśród Polonii na Wschodzie, ale znacznie praktyczniejsze byłoby przyznawanie im stypendiów na studia na terenie ich krajów. Obecnie stosowana metoda przyznania się tylko do osłabiania Polonii a nie jej wzmocnienia.

Pan Wiesław Górnicki na łamach *Trybuny* warszawskiej z 30-go kwietnia br. w ogromnym artykule pt. „Medal” zdemaskował aferę zorganizowaną – jego zdaniem – latem 1982 r. przez CIA. Mianowicie, otrzymał on wtedy reprodukcję medalu „Za usmirenje polskowo miatieża” nadawanego Polakom i Rosjanom zasłużonym w tłumieniu powstania styczniowego wraz z odpowiednim dyplomem. Zdaniem p. Górnickiego mogło to być tylko CIA ze względu na to, że operacja musiała być niezmiernie trudna i kosztowna. Rzeczywistość była znacznie prostsza. W czasie stanu wojennego zastanawialiśmy się jak napiętnować ludzi, którzy brali czynny udział w tłumieniu ruchu solidarnościowego. Zna-

lałem w zbiorach Zygmunta Hertza, który był namiętnym kolekcjonerem, ten właśnie medal. Postanowiliśmy to wykonać robiąc bardzo wierną reprodukcję medalu oraz wydrukowaliśmy na czerpanym papierze w języku polskim i rosyjskim świadectwa imitujące XIX-wieczny dokument. Te właśnie świadectwa datowane 13.12.1983 r. stwierdzały, że odznaczenie zostało odnowione w 120-ą rocznicę tego buntu wobec wybuchu nowego. W miejscu, gdzie przed laty był podpis namiestnika państwa polskiego, podaliśmy podpis gen. Jaruzelskiego. Medal ten wraz z dyplomem, za pośrednictwem naszych przyjaciół w kraju, rozesłaliśmy do kilkunastu osób, które zasługiwały na napiętnowanie. Na tej liście, na poczesnym miejscu, figurował także p. Górnicki.

Cała operacja była mało kosztowna.

W naszym archiwum zachowało się kilka egzemplarzy medali i dyplomów. Nie wykluczone, że damy je na aukcję celem zasilenia Funduszu *Kultury*.

REDAKTOR

MARC S. FRANCISZKOWSKI
LETTRES SLAVES
LIBRAIRIE – EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS
Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową
Na życzenie wysyłamy katalogi

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Moskwa się zmienia. Kiedy po bardzo długiej nieobecności wróciłem do mego rodzinnego miasta, miałem wrażenie, że stolicę byłego imperium sowieckiego zbombardowano. Wzdłuż głównych ulic stały na pół rozwalone albo niedokończone budynki, a ulice, autobusy i samochody tonęły w brudzie. Tym razem, w kwietniu 1996 roku, miasto wyglądało znacznie lepiej.

Nowe oblicze Moskwy jaśniej zwłaszcza, kiedy spojrzeć na nią z Wróblích Wzgórz (dawniej Lenina): nad miastem unosi się złota kopuła Cerkwi Świętego Zbawiciela, wzniezionej w rekordowym tempie. Wystrój wnętrza będzie wymagał jeszcze kilku lat, ale złota kopuła już rywalizuje z cebulami kremlofskich cerkwi. Dawno temu stolicę prawosławnego cesarstwa nazywano miastem czterdziestu czterdziestek cerkwi – inaczej mówiąc tysiąca sześciuset cerkwi. Pamiętam z nieskończenie dalekiego dzieciństwa Moskwę mniej więcej taką, jak dziś. Widziałem, jak znikają cerkwie, jak burzono Cerkiew Świętego Zbawiciela. Kiedy bohater Andrieja Płatonowa Makar zwątpił w rewolucję, udał się do Moskwy szukać prawdy tam „gdzie biegło życie, pod złotymi kopułami cerkwi i wozów”.

Złote kopuły cerkwi znów jaśniej nad miastem. Pod złotymi głowami wozów rzeczy mają się gorzej. Główna zmiana, jaką dostrzegłem w Moskwie, dotyczyła nie architektury, lecz informacji. Kiedy późnym wieczorem włączyłem telewizor, usłyszałem nowinę: zabito Dżochara Dudajewa. Wstrząsnął mną nie fakt, że zginął prezydent niezależnej Czeczenii. Od dawna rozlegały się głosy: dlaczego Dudajewa nie

zabijają? Co robią „organy”? Wrażenie zrobiło na mnie niedowierzanie spikerki. „Dostaliśmy komunikat, że został zabity” – powiedziała. „Równocześnie – starała się zabezpieczyć – niektórzy mówią, że nie został zabity”. Przez kilka następnych dni telewizja, radio i gazety spierały się: zabity czy nie zabity? A jeśli zabity, to czy to dobrze dla Rosji, czy źle? Mnożyły się wersje, jak zginął: trafiony rakietą w czasie rozmowy telefonicznej, zabity w utarczce z czeczeńskimi współnikami, wcale nie zabity, tylko uciekł na Hawaje... Każdej wersji bronili wybitni specjaliści i słynni eksperci. Słuchałem zdumiony rozmaitością informacji, sprzecznymi stanowiskami, naukowo mówiąc, pluralizmem.

Obserwując ten polifoniczny chór, doszedłem do wniosku, że tłumaczy go nie tyle zwycięstwo demokracji w Rosji, ile fakt, że – jeśli chodzi o zabójstwo Dudajewa – nie było jednolitej linii ani woli. Jakaś wpływowa grupa spośród ludzi, którzy we własnym interesie wywołali wojnę w Czeczenii, postanowiła zlikwidować Dudajewa i dopięła swego, nie zastanawiając się specjalnie, jaki to będzie miało wpływ na dalszy przebieg konfliktu czeczeńskiego. Jeśli o to chodzi, to koncepcje są dwie i zależnie od nich zabójstwo Dudajewa ocenia się pozytywnie albo negatywnie. Ludzie, którzy cieszą się z unicestwienia ojca niezawisłości Czeczeńców twierdzą: wraz z człowiekiem, który ucieleśniał suwerenność Czeczenii i ruch antyrosyjski oraz cieszył się autorytetem, rozpadnie się, a przynajmniej osłabnie i sam ruch. Ludzie, którzy potępiają zabójstwo, uważają, że Dudajew był najpoważniejszym przedstawicielem zwolenników wojny i dlatego mógł być najpoważniejszym partnerem negocjacji.

„Pluralizm” opinii co do wojny w Czeczenii wyraża słabość władzy centralnej. Kampania wyborcza pokazuje ją jeszcze wyraźniej.

Wyniki sondaży wskazują – jak należało się spodziewać – że popularność Borysa Jelcyna wzrasta. Wierzyć tym sondażom nie ma powodu. Nawet najbliższy człowiek Jelcyna, szef ochrony generała Aleksander Korżakow, wyraził niepokój, jaki trawi obóz prezydenta. Korżakow jest człowiekiem milczącym, a tu nagle udzielił dwóch wywiadów: angielskiemu piśmie *Observer* i rosyjskiej agencji *Interfaks*. I Anglikom i Rosjanom powiedział to samo: wybory należy odłożyć na czas nie-

określony, bo w każdym przypadku (zwycięstwo Jelcyna czy Ziuganowa) może dojść do przelewu krwi. Aby bronić pokoju wewnętrznego, należy zostawić na Kremlu Borysa Jelcyna. Dwadzieścia cztery godziny później Borys Jelcyn oświadczył, że przesunięcie terminu wyborów nie wchodzi w rachubę. Wybory odbędą się w przewidzianym konstytucją terminie.

Oświadczenie Korżakowa najrozsądniej traktować jako próbny balon, zapuszczony równocześnie w niebo Wschodu i Zachodu. Reakcja nań zaś wskazuje, że i tu, i tam wybory w przewidzianym ustawą terminie traktuje się jako dowód demokratyzacji Rosji. Dziś, miesiąc przed wyborami, nie ulega wątpliwości, że walka rozegra się między dwoma kandydatami, Jelcynem i Ziuganowem. Michaił Gorbaczow we wszystkich sondażach waha się między 0,5 i 1 procentem głosów. Zdecydowane poparcie dla pierwszego i jedyne go prezydenta ZSSR wyrażają Maria Rozanowa i jej mąż Andriej Siniawski. Maria Wasiljewna oświadczyła, że Michaił Gorbaczow zasługuje na miano „dysydenta numer jeden”, a mordobicie, jakie mu zgotowano podczas podróży przedwyborczej na Syberię, uważa za swego rodzaju pasowanie na prezydenta: „Do Reagana strzelali, do papieża strzelali, a Kennedy’ego wręcz zabili”. Należy rozumieć, że skoro Gorbaczowa pobili, to musi zostać prezydentem. Nie ma żadnych podstaw, by zgodzić się z Marią Rozanową. Gorbaczow trzyma się areny politycznej koniuszkami palców i nie ma żadnych szans. W wydanych niedawno wspomnieniach wpływowego specjalisty od spraw sowieckich, byłego dyrektora CIA Roberta Gatesa widnieje: „Gorbaczow... nie zrozumiał, że system sowiecki nie może przetrwać ani zostać zreformowany bez autorytatywnego centralnego kierownictwa”. Odpowiadając Rosjanom, którzy uważają, że Gorbaczow był agentem CIA, Gates pisze: „Na szczęście nie był. Żaden agent nie mógłby tak skutecznie przyczynić się do rozpadu ZSSR”. Do tego można tylko dodać, że Rosja o tym pamięta.

W kwietniu wiele mówiono o narodzinach „trzeciej siły” – ewentualnym sojuszu między Grigorijem Jawlinskim, generałem Lebidem i słynnym okulistą Swiatosławem Fiodorowem. W sondażach każdy z nich zbiera 8-10% głosów. Przez jakiś czas wydawało się, że ich wspólny blok jest możliwy: pozwoliłoby to znaleźć kandydata tym wszystkim,

którzy nie chcą głosować ani na Jelcyna, ani na Ziuganowa. Dziś prawdopodobieństwo bloku trzech outsiderów wydaje się minimalne. Każdy z nich pretenduje do pierwszego miejsca.

Sytuacja w przeddzień wyborów w Rosji do złudzenia przypomina Polskę przed ostatnimi wyborami. Szczególnie podobny jest stan obozu demokratycznego. „Białą nadzieją” demokratów, części byłych dysydentów, w tym Kowaliowa i Eleny Bonner – jest Grigorij Jawlinski. Szans na zwycięstwo Jawlinski nie ma. Demokraci apelują jednak o głosowanie na niego: jest oczywiste, że nie chcą głosować na komunistów, ale nie chcą też poprzeć Jelcyna, winnego krwawej wojny w Czeczenii. Demokraci odmawiają wyboru między większym złem – komunistami – i mniejszym – Jelcynem. Chcą mieć czyste ręce. Piękna to ambicja, zrealizować jej jednak nie sposób, jeżeli chce się zajmować polityką. Prawdziwy wybór dokonuje się w tym punkcie: polityka albo czyste rece. Nasilenie brudu bywa różne, ale zajmować się polityką nie kalając sobie ręk można tylko w opozycji i tylko wtedy, jeżeli nie ma się żadnych szans na zdobycie władzy.

Można zasadnie domniemywać, że Grigorij Jawlinski, który chce aktywnie uczestniczyć w życiu politycznym, zgotuje swoim zwolennikom przykrą niespodziankę. Borys Jelcyn spotkał się z nim (podobnie jak z dwoma pozostałymi kandydatami „trzeciej siły”) i w zamian za poparcie zrobił mu szereg propozycji. Prowadzi się rozmowy, przetargi.

Ustawa wyborcza pozwala na głosowanie (w drugiej turze) przeciw obydwu kandydatom. Jeżeli liczba głosów „przeciw obydwu kandydatom” okaże się większa aniżeli liczba głosów oddanych na jednego z nich – na przykład Jelcyn dostanie 30%, Ziuganow 29%, a przeciw obydwom zagłosuje 31% wyborców – wybory zostaną anulowane i wyznaczone ponownie, z wyłączeniem obu przegranych kandydatów.

Główni kandydaci dokładają starań, by zdobyć głosy wyborców. Borys Jelcyn, który stara się uwieść kogo się da, równocześnie głosi hasła zdecydowanie antykomunistyczne i pozwala na paradę wojskową pod czerwonymi sowieckimi sztandarami w Dzień Zwycięstwa. Co prawda odpruto z nich sierp i młot. Została tylko gwiazda.

Korzystając ze swej pozycji, Borys Jelcyn – czytaj organizatorzy jego kampanii wyborczej – stawia na telewizję. Organizatorzy kampanii Gennadija Ziuganowa stawiają na wypróbowane metody propagandy bolszewickiej: ulotki, gazety i agitatorów, którzy chodzą po domach. W odróżnieniu od Jelcyna Ziuganow stara się przekonać tę część wyborców, która i tak jest przekonana. Liczy głównie na rencistów, którzy stanowią około jednej trzeciej wyborców. Ponieważ jest w opozycji, może z łatwością obiecywać złote góry: powrót do szczęśliwej przeszłości i kontynuację „pożytecznych reform”. Które to reformy są pożyteczne, nie mówi. Główny ekonomiczny doradca komunistycznego kandydata, były przewodniczący Gosplanu Jurij Masliukow, kategorycznie odrzuca „model zachodni”. O zaleceniach zachodnich ekonomistów mówi: „To tak jakby mieszkańcy Hawajów zaczęli udzielać rad Eskimosom”.

Prasa komunistyczna wyraża swe zamiary szczerzej aniżeli kandydat na prezydenta. Gazeta *Zawtra* (Jutro) główna kuźnica myśli Ziuganowa, która nazywała się „organem duchowej opozycji”, zmieniła nagłówek na „Gazeta Państwa Rosyjskiego”. Rozpętlży się po Rosji idee znawcy literatury, pracownika Instytutu Literatury Świata Wsiewołoda Troickiego, który wyłożył swe myśli w broszurce pod tytułem „Drogi szkoły rosyjskiej”. Wśród fundamentalnych idei Troickiego widnieje taka oto zasada: „Rosyjską literaturę może wyklądać tylko Rosjanin”. W. Troickiego oburza na przykład fakt, że w podręczniku szkolnym pod tytułem „Mój świat i ja. Drogi jedności”, w rozdziale pt. „Czym jest Bóg”, propaguje się kosmopolityzm: „Buddyzm, hinduizm, islam i chrześcijaństwo postawione są w jednym rzędzie, jako równowarte”.

Gennadij Ziuganow pasuje komunistów na głównych obrońców Boga i prawosławia i podkreśla, że komunizm jest czysto rosyjską ideą. Na dowód kandydat partii komunistycznej przytacza niektóre wypowiedzi Mikołaja Bierdiajewa. Wykorzystuje się wszystko. Burmistrz Moskwy, Jurij Łużkow, prezentując swój pierwszy utwór literacki – autobiografię – zaczyna w te słowa: „Moja książka – to abrakadabra”. Określenie to zaskoczyło mnie. Z dalszej lektury zrozumiałem jednak, że autor mgliście rozumie znaczenie słowa „abra-

kadabra” i uważa je za coś w rodzaju winegretu. Tak do tego podchodząc program Ziuganowa mógłby być abrakadabrą.

Nawiasem mówiąc program Jelcyna też niezbyt się różni od oleistej zawieszyny do sałaty. Obecny prezydent Rosji chciałby zbudować potężną Rosję, nie dopuszczając do władzy partii komunistycznej. Kandydat Ziuganow chciałby wskreszyć potężne imperium z partią komunistyczną na czele.

Zagadnienia polityki zagranicznej odgrywają ważną rolę w programach kandydatów. Borys Jelcyn zdobył bezwarunkowe poparcie Zachodu. Wyraża się ono przede wszystkim w pomocy finansowej.

Odkąd Borys Jelcyn został prezydentem Rosji, jej polityka zagraniczna – którą ucieleśniał Andriej Kozyriew – opierała się na nadziei na „partnerstwo strategiczne” „nowej Rosji” i Stanów Zjednoczonych. Polityka ta legła w gruzach: obaj partnerzy się do niej rozczarowali. Amerykanie uświadomili sobie oczywistą słabość Rosji, a Rosjanie nie uzyskali spodziewanej pomocy. Niedawną podróż Jelcyna do Chin – element kampanii wyborczej – uwieńczyło podpisanie umowy, która kładzie podwaliny pod nowe „strategiczne partnerstwo”.

Gennadij Ziuganow rejestruje sukcesy Jelcyna zapewniając, że jemu pomoc zagraniczna nie jest potrzebna.

Borys Jelcyn niektóre obietnice przedwyborcze spełnił. Wypłacono emerytom zaległe emerytury – a niektórzy już od miesięcy nie dostawali swej nędznej renty, jedyne źródła ich egzystencji. Nie spełnił natomiast głównej obietnicy – nie zakończył wojny w Czeczenii. W pierwszej mowie przedwyborczej obecny prezydent oświadczył: jeśli nie zakończy wojny czeczeńskiej, nie mam szans na wygraną. Dziś nie jest już to takie pewne. Wojna w kaukaskich górach, która każdego dnia przynosi plon zabitych i rannych, ucicha. Może trwać jeszcze długo, jak ropiejąca rana na ogromnym – mimo wszystko – ciele Rosji. Sytuacja kandydata Jelcyna – jeśli chodzi o kwestię czeczeńską – przestała być beznadziejna. Oświadczył: pragnę pokoju i dopnę swego. Kandydat Ziuganow nie ma jasnego programu, jak zakończyć wojnę. Dlatego też prawie o niej nie wspomina.

Wojna na Kaukazie spowodowała jeden niespodziewany a uboczny skutek. Antysemityzm wyraża się dziś w Rosji, w której żyje ok. dwóch milionów Żydów, słabiej aniżeli na

przykład w Polsce, gdzie Żydów liczy się na palcach. Przeprowadzony niedawno sondaż pokazał, że tylko 30% indagowanych uważa, iż Żydzi cieszą się nadmiernymi wpływami na świecie, a tylko 14%, że cieszą się nimi w Rosji. Na kandydata antysemitę gotowe głosować zaledwie 5% wyborców, a tylko 11% uważa, że Żydzi są odpowiedzialni za ukrzyżowanie Chrystusa.

17% indagowanych nie chciałoby mieć Żydów za sąsiadów, ale 54% nie chciałoby mieszkać koło Czezeńców, 39% – koło Cyganów, a 33% – koło Ormian.

Zdaniem socjologów, Żydzi stracili pierwsze miejsce wśród kozłów ofiarnych na rzecz innych narodów. Pytanie, czy należy to uważać za postęp.

15.5.1996

Adam KRUCZEK

Polska i Ukraina: przemyskie zakłócenia przyjaźni

Ostatnio wydawało się, że stosunki polsko-ukraińskie nareszcie wyjdą z impasu i zacznie się nowy okres zbliżenia i współpracy. Nowy minister spraw zagranicznych w Warszawie, Dariusz Rosati przerwał początkowe milczenie i w swym *exposé* w Sejmie nadał stosunkom z Ukrainą bardzo wysoki szczebel. Krótko przedtem w podobny sposób wyraził się w swym pierwszym wywiadzie dla prasy ukraińskiej. Nowe akcenty padły też podczas wizyty Jerzego Milewskiego u czołowych polityków ukraińskich w Kijowie. Przy tej okazji prezydent Leonid Kuczma opowiedział się za ścisłym partnerstwem z Polską.

Radosne wieści napływają z dziedziny kultury i nauki. Ukazał się ukraiński tom „Literatury na świecie”, prezentujący czytelnikowi polskiemu nieznane mu dotychczas teksty

współczesnych autorów „nowej fali” a więc Jurija Andruchowycza, Ołeksandra Irwancia i innych. Niestrudzona Ola Hnatiuk z dużym wyczuciem artystycznym sporządziła tomiki poezji ukraińskiej. Ukazał się znakomity numer ukraiński czasopisma *Mówią wieki*, oferujący przekrój dziejów Ukrainy od Chmielnickiego do współczesności. A przed kilkoma miesiącami odbyła się na łamach *Gazety Wyborczej* długa debata polsko-ukraińska na temat walk bratobójczych na Wołyniu podczas ostatniej wojny, zaś na łamach tygodnika *Polityka* odżył na nowo stary spór o „Trylogię” Sienkiewicza, w którym zwyciężyli po raz wtóry apologety pisarza.

W dzienniku *Nowa Europa* ukazał się pod koniec lutego bardzo rzeczowy dodatek o współpracy gospodarczej Polski z Ukrainą. A z politycznych prac ostatniej doby warto zanotować świetny esej Marcina Króla w *Życiu Gospodarczym* i mniej udany Włodzimierza Pawluczuka w krakowskim *Zdaniu* powtarzający stare uprzedzenia i stereotypy lub wyłapujący prowokacyjne „smakołyki” z tekstów Oksany Pachłowskiej i Bohdana Cymbalisty (a nie, jak pisze autor „Cimbalistego”, z czego widać, że nie włada ukraińskim). Zakończenie eseju o „narodzie, jako rodzaju wiary” czyni wrażenie zlepką myślowych dziwolągów.

W tym na ogół korzystnym klimacie wystąpił zupełnie niespodzianie w nowej odmianie stary przemyski syndrom szowinizmu polskiego, pałającego nienawiścią do swych pobratymców grecko-katolickich. Duchowni i wierni obrządku rzymsko-katolickiego nie przyjęli do wiadomości, że ukraiński kościół unijny jest też częścią kościoła powszechnego. Obranie sobie starej kopuły katedralnej w Przemyśle jako obiektu nowego aktu wandalizmu przypomina równie barbarzyńskie niszczenie cerkwi na Chełmszczyźnie krótko przed drugą wojną światową. Najgorsze, że polska hierarchia kościelna nie znajduje słów potępienia na szowinistyczne występkę swoich owieczek i milczy jak zakłęta. Czyżby się solidaryzowała z syndromem przemyskim? Myślę, że Papież powinien w przededniu rocznicy Unii Brzeskiej zająć stanowisko wobec wydarzeń w Przemyśle. Wydaje się, że prowokacja została przemysłnie ułożona w czasie, aby pokrzyżować plany nowego etapu zbliżenia pomiędzy Warszawą a Kijowem. Prowokacja wywołana *nota bene* przed zbliżającą się wizytą prezydenta Leonida Kuczmy w Polsce.

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

50-lecie miesięcznika *Znak*

„Ten tylko buduje, kto buduje trwale”. Ta sentencja konserwatywnego myśliciela z XIX wieku, Waleriana Kalinki, zdaje się świetnie pasować do środowiska *Znaku*. Miesięcznik *Znak* powstał w rok po *Tygodniku Powszechnym*, w 1946, z przyzwolenia kardynała Adama Sapiehy, który dał środowisku kościelny patronat. Udało się wtedy w Krakowie, tuż po zakończeniu wojny, skupić młodych intelektualistów katolickich z Krakowa, Wilna i Lwowa. Polityczna opcja, którą przyjęli założyciele pisma, była wyrazem dalekowzrocznego realizmu, próbą stworzenia intelektualnego przyczółka w kraju opanowanym przez rządy komunistycznej dyktatury. Jeden z głównych ideologów grupy i zarazem redaktor miesięcznika Stanisław Stomma, ów programowy realizm wyraził m.in. w głośnym artykule „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików polskich”. Miesięcznik prowadził z konieczności podwójną grę: z jednej strony unikał współczesnych tematów politycznych, obawiając się sankcji władz komunistycznych, z drugiej zaś strony – szukając oparcia w instytucji Kościoła, jednocześnie swoją „europejską” orientacją narażał się hierarchii kościelnej, preferującej zdecydowanie religijność ludową.

Co wniósł *Znak* do tradycji intelektualnej? Jakie idee starał się zaszczerpić? Czy organicznikowska orientacja przyniosła wymierny skutek? W ciągu 50-ciu lat wydano 490 zeszytów. Programowa linia *Znaku* była konsekwentnie realizowana przez kolejnych redaktorów naczelnych pisma: Hannę Malewską, Jacka Woźniakowskiego, Bohdana Cywińskiego, Stefana Wilkanowicza, a obecnie Jarosława Gowina – mło-

dego filozofa, autora książki „Kościół po komunizmie”.

Znak starał się być katolicki w rozumieniu powszechności, otwierał się na francuską myśl chrześcijańską oraz inne współczesne prawdy w filozofii i teologii, propagował ekumenizm, prowadził refleksję nad rolą świeckich w Kościele i zasadami Soboru Watykańskiego II. Warto wymienić kilka znaczących inicjatyw *Znaku*: zeszyty poświęcone judaizmowi i historii Żydów polskich, zeszyt „niepodległościowy” (eseje i studia o historii II Rzeczypospolitej), numer ukraiński i rosyjski, podwójna edycja *Znaku* o idei polskości, czy choćby *Znak* o zjawisku kiczu w sztuce religijnej.

Miesięcznik uhonorował swój jubileusz sesją „Chrześcijaństwo przyszłości” (18-20 kwietnia). Futurologiczne rozważania podjęli m.in.: Nikolaus Lobkowicz, Siergiej Awierincew, Jan Andrzej Kłoczowski OP, Krzysztof Dorosz, ks. Józef Tischner. Kryzys duchowy współczesnego Kościoła został najdobitniej ukazany w wystąpieniach Lobkowicza i Awierincewa. Wychodząc z odmiennych przesłanek intelektualnych i tradycji, doszli oni do tego samego przekonania, że nadzieją chrześcijaństwa jest indywidualna wolność i transcendentny kontakt z Bogiem – nie uwarunkowane koniecznie ścisłym związkiem z instytucją Kościoła. Od Kościoła katolickiego oczekuje się u schyłku drugiego tysiąclecia krytycznej refleksji nad swoją historią i misją. W dyskusji pytano, czy dojdzie do reinterpretacji pojęcia herezji w Kościele? Czy zostaną w końcu rehabilitowani Luter i Hus?

Sesję zamknął panel „Przyszłość Kościoła w Polsce”. Procesy zachodzące w Kościele polskim na razie nie zwiastują przełomu. Być może to przypadek, ale dający do myślenia. W tym samym czasie, kiedy trwała sesja, papież Jan Paweł II przyjął na audiencji „Radio Maryja”. Do *Znaku* papież przesłał kurtuazyjny telegram. Z tego widać, że Jan Paweł II nie traci z oczu żadnej orientacji w Kościele polskim, które mogą określać jego przyszłość. Wysłał telegram do redakcji *Znak*, błogosławiąc jednocześnie „Radio Maryja”.

Zbigniew BARAN

Zadziwiające?

Lekturę *Tygodnika Powszechnego* zaczynam zawsze od „Świata według Lema”, felietonu, który co prawda budzi często odruch obronny, lecz jednocześnie pozwala trzeźwo, racjonalnie przyrzeć się rzeczywistości. W odróżnieniu od „Rozważań sylwicznych” publikowanych w *Odrze*, są to niewielkie, lecz treściwe porcje spostrzeżeń o tym, co się wokół nas i z nami samymi dzieje. Optymistycznie to nie brzmi, jednakże i do zupełnej rozpaczyny Lemowi daleko. Co jakiś czas autor pociesza sam siebie, że skutków obecnych przeobrażeń cywilizacyjnych już raczej oglądać nie będzie, ale pociecha to słaba dla dzieci i wnuków, którym wszak przyjdzie to wszystko rejestrować na żywo i w kolorze.

Felietony Lema zebrane w tomiku zatytułowanym złośliwie „Lube czasy”* warte są uwagi z wielu względów. Autora znamy przede wszystkim jako jednego z ojców współczesnej fantastyki (wielokształtnej i wielowątkowej), mniej natomiast jako autora zaangażowanego w sprawy aktualne. To, co interesuje pisarza, to przede wszystkim diagnostyka – stawianie pytań, ujawnianie problemów, wychwytywanie konstelacji zjawisk charakteryzujących naszą współczesność. Przy czym to, co mnie najbardziej w felietonach Lema pociąga, to fakt, iż pisze je z jakiegoś, może nie kosmicznego, ale wyraźnego dystansu wobec tego, co się w kraju i na świecie wyprawia. Pisze: „Mam wrażenie, że żyję na straszliwym marginesie życia literackiego w Polsce”. I przyznam, że wydaje mi się to dość wygodną pozycją, siedzenie bowiem w centrum budzi emocje, a tak przynajmniej można sobie pozwolić na spokojną refleksję na temat różnorodnych prowokacji młodych pisarzy: „Patrzcie – pokazują – potrafimy powiedzieć takie słowa, że czytelnika skręci. W tym jednak rzecz, że mnie nie skręca”.

I słusznie. W gruncie rzeczy bowiem, to wszystko, co się dzieje zarówno w młodej literaturze, jak w życiu społecznym, niczym nowym nie jest. Ważne natomiast wydaje się zwrócenie przez Lema uwagi na fakt, że te znane skądinąd

* Stanisław Lem, „Lube czasy”. Ułożył Tomasz Fiałkowski, Wyd. Znak, Kraków 1995, s. 154.

działania współcześnie kumulują się w sposób zmuszający przynajmniej do zastanowienia się: chodzi o kondensację postaw destrukcyjnych przy całkowitym niemal braku przeciwstawienia się narastaniu owej spirali niszczenia. Coraz częściej spotykane akty terroryzmu nie mającego żadnych poza sobą samym uzasadnień, natężenie brutalności w środkach masowego przekazu, zmieniających się jako żywo w środki masowego rażenia, piętrzenie prowokacji, stężenie wulgaryzmów w języku zarówno mówionym, jak pisanim – wszystko to widziane osobno jeszcze nie porusza, zobaczone natomiast z rozleglejszej perspektywy ujawnia znamieny rys „lubych czasów”, w jakich nam przyszło żyć: zanik kreatywności pojmowanej jako dążenie do wyniesienia się na (przepraszam za określenie zupełnie nie pasujące do atmosfery współczesności) duchowe wyżyny połączone z pragnieniem utopienia jednostki w jakimś szambie przeciętności, której jedną z miar stała się w USA zasada *political correctness*, zaś u nas kultywowanie hasła „nie wychylaj się”.

Lema to drażni, czemu się specjalnie nie dziwię, ale mógłby się przecież zastanowić nad tym, czy nie ma w tym wszystkim pewnej logiki niejako „nadludzkiej”. Można by bowiem zartem założyć, że obecnie obserwowany zanik kreatywności jest jakimś naturalnym mechanizmem, hamującym tempo przeobrażeń, nad którymi człowiek przestał panować. Znaleźliśmy się zapewne w sytuacji ucznia czarnoksiężnika – formuła uruchamiająca szybkość przemian została, być może bezwiednie, wypowiedziana. Wszystko się rozpędziło i powoli przestajemy rozumieć świat, który nas otacza. By przetrwać i by opanować to wszystko, potrzebna jest może zapasność cywilizacyjna, zwolnienie, a może nawet cofnięcie się, w każdym razie jednak wyhamowanie. Te wszystkie fundamentalizmy, które na naszych oczach wyłaniają się ponad liberalny porządek demokratyczny (ale na jak małym skrawku planety ład ten panuje!), a mające wyraźne tendencje „wsteczne”, są być może ratunkiem przed szaleństwem przyspieszenia. Żartuję, oczywiście, ale to taki żart wyrastający z pamięci o tym, że jak dotychczas wszelkie krzywe wzrostu po gwałtownych skokach cechuje okres złagodzenia tempa, jakby czasu autorefleksji (natury, techniki). Ze czegoś takiego ludzkości trzeba, to nie ulega chyba wątpliwości. Zresztą już kiedyś i Miłosz, bodając w „Ziemi Ulro”, zastanawiał się czy w najbliższej przyszłości nie czeka nas jakaś forma teokracji. Dla mnie osobiście nie jest to miła perspektywa, lecz może, gdy

ujrzyć ją z globalnego punktu widzenia, ma ona jakiś sens. Na osobną uwagę zasługują felietony Lema, zgromadzone w ostatnim rozdziale jego zbioru. Dotyczą Polski i tego, co się w kraju dzieje po roku 1989. Bez wątpienia w ciągu już siedmiu lat od odzyskania suwerenności udowodniliśmy światu, że nie umiemy uzasadnić swego istnienia, czyli odpowiedzieć na pytanie po co komu kraj taki miałby być potrzebny. Bijemy rekordy Guinnessa w marnowaniu niepowtarzalnych szans. W tym kontekście na podkreślenie zasługuje uwaga Lema o polskich politykach: „Polityk, który trzyma się tylko tego, co może się przydarzyć w jego kadencji, a potem – uważa – niech wszystko diabli wezmą – to jest bardzo groźne”. Brak perspektywy dalszej niż następne wybory, niezdolność myślenia w kategoriach państwa, swoisty skansen polityczny jaki sobie od lat fundujemy – te zjawiska wyznaczają przestrzeń naszej tymczasowo suwerennej nie tyle egzystencji, co wegetacji. Dotyczy to tak poszczególnych aktorów sceny politycznej, jak całego społeczeństwa. I trudno się nie zgodzić ze zdaniem zamykającym „Lube czasy”: „Mój ojciec zawsze powtarzał: takie zdumiewające zjawisko jak w 1918 roku, żeby padły równocześnie i państwa centralne, i Rosja, to cud. Wydawało się to rzeczywiście niemożliwe, bo jedna ze stron powinna, logicznie rzecz biorąc – w takim konflikcie zwyciężyć. Ojciec mój niestety nie dożył drugiego cudu – bo to w końcu też cud, że Sowiety się tak jakoś nagle rozpadły i zapadły. A najbardziej zadziwiające, że wagi tego wszystkiego olbrzymia większość mojego narodu w ogóle nie zauważyła”. Czy rzeczywiście jest to aż tak zadziwiające?

Leszek SZARUGA

Jubileusz Instytutu Literackiego na Harvardzie

W kwietniu br. Krzysztof Pomian wygłosił na Wydziale Historii Uniwersytetu Johna Harvarda (Cambridge, Massachusetts) trzy wykłady pt. „*Culture as politics: the Polish Literary Institute 1946-1996*” („Polityka przez kulturę:

polski Instytut Literacki 1946-1996”). Wykłady te odbyły się pod patronatem Fundacji im. Augusta Zaleskiego, która finansuje coroczny wykład z nowożytniej historii Polski na Uniwersytecie Harvarda, *The August Zaleski Memorial Lecture*. Fundacja zawdzięcza swoje istnienie siostrzenicy prezydenta Zaleskiego, Marii Ewelinie Żółtowskiej, wdowie po prof. Wiktorze Weintraubie, która chciała w ten sposób uhonorować pamięć po swoim wuju. W latach ubiegłych na wykład zaproszeni byli znani i wybitni historycy: Piotr S. Wandycz, Jerzy Jedlicki, Marcin Król, Norman Davies, Wojciech Roszkowski, Andrzej Walicki i Bronisław Geremek.

Krzysztof Pomian mówił o trzech kierunkach działalności Instytutu jakimi były: wypracowanie i propagowanie nowej koncepcji miejsca Polski w Europie; popieranie niezależnej polskiej literatury; inspiracja i pomoc wszystkim działaniom zmierzającym ku rozszerzeniu zakresu swobody w kraju i ku rozluźnieniu podporządkowania Polski ZSSR. Chociaż sam wykładowca był bardzo powściągliwy w jej ocenie, nie ulega wątpliwości ogromna rola Instytutu w powojennej historii Polski. Tak np. trudno przecenić znaczenie politycznej publicystyki *Kultury* w zmianie tradycyjnego sposobu myślenia polskiej inteligencji o stosunkach Polski z jej sąsiadami. Dziś główne elementy koncepcji propagowanej przez *Kulturę*, jak pojednanie z Niemcami, uznanie granic, poparcie dla niepodległości Białorusi, Litwy i Ukrainy, są przyjmowane jako coś oczywistego przez większość krajowej elity politycznej.

Niezwykła w skali bloku była rola Instytutu jako swego rodzaju *clearing house* politycznych opinii i kontaktów osób zaangażowanych tak w działalność opozycyjną różnych odcieni, jak i związanych z władzami PRL. Krzyżowały się w Instytucie drogi ludzi ze środowisk katolickich i jak rewizjonistów. Czy te kontakty nie przyczyniły się do stworzenia atmosfery, w której możliwe okazało się wynegocjowanie abdykacji PZPR w 1989?

Ze względu na zasługi *Kultury* dla zbliżenia polsko-ukraińskiego, naturalnym ukoronowaniem wykładów była dyskusja okrągłego stołu pt. „Ukraina i Polska: refleksje nad okresem powojennym i stosunkami w epoce po-komunistycznej” zorganizowana przez Ukraiński Instytut Naukowy Uniwersytetu Harvarda. Obok Krzysztofa Pomiana wzięli w niej udział profesorowie: dyrektor Instytutu George Grabowicz

(literatura ukraińska), Roman Szporluk (historia Ukrainy) i Teresa Rakowska-Harmstone (nauki polityczne).

Dyskutanci zgadzali się, że zbliżenie polsko-ukraińskie jest pożądane i byłoby korzystne dla obu stron. Według Krzysztofa Pomiana dążenia do narodowej emancypacji były główną przyczyną upadku sowieckiego imperium ale byłoby tragedią jeśli doprowadziłyby one do odnowienia tradycyjnych konfliktów. Pomian zwrócił uwagę na szczególną odpowiedzialność historyków w przewyżczeniu i neutralizowaniu odziedziczonej pamięci historycznej. George Grabowicz i Roman Szporluk mówili o nie wykorzystywanych na Ukrainie możliwościach czerpania z polskich doświadczeń tworzenia narodowej kultury i traktowania Polski jako bliskiej i stosunkowo łatwo dostępnej części tej „Europy”, do której Ukraina chciałaby się zbliżyć.

Z drugiej strony również zgodnie stwierdzono, że tak w Polsce, jak i na Ukrainie współpraca i kontakty polsko-ukraińskie nie wzbudzają zainteresowania. Profesor Grabowicz zwrócił też uwagę na trudności nawiązania dialogu między obiema kulturami, wynikające z odmiennych założeń na jakich są one zbudowane. Tak np. polska historiografia jest „państwowo-centryczna”, gdy ukraińska jest radykalnie narodnicka.

Dyskusja o sprawach polsko-ukraińskich nie mogła pominąć kwestii Rosji. Krzysztof Pomian podkreślał, że polsko-ukraińskie zbliżenie nie powinno odbywać się na gruncie antyrosyjskim. Według prof. Rakowskiej-Harmstone głównym celem rosyjskiej polityki jest odzyskanie pozycji hegmona, najpierw na obszarze WNP a w dalszej perspektywie w Europie Wschodniej. W tej sytuacji polskie sympatie dla ukraińskiej niepodległości będą w Rosji kwalifikowane jako przejaw antyrosyjskiego nastawienia.

Podsumowując dyskusję o perspektywach polsko-ukraińskiej współpracy, nie sposób nie zauważyć, że obie strony myślą głównie o tym co mogą od takiej współpracy dostać a nie co mogą do niej wnieść. Tymczasem, jak pokazuje chociażby przykład Unii Europejskiej, aby współpraca „zaskoczyła”, zwykle nie obchodzi się bez początkowych subsydiów ze strony zamożniejszej.

Nagrody

Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne przyznało nagrody i wyróżnienia im. Jana Józefa Lipskiego za prace magisterskie obronione w 1995 r. Trzy równorzędne nagrody po 1.000 zł otrzymali: Barbara Kosecka (Uniwersytet Jagielloński) za pracę „Świat Franza Kafki jako rzeczywistość przedstawiona”; Krzysztof Persak (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Odrodzenie harcerstwa w 1956 r.”; Kazimiera Szczuka (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Kobieta upadła jako temat powieściowy ('Pani Bovary', 'Effi Briest', 'Dzieje grzechu')”.

Cztery wyróżnienia otrzymali: Joanna Bałuka (Uniwersytet Wrocławski) za pracę „Koło Poselskie 'Znak' 1957-1961”; Joanna Grądział (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu) za pracę „Pytania zadawane Wisławie Szymborskiej”; Marcin Meller (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Rola myślenia o historii w ruchu 'Solidarność' w latach 1980-1981”; Monika Karolina Sobotka (Uniwersytet Jagielloński) za pracę „Groteska w Grup(pie). Niektóre aspekty groteskowości w formacjach artystycznych lat osiemdziesiątych”.

NAGRODY

LITERATURY NA ŚWIECIE ZA ROK 1995

– w dziedzinie poezji – Wiktorowi Woroszyłskiemu za przekład wierszy Gennadija Ajgiego, zebranych w tomie *Tutaj*, ukazał się nakładem Fundacji Pogranicze w Sejnach;

– w dziedzinie prozy – dwie równorzędne nagrody: Janowi Garewiczowi za przekład dzieła Arthura Schopenhauera „Świat jako wola i przedstawienie”, wydanego przed PWN w Warszawie, oraz Krystynie Rodowskiej za przekład powieści Jeana Geneta „Ceremonie żałobne”, opublikowanej przez Wydawnictwo Mabut w Gdańsku;

– w dziedzinie komparatystyki i translatologii – Andrzejowi Dąbrowce, Ewie Geller i Ryszardowi Turyczynowi, autorom „Słownika synonimów” i „Słownika antonimów”, które ukazały się nakładem Wydawnictwa MCR w Warszawie;

– w dziedzinie inicjatyw wydawniczych – oficynom warszawskim Spacja i Aletheia za wieloczołonową serię książek z zakresu filozofii, historiozofii i politologii;

– nagrodę specjalną – Pawłowi Hertzowi za wybitne osiągnięcia w zakresie przekładu literackiego, ze szczególnym uwzględnieniem dwutomowej edycji „Rosja roku 1839” Astolphe'a de Custine'a wydanej przez PIW.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w marcu i kwietniu 1996 r.

DZIĘKUJEMY:

- POLSKIEMU WYDAWNICTWU EKONOMICZNEMU za przekazanie 1.228 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU WILGA za przekazanie 347 egzemplarzy książek
- PANI ANNIE-MARII KRYSIŃSKIEJ za przekazanie 73 egzemplarzy książek
- PANU BOGUSŁAWOWI JANUSZOWI RADWAŃSKIEMU za przekazanie 754 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU PROKOP za przekazanie 1.840 egzemplarzy książek
- REDAKCJI – FORUM POLONIJNE za przekazanie 500 egzemplarzy pisma
- WYDAWNICTWU BURCHARD EDITION za przekazanie 685 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU NASZA KSIĘGARNIA za przekazanie 30 egzemplarzy książek i 124 egz. pism
- PANU ZDZISŁAWOWI STĘPNIAKOWI za przekazanie 49 egzemplarzy książek
- PANU PAWŁOWI NAWROCKIEMU za przekazanie 193 egz. miesięcznika *Twórczość*
- PANI LIDII NOWAK za przekazanie 43 egzemplarzy książek
- PANI NATALII KARPOWSKIEJ za przekazanie 92 egzemplarzy książek

Nasz adres:

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim,
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,
tel./fax 621-70-75, 628-42-57

Dyrektor
mgr Agnieszka Oknińska-Wawer

Ci, co odeszli

Przygody w łasce

Przygody życia ks. Tadeusza Kirschke – który umarł w Londynie 15 kwietnia br. przeżywszy 87 lat – nie były podobne do przeciętnych kapłańskich losów. Jeśli słowo „przygody” może wydawać się za mało poważne, trzeba je od razu uzupełnić używanym przez ks. Kirschke słowem „łaska”. Powołując się na określenie katolickiej pisarki Raisy Maritain, żony francuskiego filozofa i pisarza, ks. Kirschke, gdy mówił o swym życiu, nazywał je „przygodami w łasce”.

Urodził się w Poznaniu 20 września 1908, tam studiował na wydziale duszpasterstwa zagranicznego i niedługo po wyświęceniu w 1934 r., został wysłany do Francji na pracę duszpasterską w polskich ośrodkach. W czasie wojny został kapłanem wojska polskiego we Francji i towarzyszył jednemu z pułków w wojennej kampanii. Gdy po klęsce Francji dowiedział się, że żołnierze jego pułku są internowani – dobrowolnie do nich dołączył za pomocą różnych forteli, w których pomagali mu francuscy księża. Po miesiącu pobytu wśród nich w Colmar, zgłosił się – znowu jako „ochotnik” – do oflagi polskich oficerów w Murnau. Był w nim, jako jedyny ksiądz, cztery lata. Ale że jednocześnie zajmował się robotą podziemną z AK, Gestapo go wysłodziło i w 1944 r. został osadzony w obozie koncentracyjnym w Flossenborgu i skazany na śmierć. Uniknął jej dzięki uwolnieniu obozu.

Pobyt w obu obozach, gdzie spełniał usługi kapłańskie w niezwykłych nieraz okolicznościach, ks. Kirschke zaliczał do swych specjalnych „przygód w łasce”.

Gdy wojna skończyła się, ks. Kirschke wrócił do Murnau, dokąd zaczęła ściągać młodzież z AK, zwolniona z obozów i którą wziął pod swoje skrzydła. Nie była to zwyczajna kapłańska opieka, tylko osobista, najserdeczniejsza troska o każdego z „podopiecznych”. Czym była niech świadczy to, że po paru dziesiątkach lat, ksiądz i jego „dziecka”, jak ich

nazywał, później rozsiane po całym świecie, tworzyły nadal wielką rodzinę. Ksiądz ich żenił, chrzczył ich dzieci, potem wnuki, chował tych, którzy odchodzili, jeździł – wzywany i zapraszany – na te rodzinne uroczystości do Francji, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Kanady.

Do Londynu przyjechał po wojnie i pracował w duszpasterstwie akademickim, ale po krótkim czasie został zaproszony do powstałego właśnie radia Wolna Europa w Monachium, gdzie pracował, jako redaktor działu religijnego, ponad ćwierć wieku aż do emerytury. Jego religijne audycje, komentarze w sprawach Kościoła, jakich nie mogli wypowiadać krajowi księża i kazania podczas nadawanych nabożeństw, słuchane i cenione dosłownie w całym kraju, zrobiły z niego – jak go nazywano – „duszpasterza całej Polski”.

Skromny aż do przesady, ks. Kirschke nie wspominał nigdy o 50-leciu swego kapłaństwa, ale pamiętali o nim wszyscy przyjaciele, dawni i późniejsi z Wolnej Europy, którzy po kryjomu i nadzwyczaj sprawnie zorganizowali w Londynie w 1984 r. uroczystość jubileuszową. Po koncelebrowanej mszy św. w wypełnionej do ostatniego miejsca kaplicy duszpasterstwa akademickiego i kazaniu opiekuna młodzieży ks. Kukli, odbyło się w Ognisku Polskim tłumne przyjęcie, na którym – na szczęście – było więcej serdeczności i wina niż przemówień. Odczytano tylko laurkę od amerykańskich „dziecek” – kilkadziesiąt podpisów – z zaproszeniem ks. Kirschke na turę po Stanach Zjednoczonych z przystankami u wszystkich rodzin od jednego oceanu do drugiego. A druga laurka, od tych w Anglii, powiedziała mu o darze innej podróży – pielgrzymki do Ziemi Świętej.

I jeszcze raz obchodzono ten jubileusz w sam dzień rocznicy wyświęcenia, 17 czerwca 84. Był wtedy w Paryżu, gdzie pojechał chrzcić Magdę (ze swego „trzeciego pokolenia”), wnuczkę Zofii Romanowiczowej i gdzie w Seminarium Polskim kilkunastu księży koncelebrowało mszę św. na jego intencję. Wielką radością była dla jubilata depesza Ojca Świętego, który swe błogosławieństwo rozszerzył również na wszystkich uczestników jubileuszowych uroczystości.

Ostatnie lata schorowany ks. Kirschke przebywał w londyńskim *Nazareth House* pod idealną opieką angielskich siostr nazaretanek. Znalazł się tam dzięki staraniom swoich oddanych, wdzięcznych „dziecek”, które odwiedzały go do ostatniej chwili. Umarł cicho w obecności trojga z nich. Po pogrzebie w Londynie, prochy jego spoczną w grobowcu rodzinnym w Poznaniu.

Pogrzeb był ostatnią demonstracją miłości, na jaką ks. Kirschke zasłużył swoim życiem dla innych. Często mówi się zbyt pochopnie o niewdzięczności ludzkiej, nie pamiętając, że na wdzięczność trzeba zapracować. Ks. Kirschke do tego stopnia nie myślał o sobie – ku wzruszeniu, czasem nawet ku irytacji bliskich – że trzeba było nieraz brać pod kuratelę jego pensję, by miał z czego żyć, bo wszystko chciał od razu rozdawać.

Ktoś z Monachium przypomniał, że sekretarki Wolnej Europy kupiły mu kiedyś marynarkę, bo stara dosłownie z niego spadała.

Dzisiaj, gdy wykruszyło się i wciąż wykrusza stare pokolenie emigracyjne, coraz mniejsze grono żegna swoich zmarłych, ale na pogrzebie ks. Kirschke nie znalazło się jedno wolne miejsce w kościele św. Andrzeja Boboli.

Przybyły w komplecie dawne dziewczęta z AK, z powojennych Niemiec i Włoch, dziś matki, babki, wdowy; mężczyźni z obozów, w których byli z nim razem, koledzy z Wolnej Europy i ci, którzy poznali go później w Londynie.

Choć nie brakowało niczego z kościelnego ceremoniału – msza św. celebrowana przez 16 księży z arcybiskupem Wesołym na czele, który specjalnie na ten dzień przyjechał z Rzymu; przesłania Papieża i Prymasa Polski, chóry – nabożeństwo miało niepogrzebowe, niezwykle nastrój, który ktoś potem nazwał „Bożą pogodą”. Jakby wciąż brzmiało *Alleluja*, którym przyjęto trumnę w kościele. Czuli to wszyscy.

Jedynie kwiaty na trumnie – białe lilie i czerwone róże – kryły w sobie kilka serdecznych symboli.

Stefania KOSSOWSKA

Profesor Imre Boba

Jednym z przedwcześnie od nas zabranych jest znany historyk, profesor Imre Boba z Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Zmarł w Seattle 11-go stycznia br. po krótkiej ale gwałtownej chorobie, przeżywszy lat 76. Ponad jedną trzecią tych lat poświęcił nauce, pracy badawczej i studentom.

Imre Boba specjalizował się w historii średniowiecznej Europy Środkowo-Wschodniej. Najciekawszą jego pracą jest

książka „*Moravia's History Reconsidered*”, w której – na podstawie długoletnich badań źródłowych i archeologicznych – rzucił zupełnie nowe światło na teorię chrystianizacji wczesnych Słowian. Zakwestionował mianowicie przyjęty powszechnie przez historyków pogląd, jakoby ośrodkiem zachodniosłowiańskiej kultury chrześcijańskiej była część Państwa Wielkomorawskiego leżąca na północ od Dunaju. Ten pogląd propagowali historycy czescy i węgierscy, którym zależało na tym, by nadać ich strefie geograficznej prestiżu kolebki kultury zachodniosłowiańskiej.

Dwaj bracia, Cyryl i Metody – dowodzi w swej pracy prof. Boba – zanim przekroczyli Dunaj, udając się na północ, prowadzili pracę misyjną na obszarze starożytnej Panonii w widłach Dunaju i Sawy, czyli w byłej Jugosławii, a nie na Morawach. Według źródeł zbadanych przez prof. Bobę, jurysdykcja biskupa św. Metodego obejmowała obszar Panonii na południe od Dunaju. Ponieważ w średniowieczu granice jurysdykcji kościelnej pokrywały się z granicami administracji państwowej, władztwo Ratysława i Światopełka musiało obejmować identyczny obszar co jurysdykcja św. Metodego. W konsekwencji ośrodkiem kultury chrześcijańskiej Państwa Wielkomorawskiego było południe a nie północ i znajdowało się w dawnej Panonii.

Poszukując materiałów faktograficznych dla uzasadnienia swej teorii, prof. Boba zbadał wykopaliska nad Sawą w miejscowości Stremska Mitrovica w dzisiejszej Serbii, gdzie prace badawcze prowadził jugosłowiański archeolog, Popowicz. Natrafił on na fundamenty starego kościoła z IX wieku. Pod głównym ołtarzem znaleziono szczątki kości i emblematy biskupie. Konfrontacja wykopalisk ze źródłami pisanymi wskazuje – według Boby – że w fundamentach kościoła był grób św. Metodego.

Imre Boba znał Europę Środkowo-Wschodnią nie tylko jako historyk ale także jako uczestnik i świadek historii. Miał dwie ojczyzny: po ojcu – Polskę, po matce – Węgry.

W RWE Imre Boba pracował w dziale badań. Opuścił radio po siedmiu latach i przeniósł się z żoną do Stanów Zjednoczonych. Osiedlili się w Seattle, gdzie uzyskał doktorat a później profesurę na Uniwersytecie Waszyngtońskim.

Tacy jak on odchodzą za wcześnie.

J.Z. SZYŁEYKO

Książki

Eseje historyczne Iwana Łysiaka-Rudnickiego*

Za co kochamy starych profesorów historii? Za jasność wykładu, za precyzję i odwagę myśli, które sprawiają, że nie ulegają oni dogmatom ideologicznym. Za to, że są zdolni zobaczyć historię swojego narodu w szerszym kontekście. Za wnikliwość i erudycję pozwalającą im lepiej zrozumieć procesy historyczne i zachowania ludzi...

Wszystkie te najlepsze cechy znalazłam u Iwana Łysiaka-Rudnickiego czytając dwutomowy zbiór jego artykułów pt. „Istoryczni ese” („Eseje historyczne”). Poznawanie poprzez Łysiaka-Rudnickiego historii Ukrainy, Ukraińców, ich stosunków z sąsiadami, jest zajęciem naprawdę pasjonującym.

W wyborze „Istoryczni ese” rozprawy naukowe (np. „Ukraińcy w Galicji pod panowaniem austriackim” sąsiadując z rozważaniami historyzoficznymi („Ukraina między wschodem a zachodem”); rzetelne opracowania encyklopedyczne (świetny tekst poświęcony historii ukraińskiego nacjonalizmu pt; „Nacjonalizm”) przeplatają się z pasjonującymi biografiami intelektualnymi ukraińskich myślicieli politycznych („Mychałło Drahomanow”, „Wiacesław Łypynskij”).

O wielkiej uczciwości Łysiaka, jako badacza ukraińskiej myśli politycznej, świadczy bardzo obszerny artykuł poświęcony stosunkom dwóch sztandarowych postaci ukraińskiego konserwatyizmu – Osypa Nazaruka i Wiacesława Łypynskiego („Nazaruk i Łypynskij: historia ich przyjaźni i konfliktu”).

* Iwan Łysiak-Rudnicki, „Istoriczni ese”. Zebrał, uporządkował i komentarzami opatrzył Jarosław Hrycak. Wydawnictwo „Osnowy” i Instytut Derżawnoho Uprawlinnja ta miscewoho samowriaduwanja pry Kabineti Ministriw Ukrainy, Kijów 1994.

Historia ta jest ciekawa i związana z Polską więc dwa słowa o niej. Relacje pomiędzy Nazarukiem i Łypynskim przypominały początkowo układ między uczniem a mistrzem, by z biegiem czasu stać się wrogię i przerodzić się w otwarty konflikt. Jedną z osi sporu był stosunek do Polski. Łypynskij uważał, że Ukraińcy – obywatele II Rzeczypospolitej winni zachowywać się wobec Polski „lojalnie ale nie ugodowo”. Nazaruk zaś, nie bez racji replikował, że „lojalne lecz nie ugodowe stanowisko nakłada na nas (Ukraińców) wszystkie ciężary, które nałożyłaby ugoda, a nie daje żadnej korzyści, którą mogłoby przynieść ewentualne porozumienie” (t.2, s. 219). Inną kwestią, która dzieliła tych dwóch myślicieli, był stosunek do kościołów greckokatolickiego i prawosławnego. W największym uproszczeniu Nazaruk był zwolennikiem okcydentalizacji Kościoła greckokatolickiego (postrzegał go jako bazę ukraińskiego ruchu politycznego); Łypynskij zaś uważał, że prawosławie i wschodnia tradycja z nim związana jest jednym z konstytucyjnych elementów tożsamości ukraińskiej. Podczas lektury tego artykułu ma się wrażenie, że jego autor skoncentrował się głównie na tym, by w sposób jak najbardziej skrupulatny i wszechstronny przedstawić argumenty obu stron sporu. I Nazarukowi i Łypynskiemu towarzyszy przyjazny dystans autora, który nie ferując pochopnych sądów, chce przede wszystkim zrozumieć swoich bohaterów.

Ten przyjazny dystans i chęć zrozumienia opisywanej rzeczywistości jest, w ogóle, jedną z najważniejszych cech pisarstwa historycznego Łysiaka-Rudnickiego. A jest to szczególnie ważne w opisywaniu relacji Ukraińców z ich sąsiadami. W artykułach poświęconych tej problematyce historia jakoś tak naturalnie łączy się z teraźniejszością a refleksja historyka przekształca się we wskazówki dla działań społecznych („Przeciwko Rosji czy przeciwko systemowi sowieckiemu?”, „Stosunki polsko-ukraińskie: ciężar historii”, „Ukraińska odpowiedź na problem żydowski”, „Uwagi do artykułu profesora Cwi Gitelmana ‘Społeczno-polityczna rola Żydów na Ukrainie’”). Stosunki Ukraińców z sąsiadami są przedstawione bardzo wnikliwie bez, jakże często spotykanej, tendencji, by odpowiedzialnością za wszelkie zło obarczyć drugą stronę.

Pomimo przesładowań, których ofiarą była Ukraina w czasach sowieckich, dla Łysiaka było oczywiste, że „Gdyby ktoś chciał utożsamiać Rosję, jako naród, z systemem sowieckim – byłoby to niedopuszczalne uproszczenie” (t. 2, s. 321). Jako jeden z nielicznych ukraińskich publicystów Łysiak-

Rudnicki rozróżnia Rosję i Związek Sowiecki, dlatego nie mógł pogodzić się z prymitywną rusofobią. „Ton, który w stosunku do wszystkiego, co rosyjskie, przyjęła wielka część ukraińskiej prasy emigracyjnej i wielu naszych polityków, to, niestety, ton ‘zoologicznego szowinizmu’” (t.2, s.327).

Do stosunków ukraińsko-polskich Iwan Łysiak-Rudnicki zawsze przywiązywał wyjątkową wagę. Nic więc dziwnego, że artykuł „Stosunki polsko-ukraińskie”... kończy się gorącym zawołaniem: „Miejmy nadzieję i módlmy się, by nigdy już nie powtórzyły się dawne błędy, za które tak drogo w przeszłości płacili Ukraińcy i Polacy” (t.1, s.106). W liście do B. Cymbalistego, Łysiak-Rudnicki pisał: „W pełni doceniam olbrzymie znaczenie stosunków polsko-ukraińskich. Dla mnie to sprawa kluczowa. Nawiązanie współpracy z Polakami mogłoby być dla nas, emigracji ukraińskiej, sposobem na wyjście z teraźniejszej naszej izolacji. W warunkach reżymu komunistycznego, dla ukraińskich intelektualistów Polska jest dziś głównym oknem na świat. W perspektywie ‘oś’ Warszawa-Kijów mogłaby być fundamentem nowego ładu międzynarodowego we wschodniej Europie” (t. 1, s. 500).

Artykuły Łysiaka-Rudnickiego poświęcone tematyce ukraińsko-żydowskiej można porównać na polskim gruncie tylko z publicystyką Jana Józefa Lipskiego. Trzeba było mieć wielką odwagę by w 1974 roku pisać: „Są sytuacje, kiedy milczenie jest nieuzasadnione moralnie, kiedy jest równoznaczne ze współuczestnictwem. Milczenie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (UHW) o potwornościach, których dopuszczali się Niemcy wobec żydowskich obywateli Ukrainy, nie było przypadkowe. Obrazuje ono moralne zepsucie i odczłowieczenie – cechy, które ukraiński nacjonalizm integralny podziela z wszystkimi ruchami i systemami totalitarnymi” (t. 1, s. 138). Kiedy Łysiak pisał te słowa cała emigracja ukraińska koncentrowała się na narodowowyzwoleńczym aspekcie działalności OUN.

Tak bezkompromisowe stanowisko było możliwe, ponieważ dla Łysiaka-Rudnickiego głównymi chorobami XX wieku były nacjonalizmy, szowinizmy i totalitaryzmy wszelkich maści. Dla ukraińskiego historyka: „przyjęcie przez OUN ideologii totalitarnej oznaczało odejście od najszlachetniejszych tradycji przedrewolucyjnego ruchu ukraińskiego; świadczyło o obniżeniu poziomu kultury politycznej, o nikczemności intelektualnej i przytępieniu zmysłu moralnego

wspólnoty ukraińskiej” (t. 1, s.1 38). Łysiak-Rudnicki uważał, że nacjonalizm-szowinizm jest destrukcyjny dla istnienia i przyszłości jego narodu. Dlatego z tak wielkim uporem i talentem przywracał współczesnym sylwetki Drahomanowa czy Łypynskiego.

Zainteresowania badawcze Iwana Łysiaka-Rudnickiego nie ograniczały się do historii ukraińskiej myśli politycznej oraz stosunków Ukrainy z sąsiadami. W polu jego zainteresowania znajdowały się jeszcze m.in. kwestie narodów „historycznych” i „niehistorycznych”, inteligencja i rozwój intelektualny Ukrainy w XIX i XX wieku, Ukraińska rewolucja 1917-1921 roku oraz Ukraina w ramach Związku Sowieckiego.

Lektura tekstów Łysiaka-Rudnickiego to prawdziwa intelektualna uczta. Niestety, w dużej mierze dla polskiego czytelnika niedostępna, albowiem z całego jego dorobku na język polski zostały przełożone bodajże dwa teksty („Nacjonalizm” opublikowany w *Zustrieczach* nr 3-4 z 1990 roku oraz „Ukraina między wschodem a zachodem” – *Znak* nr 4 z 1988). Cóż, miejmy nadzieję, że luka ta zostanie wypełniona. Tym bardziej, że z pisarstwa Łysiaka-Rudnickiego możemy równie wiele dowiedzieć się o Ukrainie jak i o Polsce.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Szabasy z Brandstaetterem*

W przyszłym roku upłynie dziesiąta rocznica śmierci Romana Brandstaettera, wybitnego pisarza katolickiego, pochodzenia żydowskiego, autora wielkiej tetralogii „Jezus z Nazarethu” i wielu tomów poezji i prozy, w tym wzruszającego wspomnienia „Ja jestem Żyd z ‘Wesela’”. Roman Brandstaetter, po trochu jakby zapomniany, na zapomnienie nie zasługuje. Przemysław Bystrzycki, jeden z 316 polskich

* Przemysław Bystrzycki, „Szabasy z Brandstaetterem” Krajowa Agencja Wydawnicza 1995.

„cichociemnych” z lat minionej wojny i autor wspomnienia o swych kolegach, jest człowiekiem zasłużonym, o czym najlepiej świadczy fakt odznaczenia go Orderem Virtuti Militari V klasy. Książka zaś o której kreślę tych kilka uwag, jest świadectwem godnej i pięknej przyjaźni, jaka związała tych dwóch wybitnych Polaków w późnych latach ich życia.

„Szabasy z Brandstaetterem” to rekapitulacja wieloletniej znajomości i jako się rzekło przyjaźni, tyle że zawierającej typowo galicyjskie zamiłowanie do utrzymywania gradusów hierarchii urzędu czy wieku. Obaj zapędzeni do Wielkopolski Galicjanie (Brandstaetter z Tarnowa, Bystrzycki z Przemyśla) zdaje się, że aż do końca sobie – „panowali” zamiast – co jednak prostsze – się „tykać”. Książka jest więc zbiorem wspomnień jednego pisarza o drugim, pisana z należytą atencją i w szlachetnej intencji. Nie wzbudziła we mnie jednak zadowolenia płynącego z lektury (na starość wielbi się wszelkiego rodzaju memuary, bowiem przybliżają to, co już od nas definitywnie odeszło). I piszę te uwagi z niechęcią a na wyraźny ukaz Xięcia-Redaktora; sam z własnej nieprzymuszonej woli bym po prostu nie pisał.

Wspomnienia dotyczą przede wszystkim cyklicznych rozmów odbywanych przy kawiarnianym stoliku, rozmów określanych właśnie przez uczestników jako „szabasy”. I tu zaczynają się moje pretensje do autora, który w swym tekście parokrotnie wyrzuca różnym osobom (przede wszystkim z bezpośredniego otoczenia Piłsudskiego), że nie notowały treści odbywanych rozmów. Tymczasem jak z książki wynika łatwiej stawiać zarzuty niż własnym czynem (nie tyle zbrojnym co piórnym) dokumentować właściwy sposób działania, zmierzający do zachowania tego co ktoś znamienity głosił, a choćby tylko przy stoliku w „W-Z”-ce. Bystrzycki przeważnie nie robił takich notatek, a jeśli robił, to często tak lapidarnie i ... nieporządnie, że po kilku latach – do czego sam się z rozbrajającą szczerością przyznaje – nie potrafi ustalić o co właściwie chodziło. Poza tym sama notatka, że mówiono o tym czy owym, koledze-pisarzu, politycznym wydarzeniu czy problemie biblijnym, nie wystarcza czytelnikowi – on chciałby wiedzieć co o danej sprawie powiedział konkretnie wybitny pisarz, bohater właśnie rzeczonych wspomnień. Maskowanie braku notat i własnej niepamięci nie zastąpią stwierdzenia, że Brandstaetter pytany o coś wykonał nieokreślony gest ręką, błysnął zza okularów swymi wielkimi orzechowymi oczami lub skrył się za obłokiem fajkowego dymu.

Relacja nie przybliży też nadmiernie poznańskiego środowiska intelektualnego, a byłoby to zadanie ważne, gdyż dokumentacji na ten temat zaiste mamy niewiele. Budzą też wątpliwość realia: sporo jest w książce pomyłek i niedbałości (oj, przydałby się jej sprawny a przyjazny redaktor, który uśmierzyłby „literackie fiorituri” autora, a równocześnie wskazał na zupełnie zbędne powtórzenia, które czytelnika śmieszą lub złością). O specyficznym, niedbałym relacjonowaniu niech świadczy jeden przykład (ze s. 176): „I tak przed przeszło rokiem (koniec października 1984 r.) w godzinach popołudniowych nasza znajomego służba bezpieczeństwa. W jego mieszkaniu odbywano jakąś sesję, miał być podany uroczysty obiad (nie wiem, czy nie z powodu ukończonego remontu mieszkania, odnowienia mebli w spadku po teściach – ha! ha!).”

Pomijam całkowicie niestosowny i niezabawny – ha! ha! – komentarz, ale jeśli się podaje jakiś fakt, to należy to robić rzetelnie. Wspomniany przez Bystrzyckiego wypadek odbywał się w ramach kolejnych spotkań, które miały utrzymać ciągłość istnienia zawieszonego podówczas Związku Literatów Polskich. Na zebranie to nie pojechałem, pojechał natomiast (i później mi to opowiedział) Kazio Traciewicz. Otóż zebranie miało się odbyć u Jurka Korczaka, wszelako Kazio – ostrożny i doświadczony w konspirowaniu Krakauer, zbliżając się do wyznaczonej na konwentykiel kamienicy, zauważył kręcących się wokół niej cywilów, niewątpliwie pracowników „Spółdzielni Ucho”. Stąd nie poszedł do Korczaków (i nie został zgarnięty) tylko z najbliższej budki telefonicznej zadzwonił do gospodarza, by go ostrzec. Było za późno: „smutni panowie” wkroczyli do akcji. Potem było tak, jak to Bystrzycki opisał, nikomu włos z głowy nie spadł, tyle że obiad się zmarnował.

Bystrzycki ma też okropny zwyczaj podprowadzania jakiegoś tematu, a potem wycofywania się z uzasadnieniem, że nie chce podawać do publicznej wiadomości rzeczy nieprzyzwoitych, choć – jak z tekstu wynika – Brandstaetter lubił „masne kawały”. Albo pisanie o kimś krytycznie zaśłaniając się zmianą imienia lub fikcyjną literką. Dość mamy w prasie codziennej tych upiornych dyskretności, tych szubrawców określanych jako „Stanisław K.” lub „Jan P.”. Albo nie pisać wcale, albo nie bawić się z czytelnikiem w kotka i myszkę, bo wówczas relacja staje się nieciekawa i bezwartościowa.

No i – jak się rzekło – o „Panu Romanie” dowiadujemy

się z omawianej książki niewiele. Dowiadujemy się więc, że nie lubił innych translatorów, a już szczególnie podrywających mu Pismo Święte, jak Miłosz, na które uważał, że ma „hazukę”. Dowiadujemy się, że nie lubił *Tygodnika Powszechnego* i *Znaku*, a w szczególności Jerzego Turowicza, choć niewykluczone, że Bystrzycki własne fobie przypisał swemu bohaterowi. Podobnie ma się rzecz z PAX-em: nie wiadomo, czy Brandstaetter miał doń stosunek równie entuzjastyczny jak Bystrzycki, choć tam właśnie swe książki najczęściej wydawał. I już całkiem niejasno maluje się tu problem tragicznego zabójstwa syna Bolesława Piaseckiego, co sądził o tym Brandstaetter nie dowiadujemy się wcale, o tym co sądzi Bystrzycki tylko bardzo mgliście. Przypominam: owo porwanie i zamordowanie było związane z jakąś organizacją żydowską i miało być zemstą za antysemityzm ONR-u i jego kontynuatora – PAX-u. Za mało, stanowczo za mało jest w książce o problemie żydowskim a stosunek do tych spraw Brandstaettera: człowieka dwóch kultur i dwóch tradycji – ledwie zarysowany. Natomiast sam Bystrzycki nie rozwija nawet własnych poglądów, które czasem sygnalizuje, jak w przypadku trafnego komentarza (na s. 58) do tragicznego samobójstwa Szmula Zygielbojma.

Książka mnie nie zachwyciła, mam do niej wiele претензji, tę zwłaszcza, że jej autorowi przytrafiło się to, co tak często przytrafia się biografom piszącym o kimś dobrze im znanym: nad postacią bohatera dominować zaczyna postać autora. I w końcu nie wiadomo czy w przypadku „Szabasów z Brandstaetterem” mamy „strzępy meldunków” o tym wybitnym pisarzu czy o Bystrzyckim. Ale dobrze, że choć taka książka została napisana, jest w końcu jakąś dokumentacją osoby, która zasługuje w naszym kraju na dobrą pamięć.

Tadeusz CHRZANOWSKI

„Raptularz” Zbigniewa Raszewskiego*

We wspomnieniu „O Zbigniewie Raszewskim (5 IV 1925-7 VIII 1992)”, ogłoszonym w *Kulturze* nr 1-2/1993, Andrzej Dobosz parokrotnie przywoływał – prowadzony od 1965 aż do śmierci, przez autora „Krótkiej historii teatru polskiego” – „Raptularz” składający się „z większych fragmentów i samostnych całości, przeplatanych wiadomościami z miasta dotyczącymi życia codziennego”. Dobosz opisał ostatnie spotkanie z Raszewskim 28 maja 1992, w trakcie którego mowa była także o przygotowanym do druku „Raptularzu 1967-1968”, poświęconym głównie aferze związanej z „Dziadami” w inscenizacji Dejmką w Teatrze Narodowym i wydarzeniom marcowym. Tom ten nie zdołał się wówczas ukazać z winy wydawcy, co Raszewski „początkowo znosił z przykrością”, ale w końcu doszedł do przekonania, że „rzecz może spokojnie czekać”.

Ów tom, na którego ogłoszeniu Raszewskiemu bardzo zależało, wydany został w kilka miesięcy po śmierci autora. Różne urywki z pozostałych tomów „Raptularza” publikowane były w ciągu ostatnich lat na łamach *Tygodnika Powszechnego*, *Pamiętnika Teatralnego*, *Dialogu*, *Teatru* i *Zeszytów Literackich*. W końcu ukazał się pierwszy chronologicznie tom „Raptularza” zawierający zapiski powstałe pomiędzy 22 listopada 1965 a 17 czerwca 1967 i dający bodaj w sposób najpełniejszy pojęcie o charakterze całego dzieła. „Raptularz” Raszewskiego nie jest bowiem ani dziennikiem intymnym, ani zbiorem roboczych notatek, ani też kroniką współczesności, choć jest tym wszystkim w znacznym stopniu. Raszewski stworzył bowiem formę zdaje się całkowicie oryginalną i pozostawił dzieło w całości przemyślane i opracowane. Pozwoliło to wydawcy dopatrzeć się w „Raptularzu” „powieści o rozluźnionej, postmodernistycznej kompozycji”. (Łatwo sobie wyobrazić rozbawienie połączone z zakłopotaniem Zbigniewa Raszewskiego czytającego te słowa.) Nb.

* Zbigniew Raszewski, „Raptularz 1965-1967”. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1996, s. 272, ilustr.

całkowicie oryginalną formę mają też wspomnienia Raszewskiego „Pamiętnik gapia. Bydgoszcz, jaką pamiętam z lat 1930-1945” (Pomorze, Bydgoszcz 1994) ułożone z szeregu haseł uporządkowanych alfabetycznie niczym w encyklopedii. W „Raptularzu” zapiski diaryistyczne (kartki z dziennika), uczone rozprawy i rozważania warsztatowe, eseje i lakoniczne notatki, sąsiadują z wierszami i tekstami piosenek, plotkami zasłyszczanymi na mieście i kawałami, urzędową korespondencją i prywatnymi listami, reprodukcjami ulubionych obrazów i wycinkami prasowymi. Przy pozorach chaotycznej różnorodności całość jest nader przemyślnie zakomponowana. Wszystko to służyć ma przede wszystkim oddaniu atmosfery epoki. Raszewski bolał bowiem nad tym, że „utworów literackich, które by tę atmosferę skropliły, a potem skryształizowały, nasz okres nie wydał”. Autor „Raptularza” próbuje więc ukazać „świat nie przedstawiony” PRL-u. (Z podobną intencją, nieomal w tym samym czasie, zabierał się za pisanie powieści Tomasz Staliński – Stefan Kisielewski.) Nie jest przypadkiem, że „Raptularz” otwiera zapis rozmowy z Wacławem Zawadzkiem poświęconej Sołżenicynowi i jego opowiadaniom wraz z uwagą, że w literaturze polskiej nie ma obecnie „prozaika umiającego się zdobyć na taki dystans i obdarzonego takim poczuciem odpowiedzialności”. Dlatego też osobną rozprawę poświęcił Raszewski dowcipowi, który „stał się w Polsce Ludowej najżywotniejszym gatunkiem literackim”, zamkniętą jednak obawą czy gatunek ten udźwignie wszystkie zadania „jakie w nowoczesnych społeczeństwach spoczywają zwykle na barkach literatury”.

W swym pisarstwie łączy Raszewski rzeczowość historyka z upodobaniem do precyzyjnego opisu detalu w duchu podziwianego Flauberta. Formuła „Raptularza” zmusza autora do przedstawiania zdarzeń, których był uczestnikiem lub świadkiem, znanych z pierwszej ręki. Zdawać by się mogło więc, że perspektywa historyka teatru, zatrudnionego w Instytucie Sztuki PAN i redaktora „Pamiętnika Teatralnego” jest mało dogodna do opisywania PRL-u. Obowiązki zawodowe Raszewskiego nie wypełniają zbyt wielu kart „Raptularza”. Od czasu do czasu napomyka autor o pracy nad „Bogusławskim” np. opisuje spotkanie z Hanną Małkowską, praprawnuczką twórcy „Krakowiaków i Górali” czy zwierza się ze zgryzoty, której źródłem jest niemożność odnalezienia metryki ślubu Bogusławskiego. Już jednak relacja z prac redaktora kwartalnika naukowego przynosi znakomity opis rozmów z cenzo-

rami w GUKPPiW i spotkania z Zenonem Kliszką w KC PZPR (nb. przedmiotem negocjacji były teksty poświęcone socrealizmowi). Także opisy spotkań w środowisku teatralnym poświęcone są zagadnieniom ogólniejszej natury, gdyż z Jerzym Grotowskim, Ludwikiem Flaszenem i Jerzym Krasowskim dyskutuje Raszewski o istocie kultury europejskiej, z Krzysztofem Wolickim spiera się o Armię Krajową, u Konrada Swinarskiego śledzi zaś destrukcyjne oddziaływanie ironicznego nastawienia do ludzi i świata.

W zapiskach z 1966 utrwalone zostały podwójne, kościelne i państwowe, obchody tysiąclecia chrztu Polski, tocząca się pomiędzy Wyszyńskim i Gomułką walka o zdominowanie tych uroczystości. Raszewski bierze udział w nabożeństwach i procesjach celebrowanych przez Kościół, bulwersują go organizowane przez komunistów demonstracje antykościelne w Warszawie, ale też przygląda się i ze znawstwem komentuje urządzoną 22 lipca defiladę tysiąclecia, oburzając się z powodu nieobecności na niej zarówno formacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jak i Armii Krajowej. Z uwagą śledzi Raszewski coraz większe wpływy moczarowców, konflikt sowiecko-chiński i reakcje na wojnę siedmiodniową. Upomina się o wymazane ze zbiorowej pamięci rozdziały historii. Dokonuje próby rekonstrukcji wydarzeń czerwcowych w Poznaniu w 1956. Notatka, w oparciu o wypowiedzi przez moczarowców *Stolicy*, próbująca błędnie wyjaśnić jak doszło w niemieckim piśmie w czasie wojny do publikacji fotografii Władysława Sikorskiego wraz z grupą polskich spadochroniarzy, prowokuje Raszewskiego do spisania dziejów tego zdjęcia, ogłoszonego przez Niemców z zamiarem ośmieszenia a kolportowanego następnie przez AK w celach propagandowych. Dopełnia tę dygresję historyczną wspomnienie o kierowcy, współpracowniku Raszewskiego z czasów wojny z fabryki „Lukullus”, który usłyszawszy w radiu londyńskim o odtworzeniu swego dywizjonu lotniczego w Anglii, płakał jak bóbr.

W ogóle przeszłość wojenna nieustannie powraca w „Raptularzu”. Jedną z najbardziej przejmujących w tym tomie jest opowieść o majstrze z zakładu bednarskiego „Lukullusa”, który całą wojnę przesiedział beczynnie, symulując pracę. (Był przełożonym Raszewskiego.) Robotnik ów oszukiwał i okradał właściciela, nie reagował na groźby, uosabiając ludową odmianę stoickiego spokoju. Niemiecki właściciel był zupełnie bezsilny wobec majstra. Gdy wkrótce po wojnie

Raszewski odwiedził fabrykę, która w międzyczasie stała się własnością „Społem”, majster nadal nic nie robił. Ta nowela o bydgoskim robotniku ukazuje filozofię przetrwania przyjętą przez prostych ludzi i pozwala zrozumieć wiele zachowań społecznych. Równie porażająca w swej wymowie jest opowieść o Władziu, chłopcu „z rozległą wiedzą, gruntownym wykształceniem i klasyczną kulturą”, który w czasie wojny pracował jako robotnik i przygotowywał się do podjęcia studiów w wolnej Polsce, a który wysłuchawszy pierwszego przemówienia komunistycznego dygnitarza w Bydgoszczy „ze zwykłym u niego wyrazem skupienia na twarzy” podsumował je plugawym słowem, które było „krótkie i niesłychanie wulgarne”. Trudno dobitniej wyrazić ogrom rozczarowania i zawodu, jakie przyniosło pokoleniu Raszewskiego zakończenie wojny.

W „Raptularzu” znajdują jednak odbicie także osobiste upodobania i zainteresowania Raszewskiego. Są więc zestawienia najpiękniejszych przedstawień teatralnych oglądanych przez autora i jego ulubionych oper. Jest opowieść o poszukiwaniu w paryskiej księgarni partytury „Symfonii C-dur” Mozarta, opisy wykonania „Pasji” Pendereckiego na Wawelu i pierwszego występu Konstantego Kulki w warszawskiej Filharmonii Narodowej. Dość nieoczekiwane w tym sąsiedztwie pojawia się opis odprawy warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Raszewski był wielkim znawcą barwy i broni, dziejów wojskowości. Jego uwagi ujawniają – podobnie jak opisy parad i defilad, uzbrojenia i umundurowania w „Pamiętniku gapia” – prawdziwą znajomość rzeczy i obycie z wojskowym ceremoniałem poniekąd zrozumiałe u syna przedwojennego zawodowego oficera. „Oficerowie meldując się wymieniają swoje nazwiska, bez wyjątku chłopskie. (Łan, Szczodry). Komenderują, tak samo zresztą jak wielu oficerów przed wojną, po chłopsku, można powiedzieć po gospodarsku: ‘Na-ra-mieeee bróń! Pre-zen-tuuuj bróń!’ Na sam dźwięk tych komend jakiś siwy mężczyzna przede mną – nie ukrywając tego – ociera łzy z oczu. [...] Następuje właściwa zmiana warty. Dziwna rzecz, gdy tylko to wojsko zaczyna się ruszać, zaraz widać, że jego dyskretna elegancja – bo jest eleganckie – nie jest chłopska. Szczególnie uderza to na przykładzie kompanii honorowej. Składa się ona bez wyjątku z wysokich, smukłych chłopców, odznaczających się nieomylnym poczuciem rytmu, a zarazem jakąś wyniosłą, jakby wzgardliwą pewnością siebie. [...] Ich oficerowie trzymają

obnażone szable, które prezentują unosząc polskim obyczajem rękojeść na wysokość twarzy. Oddziały defilują teraz przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Orkiestra gra „Warszawiankę”. Kompania honorowa pochyla chorągiew. To nie jest zabawa, to jest na serio i ludzie to czują. [...] Przychodzi mi do głowy, że w tym niemym obrzędzie zawiera się być może ostatni szczątek greckiej tragedii.”

Trudno chyba o lepszą ilustrację złożoności stosunku Polaków do powojennego państwa. Raszewski nie miał złudzeń co do istoty ustroju, ideologii i metod komunistycznych a jednocześnie z trudem tamuje wzruszenie, jakie wywołuje w nim nawrót znieprawionego, ludowego Wojska Polskiego do przedwojennych tradycji. Swój stosunek do powojennej rzeczywistości Raszewski ujawnia jakby mimochodem, jest raczej powściągliwy i dyskretny. Tonację całości najlepiej chyba oddaje formuła otwierająca tom: „czuła ironia”. Trudno nie dopatrzeć się w niej pogłosu przywoływanego wielokrotnie na kartach „Raptularza” Norwida.

Jedno z pewnością różni zasadniczo Raszewskiego od twórcy „Za kulisami”. Proza Raszewskiego jest zupełnie wolna od zawilgości i neologizmów Norwida. Klasyczna prostota i wysublimowana dystynkcja nieomylnie zdradzają terminowanie u autora „Notatnika nieśpiesznego przechodnia”.

Rafał WĘGRZYŃIAK

Cracoviana poetica

Wiersze mniej popularnych poetów czytuje niewiele osób, a recenzje z ich tomików – jeszcze mniej. Jako recenzent odczuwam więc wobec autorów ofiarowujących mi swoje zbiorki (ci bardziej popularni nie czynią tego w przekonaniu, że kupię je sobie sam w księgarni [?!]) sympatię wypływającą z solidarności krewnych-i-znajomych-Królika, czyli osób posadzonych na Wielkim Festynie Literatury przy bocznym stoliku. Stąd po części niniejszy artykuł.

Po tak mało poetycznym wstępie wypada zaznaczyć, że

książ(ecz)ki*, które zamierzam tu – z konieczności pokrótce – omówić, zasługują też na uwagę z przyczyn bardziej istotnych, czyli literackich (inaczej mimo wszystko bym o nich nie pisał). Odnosi się to szczególnie do wierszy p. Socha-Lisowskiej (ur. 1928, lwowianka, lekarka), mieszkającej obecnie we Francji, ale przedtem długo związanej (także zawodowo) z Krakowem. Jej tomik jest antologią utworów z dawniejszej twórczości (cztery pozycje książkowe w latach 1958-72) z dodatkami wierszy dotychczas nie publikowanych. Jej teksty nie są łatwe przyswajalne, a nawet przy pobieżnej lekturze zdają się nieco niezrozumiałe, ponieważ autorka pisze stylem stanowiącym połączenie refleksji nad światem z zapiskami w prywatnym dzienniczku spraw bieżących: ulica na przedmieściu, Bóg, zmarły stryj, miłość jako taka, pacjenci na Pogotowiu, próba definicji nicości, jakiś pejzaż, cierpienie (ludzi i zwierząt), okrucieństwo (wyłącznie ludzi), zmęczenie smutkiem świata i tym podobne tematy. W wierszu „O sławie” czytamy: *wiem że sława mnie nie czeka / i jeśli chmury ruszają niebem cieszę się nimi / [...] / jak tysiąc ptaków leć na żer / nie rozpaczam za małym który wypadł z gniazda / kiedyś z mojego gniazda także wypadną / jeszcze jedną kroplę bólu niosę do rozgrzeszenia*. Może właśnie ta spokojna rezygnacja na wyrost sprawia, iż wiersze p. Lisowskiej są absolutnie pozbawione kokieterii, co skłania do uważniejszej lektury, a ta z kolei pozwala odkryć kapitalnie lapidarne, choć często zastanawiające (=skłaniające do myślenia) sformułowania. Jako przykład zacytuję w całości utwór pt. „Przemiana w doskonałość”, którego sam tytuł nie jest w pełni zrozumiały od razu i zmusza do powrócenia doń po lekturze, bo stanowi nie tyle nazwę, co konkluzję całości. Utwór ten dobrze ilustruje charakterystyczną cechę tej niełatwej twórczości: jej niejasności mimo wszystko budzą zaufanie, czytelnik czuje, że tu się mówi serio, nie dla przelotnego efektu. A oto ów dziwny i zapadający w pamięć wiersz: *w baletnicach jest siła mężczyzn / którzy pragnąc pięknych / pozostali wierni brzydkim / i w żołnierzach jest odwaga wątpliwych / które ginąc w piekle / nie odeszły od płomienia / w świecie jest wielkość słowa / które nawet śmierć / czyni*

* Teresa Socha-Lisowska, „Wiersze wybrane”, Wyd. Sponsor, Kraków 1995, 192 str., ISBN 83-85846-19-0.

Janusz Drzewucki, „Podróż na południe”, Oficyna Cracovia, Kraków 1995, 84 str., ISBN 83-85104-78-X.

Stanisław Stabro, „Wiersze wybrane”, Oficyna Cracovia, Kraków 1995, 83 str., ISBN 83-85104-88-7.

wyznaniem. Są to właściwie trzy aforyzmy filozoficzne (pierwszy jest wspaniały!), których nie powstydziliby się sam profesor Elzenberg. Chcę zwrócić uwagę na trzecią strofę zacytowanego tekstu: jest dwuznaczna przez to, że zaimek „które” może być zarówno mianownikiem jak biernikiem, ambiwalencja ta przekształca zatem owo zdanie w zen-buddyjski *koan*, nad którym można myśleć bez końca w bezsennej noc. Myślę, że jest to efekt niezamierzony i że autorka chce tu powiedzieć, iż *logos* jest silniejszy od *thanatos*, ale to „proste” ujęcie uchyla drzwi, za którymi czai się rodzaj nieskończoności – coś z Platona i coś z perskiego sufizmu. Notka biograficzna informuje, że p. Socha-Lisowska poza medycyną studiowała też (zaocznie, na KUL-u) filozofię i teologię; jak świadczą te wiersze nie był to zmarnowany czas. Nie wszystkie wydają mi się równie udane jak zacytowany, ale wszystkie łączy trudno poddająca się definicji aura świeżości i zarazem dojrzałości umysłowej. Ten tomik nie jest *nudny*!

„Podróż na południe” Janusza Drzewuckiego (ur. 1958 w Kruszwicy, polonista [UJ], obecnie dziennikarz) – „tu inny wiersza typ” by sparafrazować Jana Lemańskiego. Na zbiorek ten składają się w większości utwory typu „krajoznawczego” tzn. rodzaj opisowo-refleksyjnych pejzaży, starających się utrwalić esencję danego miasta, okolicy czy przelotnego widoku. Moim faworytem jest wiersz pt. „Połowa stycznia, wieczór, noc”, migawka wychwycona z przesuwej się za oknami pociągu Polski: *W połowie nocy / miasta i wsie, domy / w gościnnych ciemnościach (okna / pojedyncze światła); przy stole / mężczyzna z twarzą ukrytą / w dłoniach / mój ojciec / (elektryczny bełkot / żarówki) tak, to chyba mój / ojciec, bez wątplenia mój ojciec / jakiego nie znam i nigdy / nie poznam*. Coś z „Rovigo” Herberta... Ta „geografia serdeczna” jest interesująca choćby z tego względu, że czytelnik odruchowo przymierza własną reminiscencję do tekstu autora (np. takie *cracovianum*: [...] w spienionej toni kasztanowca bordowa / forteca uniwersytetu, wyniosła i posępna, / echo niedokończonych rozmów, w pół słowa / urwanych przez przenikliwy październikowy / zmierzch w opustoszałym parku „Jordana”/). O sugestywności stylu autora świadczy przyjemność, jaką dają także utwory usytuowane w miejscach nie znanych z autopsji, a więc dla mnie, np. „Północ w Sandomierzu” lub „Widok z Mysiej Wieży”... małe arcydziełka skondensowanego opisu i nastroju

zarazem. Naturalnie, omawiany tomik to znacznie więcej niż zbiór „rymowanych pocztówek” (*nota bene* niektóre z tych utworów mają rzeczywiście wyszukane rymy – rzadkość dzisiaj), ale podkreślam ten aspekt deskryptywny, bo podoba mi się uwaga, z jaką autor traktuje przestrzeń, czas i klimat. Przyjemnie od czasu do czasu przeczytać współczesne wiersze, które są wyraźnie o *czymś*.

Zbiorek Stanisława Stabro (jeden z poetów „Nowej Fali”, tzn. pokolenia debiutującego w początkach lat 70-tych; krakowianin, polonista) jest wyborem z obfitej, wcześniej już opublikowanej jego twórczości, stanowi zatem jej „reprezentatywną próbkę”. We wstępie pióra J. Kornhausera czytamy: „Jak wszyscy przedstawiciele ‘Nowej Fali’ także [i on] uczynił z fenomenu pokoleniowości jeden z głównych tematów swej poezji. [...] akcentował klęskę buntu, gorycz porażki, fałsz i obłudę otaczającego świata. Ale jako jeden z nielicznych wyciągnął z tej lekcji wnioski katastroficzne”. Mówiąc prościej, jest to wizja świata bardzo czarna i przez to trochę paradoksalna, gdyż prowadząca do wniosku, że poezja *nie* ocala, albo – jak powiada Herbert: *ta woda, te słowa – coś mogą, coś mogą, książkę?* Stabro mówi o tym *expressis verbis* w wierszu pt. „Gorycz pisania”: *Zbiec do źródła? Lecz przecież / nie ma tego źródła / postulazne pióro skreśli / pętlę albo gazu / ulatujący obłok / jak wieczna duszyczka. / Nie ma śmiertelnej zemsty jest / zemsta śmiertelnych / i przegrana z oblawa / potyczka*. Swoistym wnioskiem z tego twierdzenia jest tematyka zbiorku, w dużej części poświęcona owym przegranym potyczkom ze światem oraz ich protagonistom, niekiedy zastanawiającej proveniencji (Angela Davis, Ulrika Meinhoff, Louis Althusser). W tej hiobowej atmosferze nie ma właściwie nic do powiedzenia, nie ma „przekazu”, z wyjątkiem gorzkiej i wszechogarniającej ironii, na przykład: *Koty starych kawalerów / wychodzą po papierosy / i nie wracają już / nigdy [...] / I nie zawsze spadają na cztery łapy / koty starych kawalerów / mordowane po sumie / przez patriotów i chrześcijan / witajcie!* Jak wskazuje ten *tonkij namiot* do współczesności, negatywny impet nadany „pokoleniu 1970” przez PRL bynajmniej nie wygasł ze zmianą ustroju, bo polityka nie ocala poetów raz uformowanych.

M. BROŃSKI

Nadeślane nowości wydawnicze

- BASARA-LIPIEC (Eugenia). *Wyrosnąć tatarakiem*. Str. 61. Wyd. AU-REUS, Kraków 1995.
- BASARA-LIPIEC (Eugenia). *Ornamenty*. Str. 51. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1995.
- PAWŁOWICZ (Jacek). *Nieznani bohaterowie*. Leksykon opozycji antykomunistycznej w województwie płockim 1980-1989. Cz. 1 – Oficyny i wydawnictwa podziemne. Str. 119. Nakł. autora, Płock 1995.
- SZUBER (Janusz). *Gorzkie prowincje*. Str. 59. Nakł. dr Grażyny Jarosz (Oslo), Sanok 1996.
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Portret Czapskiego*. Str. 261. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- Sny na odległość*. Almanach poetów Ziemi Leszczyńskiej. Str. 55. Leszczyńskie Stowarzyszenie Twórców Kultury, Leszno 1993.
- DASZKIEWICZ (Piotr). *Polityka i przyroda*. Rzecz o Jean Emmanuëlu Gilbertcie. Str. 72, il. Wyd. NERITON, Warszawa 1995.
- Euromag*. La revue des enjeux de l'Europe. Nr 17/18-1996.
- DOBRUCKA (Halina Wiesława). *Jak się lubić*. Str. 75. Nakł. autorki, Gliwice 1993.
- BORTNER (Mathis). *Jak dobija się gospodarkę polską od 1989 roku*. List otwarty do prezydenta Lecha Wałęsy. Str. 388. Nakł. autora, Nica 1995.
- KURZAWA (Eugeniusz). *Słownik polskich pisarzy współczesnych Wileńszczyzny*. Str. 96. Lubuska Oficyna Wydawnicza, Zielona Góra 1995.
- OSZELDA (Jadwiga). *Zdrowie na talerzu*. Str. 119. Nakł. autorki, Cieszyń 1993.
- WROCŁAWSKI (Roman D.). *Czy to prawda?* Str. 165. Nakład autora, Chicago 1996.
- EBERHARDT (Piotr). *Przemiany narodowościowe na Ukrainie XX wieku*. Str. 332. Biblioteka „Obozu”, Warszawa 1994.
- MOSTWIN (Danuta). *Trzecia wartość*. Wykorzenienie i tożsamość. Str. 239. RW KUL, Lublin 1995.
- ORŁOŚ (Kazimierz). *Niebieski szklarz*. Str. 184. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- KOBAYASHI (Jan). *Hymn onanisty*. Etiudy na strunę z ludzkiego jelita. Str. 63. Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1994.
- BARAN (Adam F.). *Pseudonim „Zapora” mjr cc. Hieronim Dekutowski (1918-1949)*. Str. 170. Wyd. Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, Staszów, 1996.
- Listy Władysława Orkana do Marii Wyslouchowej w zbiorach Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*. Oprac. i wstęp G. Brodacki. Nadbitka z: *Czasopismo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich* Z. 3. Str. 87-144.
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Województwo ruskie, Ziemia Przemyska i Sanocka. t. 8. Str. 453. Ossolineum, Wrocław 1996.
- Ojcu*. Wybór wierszy i postowie Jan Nagrabiecki. Przedmowa Zbigniew Bieńkowski. Str. 367. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1995.
- WYGANOWSKA (Wanda). *Sztuka Legionów Polskich 1914-1918*. Str. 174, il. Wyd. NERITON, Warszawa 1994.
- „Burza” w Polsce Południowej*. Materiały Komisji Historycznej 33. Str. 54. Wyd. Oddziału Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.4.96

Polska przekazała Rosji wykaz znajdujących się na terenie Polski pamiątek po poległych żołnierzach Armii Czerwonej, zwierający zestawienie 1.007 obiektów, w tym cmentarzy i kwater wojennych, pomników i tablic pamiątkowych.

5.5.96

Wyższe szkoły inżynierskie w Koszalinie i Zielonej Górze mają otrzymać status politechniki.

10.5.96

147 absolwentów liceów w Bielsku Podlaskim i Hajnówce (woj. białostockie), w których wykładany jest język białoruski, zdało egzamin dojrzałości z tego przedmiotu. Maturę z języka litewskiego zdawało 21 uczniów Liceum im. 11-go Marca w Puńsku. Młodzież białoruska miała do wyboru następujące tematy: „Jakie życiowe i historyczne fakty zmusiły Janka Kupałę do wypowiedzenia następującej myśli: ‘tutejsi ludzie z ojczystego kraju pchają się żywcem w cudzą skórę’ i czy jest ona dziś aktualna”; „Każdy naród ma swoją spuściznę literacką. Mają ją Białorusini, którzy żyją w polskich realiach. Co wiesz o białoruskim nurcie literackim w Polsce” oraz „Rozważ sens słów Włodzimierza Karatkiwicza ‘kto zapomina swoich przodków – gubi siebie, kto zapomniał swój język – wszystko stracił’”. W jedynym w kraju liceum ogólnokształcącym z litewskim językiem nauczania – w Puńsku, maturzyści wybierali jeden z tematów: „Degradacja istoty ludzkiej – podstawowym problemem litewskiej literatury współczesnej”; „Pojmowanie celu i sensu życia w litewskiej prozie”; oraz „Walka o wartości społeczne w dramatach wybranych litewskich autorów”. ■ Z okazji 400-lecia Warszawy stolica przyznała papieżowi tytuł Honorowego Obywatela. W związku z tym miała miejsce 200-osobowa pielgrzymka władz Warszawy do Watykanu. Na tle zaniedbań w uporządkowaniu Warszawy urządzenie tego rodzaju kosztownych imprez wydaje się karygodne.

11.5.96

Majątek ministra rolnictwa RP, senatora Leona Janta-Polczyńskiego Wysoka koło Tucholi, został skonfiskowany w PRL-u; we dworze utworzono Dom Pomocy Społecznej. Obecnie dla uczczenia pamięci rodziny Janta-Polczyńskich wojewoda bydgoski nadał Domowi Pomocy Społecznej w Wysokiej nazwę własną: im. Leona i Marii Janta-Polczyńskich. Inicjatorem tej uroczystości był m.in. wnuk Leona Janta-Polczyńskiego, Adam,

mieszkający w Kanadzie oraz córka Leontyna Tyszkiewicz z Poznania.

13.5.96

Senat zmniejszył o połowę pensje emerytowanych prezydentów (wcześniej sejm uchwalił, że ma być ona taka jak urzędującego prezydenta). Ta decyzja senatu wydaje się słuszna. Może warto byłoby również skasować przyznaną ochronę osobistą i samochód. Miejmy nadzieję, że sejm te poprawki zatwierdzi.

20.5.96

Zmarł w Warszawie w wieku 93 lat wybitny ekonomista Czesław Bobrowski.

24.5.96

Stowarzyszenie Euro-Atlantyckie zorganizowało międzynarodową konferencję na temat „Białoruś-Polska-Ukraina. Bezpieczny region w bezpiecznej Europie”. Konferencji przewodniczył Tadeusz Mazowiecki, przewodniczący Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego. W obradach wzięli udział: minister Władysław Bartoszewski, Janusz Onyszkiewicz, Bronisław Geremek i inni.

29.5.96

W Tarnowie odbyło się IV Światowe Forum Mediów Polonijnych „Tarnów 96”. Forum ma na celu integrację wydawców i dziennikarzy polonijnych, nawiązywanie współpracy w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej.

ZACHÓD – EMIGRACJA

18.3.96

Zmarł w Ottawie w wieku 90 lat inżynier Władysław Marcinowski, podpułkownik NSZ. Założyciel i komendant główny Związku Jaszczurczego, zastępca dowódcy Brygady Świętokrzyskiej NSZ i przewodniczący Rady Politycznej NSZ.

25.4.96

W Nowym Jorku w Vineyard Theatre została wystawiona sztuka Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku”, która okazała się wielkim sukcesem.

6.5.96

W Chicago odbył się wieczór wspomnień poświęcony zmarłemu trzy lata temu poecie Jackowi Bierezinowi. ■ Parlament izraelski uchwalił w 1953 r. ustawę o pamięci zagłady i bohaterstwa na podstawie której utworzono w Jerozolimie Instytut Yad

Vashem oraz medal i tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Do dziś ten tytuł otrzymało 12,5 tys. osób, w tym 4,5 tys. Polaków.

16.5.96

W związku z listem prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Edwarda Moskala do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w którym zaprotestował przeciwko – jego zdaniem – zbytnej uległości władz polskich wobec żydowskich żądań, David Harris, dyrektor American Jewish Committee wyraził swoje oburzenie i zawiadomił, że jego organizacja wycofuje się z udziału w pracach Krajowej Rady Amerykanów Polskiego Pochodzenia i Amerykańskich Żydów. Komitet ten został powołany do życia 17 lat temu w celu dialogu między oboma środowiskami. Jak informuje nowojorski *Nowy Dziennik* prezes E. Moskal nie uzgodnił treści swego listu do prezydenta Kwaśniewskiego z władzami KPA.

29.5.96

Profesor Jerzy Borejsza, były dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu, wygłosił w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales (EHESS) wykład pt. „L'idée communiste au XXe siècle, vu de l'Est (pendant à l'ouvrage de François Furet 'Le passé d'une illusion')”, a poprzednio, 22 maja, wykład pt. „Relations polono-russes et polono-soviétiques (XIXe-XXe siècle)”.

5-7.6.96

W Institut National des Langues et Civilisations Orientales w Paryżu przy współudziale Stacji Naukowej PAN w Paryżu miało miejsce międzynarodowe kolokwium na temat „La modernité en Europe Centrale. Art et littérature”.

11.6.96

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Tomasz Szarota z Instytutu Historii PAN w Warszawie wygłosi odczyt pt. „Vivre l'histoire ou histoire vivante: la seconde guerre mondiale dans l'esprit des Polonais 50 ans après”.

Listy do Redakcji

Berlin, 03.05.1996

Drogi Panie Redaktorze,

Przypadkowo wpadł w moje ręce poznański *Wprost* z Pana artykułem na temat stosunków polsko-rosyjskich, który przeczytałem z dużą sympatią dla Pana poglądów. Z mojego punktu widzenia w Pana artykule znaleźć można kilka tez, które wydają mi się bardzo ważne dla oceny naszych stosunków z największym sąsiadem na wschodzie a których, tak precyzyjnie sformułowanych, nie znalazłem w innych wypowiedziach w polskiej prasie.

Polacy przeceniają siłę militarną Rosji. Nasz sąsiad dysponuje co prawda nadal jednym z największych potencjałów militarnych na świecie. Największym zagrożeniem związanym z tym potencjałem nie jest jego skuteczne wykorzystanie do celów militarnych wobec Polski. Bardziej niebezpieczne są związane z procesem rozkładu armii rosyjskiej ryzyka, jak kradzież broni, nieskuteczna kontrola broni jądrowej, pauperyzacja kadry oficerskiej, zanieczyszczenie środowiska przez bazy wojskowe, czy powiązania z mafią. Polskim elitom konflikt w Czeczenii służy do uzasadnienia swoich ambicji wobec NATO. Jednak wojna czeczeńsko-rosyjska w konsekwencji ponownie obaliła tak przydatny polskiej polityce zagranicznej mit o militarnej potędze Rosji. Oczywiście, czołgi rosyjskie w ciągu kilku dni były w stanie przekształcić Grozny w pole ruiny, w konsekwencji jednak kaukaska wojna potwierdza doświadczenia z Afganistanu: Rosja nie jest w stanie przeciwstawić się tendencjom odśrodkowym w imperium stosując przemoc. Akcje militarne nie zastępują skutecznych reform politycznych czy gospodarczych. Rosyjska kadra oficerska zdaje sobie sprawę po doświadczeniach w Czeczenii, że są w stanie skutecznie bronić kraju, ale nie nadają się do rozwiązywania konfliktów politycznych. Większość Polaków nie chce zrozumieć, iż mimo tradycyjnej ksenofobii rosyjskiej w stosunku do narodów kaukaskich, mimo powszechnej retoryki nacjonalistycznej, mało kto w Rosji chciałby, aby rosyjska młodzież umierała dla celów imperialnych. Myślę też, że wojna ta pokazała, że wojenne przygody nie tak łatwo przekształcają się w Rosji w wyborcze sukcesy jak wyobrażają sobie nasi rodacy. Negatywna reakcja większości mass-mediów rosyjskich na politykę Jelcyna pokazała, że Rosji nie można pojąć porównując ją ze Związkiem Sowieckim, broniącym swoich

wpływów w Afganistanie. (Ciekawy wydaje mi się także fakt, że mimo nadziei przeciwników wojny, niepopularna interwencja rosyjska nie spowodowała wielkich demonstracji, że nie doprowadziła do upadku rządu. Po kilku tygodniach krwawych walk zmęczony polityką *homo post-sovieticus* szybko uciekł w codzienność).

Rosja nie jest totalitarnym monolitem, który czeka na okazję, aby połknąć Polskę. Ciekawe porównanie słyszałem kilka lat temu z ust mojego niemieckiego przyjaciela, politologa, który studiował pod koniec lat osiemdziesiątych w Moskwie. Wówczas interesował się Indiami a dziś powrócił jako *businessman* do Moskwy. Przyjaciel ten twierdził już kilka lat temu, że Rosja pójdzie drogą Indii. Formalnie będzie to na pewno zdecentralizowany kraj z ambicjami demokratycznymi, który tak jak Indie skutecznie będzie doganiać przy pomocy zagranicznych inwestorów technologicznie najwyżej rozwinięte kraje wschodnio-azjatyckie. Będzie to państwo wolnego słowa, bez państwowej cenzury, w którym prasa będzie regularnie informować o wszystkich deficytach demokracji. Tak jak Indie Rosja pozostanie nuklearną potęgą wojskową. Potęgi tej nie uda się Rosji tak jak Hindusom, skutecznie wykorzystać w celu opanowania sąsiednich regionów. Rosja pozostanie podobnie jak Indie, krajem z dobrze wykształconymi elitami ekonomicznymi i intelektualnymi, w którym większość społeczeństwa nie doczeka się zabezpieczenia socjalnego, czy nawet równych szans w szkolnictwie. Rosja, tak jak Indie, nie przezwycięży tak szybko dużych kontrastów społecznych, które zapewniają stałe konflikty. Podobnie jak w Indiach, korupcja pozostanie nieuleczalną chorobą rosyjskiej demokracji. Wreszcie, państwa te będą cierpieć z powodu nie rozwiązanych konfliktów narodowościowych. Moskwa, podobnie jak New Delhi, nie wypuści „awanturników” z imperium a w rzeczywistości pewne regiony pozostaną nie kontrolowane przez władze centralne. Wiadomości o zamachach terrorystycznych separatystów oraz o cierpieniu ludności cywilnej pozostaną przez następne lata na pierwszych stronach gazet. Jak powiedział mój przyjaciel, Rosja będzie krajem, który dbać będzie o interesy gospodarcze a w polityce zagranicznej nie pozwoli sobie na drogie przygody. Co wynika zatem z tych rozważań dla Polski? Oczywiście, Rosja nie jest i nie będzie przez następne dekady tak solidnym sąsiadem jak Niemcy. Owszem, Rosja nie zmierza prostą drogą do demokracji. Ale Rosja nie zdecyduje się na politykę ekspansywną w stronę Odry.

Polacy nie mogą zrozumieć, że ich antyrosyjska retoryka bardziej utrudnia poszerzenie NATO niż przyspiesza ten proces. Wspólnota Atlantyka nie przyjmie Polski w celu utworzenia nowej zapory przeciwko Rosji ale w celu ustabilizowania Polski. Członkowie NATO, szczególnie Stany Zjednoczone, myślą globalnie i nie wyobrażają sobie systemu bezpieczeństwa omijającego Rosję. Przecież przez ostatnie cztery dekady Ameryka, tak samo jak i dziś, nie wyobrażała sobie pokoju bez współpracy z ZSSR. Żeby nie było żadnych nieporozumień, jestem za wstąpieniem Polski do

NATO. Mam wrażenie, że antyrosyjska histeria polskich elit politycznych odbierana jest przez naszych zachodnich partnerów jako wyzywanie się polskich kompleksów mniejszości. Tydzień temu byłem na spotkaniu z trzema posłami Unii Wolności w Berlinie. Szczytem niepowagi było zasugerowanie przez dwóch z nich, że oni jako Polacy mieszkający bliżej Rosji lepiej znają się na Rosji niż Niemcy. Twierdzili, że Rosjanie się nie zmienili, w swoim sercu Rosjanie pozostali imperialistami, dlatego ekspansja NATO jest dla Polski konieczna. Mam często wrażenie, że w oczach wielu Polaków zachodni politycy są naiwni, panuje w Polsce przekonanie, że w krajach tych tak naprawdę to mało kto jest w stanie we właściwy sposób ocenić Rosję. Przy spotkaniach z polskimi politykami często dochodzę do wniosku, że Polacy zapominają o tym, że proces integracji w struktury NATO nie przyspieszy retoryka, tylko skuteczna reforma obronności, tak jak zapewnienie cywilnej kontroli nad armią i modernizacja struktur i sprzętu wojska.

Jeszcze jedno zdanie na temat aroganckiego poczucia wyższości, o którym Pan w swoim artykule wspominał. Podczas mojej podróży po zachodniej Ukrainie zaskoczyła mnie nasza rosyjska przewodniczka, kiedy powiedziała mi, że słowo „polak” w ukraińskim ma negatywną konotację i kojarzy się z aroganckim człowiekiem.

Przy lekturze Pana artykułu musiałem myśleć o spotkaniu byłego ministra spraw zagranicznych, Olechowskiego, z berlińskimi dziennikarzami, które odbyło się na początku roku. Obok afery Oleksego interesowała Niemców polska polityka zagraniczna wobec wschodnich sąsiadów. Na tym spotkaniu minister Olechowski potwierdził co prawda konieczność bliskiej współpracy z Rosją. Stwierdził jednak, iż z jego doświadczeń wynika, że rząd rosyjski nie jest zainteresowany współpracą, a więc plany polskiej polityki wschodniej powinny być odłożone do szuflady. Negatywne doświadczenia z politycznymi elitami Rosji potwierdzają także inni politycy. Większość polskich elit politycznych zapomina jednak, że stosunki między dwoma krajami nie są wyłącznie zdeterminowane przez kontakty rządowe. Z dużą sympatią przyjąłem Pana propozycję z dziedziny polityki kulturalnej. Mam wrażenie że w Polsce przydałby się szeroki program stypendiów dla rosyjskiej młodzieży, dla naukowców i artystów. Trzeba zadbać o to, aby przyszłe elity Rosji poznały Polskę. Jest to najskuteczniejsza polityczna inicjatywa w stronę normalnego sąsiedztwa. Niestety, jak Pan wspominał, kontakty z Rosją są dzisiaj ograniczone do kilku ważnych, ale marginalnych inicjatyw. Warto przypomnieć, jakie plony przyniosła pomoc zachodnioniemiecka dla polskich studentów, naukowców, artystów. Jak słusznie stwierdził niedawno w Berlinie były polski ambasador w Bonn, Janusz Reiter, wymiana ta uruchomiła bardzo ważny dialog intelektualny między Polakami i Niemcami. Reiter podkreślił, że bez tego dialogu, bez tych znajomości, nie doszłoby do fundamentalnego przełomu w stosunkach polsko-niemieckich po 1989 roku. Mimo wielu problemów i uprzedzeń, dialog ten odprężył stosunki polsko-niemieckie. Jeśli

Polacy systematycznie zadają dziś o pozarządowy dialog z Rosją (i innymi sąsiadami na wschodzie), to w przyszłości możemy w stosunkach polsko-rosyjskich oczekiwać podobnych plonów.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu

Basil KERSKI

Warszawa, 19.5.1996

Szanowny Panie Redaktorze,

18-go i 19-go maja odbyła się w Warszawie konferencja: „Renesans Ukrainy”. Celem Fundacji im. Stefana Batorego, która konferencję zorganizowała, było przybliżenie polskiej opinii publicznej do problemów dzisiejszej Ukrainy związanych z tworzeniem państwowości, integrowaniem narodu, zapewnieniem warunków bezpieczeństwa i stabilności kraju, przezwyciężaniem dziedzictwa Związku Sowieckiego w gospodarce, w życiu społecznym, w polityce. Chodziło też o stworzenie warunków dla swobodnej, nie ograniczonej oficjalnym protokołem, dyskusji na temat stosunków między naszymi państwami.

Wśród gości ukraińskich byli Władysław Briuchoweczi, Anton Butejko, Władysław Czornowił, Ołeksij Harań, Bohdan Horyń, Ihor Juchnowski, Wołodymyr Naumenko, Bohdan Osadczuk, Wołodymyr Połochałow, Myrośław Popowycz, Serhij Pyrożkow, Oleg Soskin, Jewhen Swerstiuk i Roman Szporluk.

Wśród kilkuset polskich uczestników, którzy przewinęli się przez salę konferencyjną, byli m.in. Leszek Balcerowicz, Władysław Bartoszewski, Jan Krzysztof Bielecki, Bogdan Borusewicz, Bronisław Geremek, Zofia Kuratowska, Jerzy Milewski, Andrzej Olechowski, Romuald Szeremietiew, Jan Maria Rokita, Andrzej Zakrzewski.

Z inicjatywy paru osób z obu stron uczestnicy konferencji postanowili podziękować Instytutowi Literackiemu, *Kulturze* i przede wszystkim Panu osobiście, za ogromny wkład w tworzenie nowoczesnej, demokratycznej świadomości politycznej Polaków. Szczególnie wielką rolę odegrała *Kultura* w popularyzowaniu otwartej przyjaznej postawy wobec Ukrainy, oraz Białorusi i Litwy. Poważny był też wpływ *Kultury* na myślenie o Polsce demokratycznych elit ukraińskich, przyczyniając się w ten sposób do obecnych dobrych stosunków obu narodów.

W związku ze zbliżającą się rocznicą Pańskich 90-tych urodzin, uczestnicy konferencji przekazują Panu serdeczne życzenia długiego życia, zdrowia i licznych numerów *Kultury*.

Aleksander SMOLAR
Prezes Fundacji im. Stefana Batorego

KSIĄŻKI

Bogumiła Berdychowska:	<i>Eseje historyczne J. Łysiaka-Rudnickiego</i>	137
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Sabaty z Brandstaetterem</i>	140
Rafał Węgrzyniak:	<i>„Raptularz” Zbigniewa Raszewskiego</i>	144
M. Broński:	<i>Cracoviana poetica</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	152
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	153
B. Kerski, A. Smolar:	<i>Listy do Redakcji</i>	156

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja
Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonika w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1996

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: <i>Zb. Tyszko</i> , Toppenghaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>Halina Kościuch</i> , 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 494 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SZESNASTY

zawiera opracowania: Cz. Brzoza: *Zapomniana armia. Polskie oddziały wartownicze w Europie (1945-1951)*; A. Paczkowski: *Cenzura 1946-1949: Statystyka działalności*; T. Mianowicz: *Stan wyższej konieczności*; N. Kłosowska-Wohlman: *Dwa lata więzienia*; A. Kobyliński: „*Mamusiu – czy to Ruscy?*”; P. Wandycz: *Nowe książki*; T. Wyrwa: *Historycy o agresji 17 września 1939*; E. Halicz: *Zachód a granice Polski 1920-1940*; K.A. Kuczyński: *Uchodźcy polscy w Rumunii*; W. Zajewski: *Dyplomacja Prus, Austrii i Rosji wobec Konstytucji 3-go maja 1791*; A. Stach: *Polski „Urząd Gaucka”*; P. Wandycz: *Konfederacja polsko-czechosłowacka: dokumenty*; T. Wyrwa: *Audycje radiowe nadawane z Londynu*; J. Kleszczyński: *Świadkowie historii: Wiesław Domaniewski; Mord katyński w dokumentach SOE*; P. Daszkiewicz: *Pamiętki polskie w zbiorach manuskryptów Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F